

De II. 1.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 164.



BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1881.



SERYA V.

Październik.

TOM IV. — ZESZYT X.

W A R S Z A W A.

Skład i Eksp. Główny w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.



Ukończono druk dnia 4 października 1881 r.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. Jan Łaski, reformator. Przez F. K.	1
II. Lord Beaconsfield. Przez Edmunda Naganowskiego. . .	28
III. Siostra miłosierdzia. Powieść. Przez Emila Castelara. Przekład z oryginału hiszpańskiego. Przez A. Gorajską. Tom II. (Dok.).	49
IV. Rzut oka na stosunki ekonomiczno-społeczne w W. Ks. Poznańskim. Przez Ludwika Żychlińskiego.	74
V. O polskich przekładach tragedyi Sofoklesowych. Napisał Roman Zawiliński. (Dok.).	94
VI. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna.—Dziela uwiecznione na konkursie akademickim.—Nowa nagroda fundacyi pani Botta. — „O znaczeniu kobiety w społeczeństwie.“ — Prace o kobiecie w różnych krajach, panny Klarysy Bader.—Dziela historyczne: „Historya Francyi podczas małoletności Ludwika XIV” przez Cherael.—„Richelieu i ministrowie Ludwika XIII,“ przez Bertholda Zeller. — „Życie Walentyna Conrart,“ przez Kerwiler. — „Teatr z czasów Rewolucyi od r. 1789 do 1795,“ przez Henryka Welchinger.—„Życie marszałka Fabert,“ przez komendanta Burelly.—„Historya połączenia prowincyi Franche-Comté z Francją,“ przez Piepape.—„Początki taktyki francuzkiéj,“ przez Hardy. — „Hrabia de Serre i jego czasy,“ przez Lacombe.—„Pogadanki Florenckie,“ przez Juliana Klaczko.—„Początki odrodzenia we Włoszech,“ przez Gebhardt’a.—„Historya teatru we Francyi — misterya i farsy średniowieczne,“ przez Jubeville’a.—„Liberalny ambasador z czasu Walezyuszów,“ przez Edwarda Frenzy.—„Rafaél i jego dziela,“ przez Eugeniusza Muntz.—„Kobiety filozofki,“ przez Lesoure.—„Słownik,“ Ludwika Lalanne. — „Komentarz nad Heptameronem królowej Nawarry,“ przez Feliksa Franka. Komedya łacińska „Querolus,“ przekład Ludwika Haret.—„Infelicita,“ poezye Leopardego, przekład Aulard’a.—„Życiorys Monthion’a,“ przez Fernanda Laboud.—„Stydium nad poezyą Pindara“ profesora Croizet.—„Miasto za dawnych rządów,“ przez Rabeau.—„Historya leśniczego,“ powieść pana Chazel. Dziela dla młodzieży: „Dziadunio,“ pana Girardin.—„Uczennice z pięciu części świata,“ Eliasza Bertin.—„Uczeń dzisiejszy,“ pana Radeau.—„Podróż po Algerze,“ pana Bourde.—„Popularne pogadanki o zwierzętach i roślinach,“ pana Pizetta. — „Johannus,“ poemat Juliusza Bretona.—„Poezye ojcowskie,“ pana Tailhaut.—„Myśli i sny,“ pana Pomoirols. — „Miette et Nore“ Jana Aicart. — Mowa pana Renana.—„Życie i obrazy Franciszka Millota,“ pana Pawła Mautz.—„Przekład Makbeta i studyum nad Szekspirem,“ pana James Darmsteter.—„Nowe odkrycia archeologiczne w Tebach i Sakkarah,“ egiptologa Maspero.—Owacya wyprawiona Sohliemanowi w Berlinie.—	

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.



OGÓLNEGO ZBIORU TOM 164.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1881.

— 000 —
Tom czwarty.

W A R S Z A W A.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

—
1881.



De. II. 1

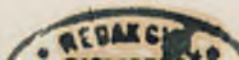
Дозволено Цензурою.

Варшава, 21 Сентября 1881 года.

Jan Łaski, reformator.

Johannes a Lasco. Beitrag zur Reformationsgeschichte Polens, Deutschlands und Englands von Hermann Dalton. Gotha, 1881, str. XXVII i 577.

Niemasz zapewne żadnej z głośnych niegdyś rodzin naszych, któraby tyle co rodzina Łaskich zyskała sobie biografów. Nie mówiąc nic o tych historykach, którzy dawniejszemi czasy opisywali pełne przygód życie znakomitszych jój członków, już w naszym wieku i prawie za naszej pamięci ukazało się kilkanaście mniejszych lub większych rozpraw i dzieł poświęconych Łaskim. Pomijając w tej chwili artykuły zamieszczone w naszych encyklopedyach, pozwolimy sobie przypomnieć czytelnikowi, że o Janie Łaskim, arcybiskupie gnieźnieńskim, który założył podstawy świetności swojego rodu, pisał niedawno Hirszberg, następnie Zeissberg a ostatnio ks. Jan Korytkowski w zyciorysie dołączonym do „Liber beneficiorum” Łaskiego (Gniezno, 2 tomy, 1880—1881); o Stanisławie Łaskim synowcu arcybiskupa podał wiadomość Mikołaj Malinowski (Stanisława Łaskiego wojewody sieradzkiego „Prace naukowe i dyplomatyczne.” Wilno, 1864); o Albercie Łaskim także wojewodzie sieradzkim, synu Hieronima a synowcu wspomnionego Stanisława, wyszła w roku bieżącym z datą przyszłego, monografia napisana przez A. Kraushara („Olbracht Łaski,” wizerunek historyczny, 2 tomy, Warszawa i Kraków, 1882); nareszcie o Janie Łaskim, synowcu arcybiskupa i reformatorze, znajduje się artykuł w „Bibliotece Warszawskiej” z r. 1872 pisany przez Cypryana Walewskiego, z powodu wydania w r. 1866 dzieł jego w Amsterdamie przez Kuypera. O tym samym Janie Łaskim wydał obecnie Herman Dalton po niemiecku obszerne i źródłowe dzieło, z którym właśnie mamy zaznajomić czytelnika. Jestto najobszerniejsza i najstaranniejsza z prac dotychczas drukowanych o rodzinie Łaskich, a w szczególności o Janie, reformatorze. Zalety jój i wady wskażemy na końcu niniejszego artykułu; tu, zaraz z początku chcemy zwrócić uwagę nie tylko na obfitość prac literackich poświęconych Łaskim, które wszystkie świadczą o wpływie i znaczeniu tego ro-



du w dziejach naszych XVI wieku; ale oraz na ważność monografii zajmujących się sprawami religijnymi owych czasów, gdyż ta część życia narodowego najmniej stosunkowo znalazła u nas historyografów, jakkolwiek jest nadzwyczaj ważna i do zrozumienia całości dziejów niezbędna.

Początek wieku XVI zapowiadał się Europie niezwykłym ruchem umysłowym; wskrzeszenie studyów klasycznych, to jest uprawy literatury greckiej i rzymskiej zwróciło umysły od badań teologicznych i filozofii scholastycznej do dzieł Platona, Cycerona, Wirgiliusza, Horacyusza i innych autorów. W wiekach średnich zajmowano się w literaturze głównie tém co boskie, więc téż kwitły: teologia, prawo kanoniczne i ascetyka; pod koniec XV w. zaczęto zajmować się przeważnie tém, co ludzkie, a kierunkowi temu dano w literaturze nazwę ogólną humanizmu, w sztuce zaś miano renesansu, czyli odrodzenia. Jestto dzisiaj rzeczą powszechnie przyznaną, że te studia klasyczne, to rozmiłowanie się w świecie greko-rzymskim były jedną z wielu przyczyn reformacyi religijnej, która wstrząsnęła całą niemal Europą. Reformacja religijna stała się hasłem ówczesnych uczonych, humanistów, uniwersytetów i monarchów: wszyscy chcieli reformować, to jest poprawić naukę i organizacyą kościoła rzymskiego. Ruch ten dotknął i Polskę, zamącił do dna jęj bytem politycznym, religijnym i społecznym, a lubo po pół wieku zwolnił, jednakże zostawił w jęj dziejach głębokie szczyeliny, których do końca bytu swojego zasklepić nie zdołała. Śmiało można powiedzieć, że rozterki religijne, datujące się w Polsce od czasu Reformacyi, były jedną z główniejszych przyczyn jęj upadku państwowego. Sprawy: dysydencka i dyzunicka rozparły słabo spojony organizm polityczny, dały pretekst do obcej interwencyi i przyspieszyły rozkład ciała, które tych obcych sobie elementów nie mogło ani asymilować, ani wyeliminować. Z tego względu jest dla historii krajowej rzeczą bardzo ważną poznać gruntownie sprawy wszystkich wyznań chrześcijańskich, które niegdyś dobijały się o równouprawnienie z katolicyzmem, tym bowiem sposobem lepiej będziemy rozumieli całą naszą przeszłość i ostateczny jęj wynik: upadek państwowy.

Otóż, do niezbyt licznego szeregu historyków naszych uprawiających dzieje kościelne dawnęj Polski przybywa cudzoziemiec, p. H. Dalton, który wydał obszerną biografią jednego z najruchliwszych przedstawicieli protestantyzmu polskiego w XVI wieku, znanego dobrze w owe czasy w Niemczech, Holandyi, Anglii i u nas, Jana Łaskiego. Biografia ta zawiera mnóstwo szczegółów do historii protestantyzmu zarówno w Polsce jak i w pomienionych wyżej krajach, autor bowiem kreśli życie Łaskiego na tle społecznych zdarzeń religijnych i ogarnia całą prawie pierwszą połowę wieku XVI. Dzieło Daltona zasługuje téż i z tego względu na uwagę naszęj historyografii, że autor zebrał i opracował wszystko, co dotychczas w naszęj i obcej literaturze o Łaskim pisano; że jeździł umyślnie do tych miejsc, gdzie bohater jego niegdyś przebywał, dla uzupełnienia swoich o nim wiadomości; i dlatego wre-

szcie, że z pewną życzliwością traktuje dzieje nasze, co jak wiadomo, rzadko się Niemcom zdarza, a nie tylko Niemcom lecz i tym, co mniej od nich umieją, a nie byli od nas lepsi.

Pobudką dla Daltona do pisania życia Łaskiego było, jak sam wyznaje, to, że gdy w roku 1866 Holender Abraham Kuyper wydał wszystkie dzieła Jana Łaskiego obiecując później uzupełnić je osobnym życiorysem autora; i gdy następnie upłynęło lat kilkanaście a obietnica się nie ziściła: postanowił zastąpić wydawcę w tej pracy i skreślić biografią głośnego niegdyś swojego spółwiera. Dzieło Daltona składa się z trzech części: w pierwszej zawarte są: młodość, studia uniwersyteckie i pierwsze awanse w hierarchii kościelnej Łaskiego póki był duchownym katolickim; druga, najobszerniejsza obejmuje tułactwo jego po Niemczech, Holandyi, Dani i Anglii i powrót do kraju; w trzeciej, najkrótszej stosunkowo, mieści się reformatorska jego praca w Polsce, gdzie i żywota dokonał. W tym więc porządku podamy niniejsze sprawozdanie z jego dzieła ograniczając się do zdarzeń ważniejszych.

I.

We wstępie do pracy swojej kreśli Dalton obraz Polski z końca XV i początku XVI wieku, podaje granice jej i zastanawia się nad zaludnieniem. To, co mówi o magnatach, szlachcie, mieszczanach i wieśniakach jest dość wierne i zgodne z tém, co o tych stanach piszą nasi historycy. Stan średni, miejski, podpora Reformacyi w zachodniej i środkowej Europie, nigdy się w Polsce samodzielnie z krajowców nie wyrobił; tworzyli go obcy przybysze, a szczególnie Niemcy. Dalton tak ich charakteryzuje: ci niemieccy osiedleńcy przynosili ze sobą swoje prawo niemieckie, którem od reszty ludności odrodzeni rządili się z łaski królów polskich. Żyli więc życiem odrębnym, stanowili wśród Polski wyspy niemieckie; a chociaż tak wyosobnione życie w obcym kraju może w pewnych okolicznościach przyczyniać się do rozwoju bogactwa materyalnego, jednak dla duchowego życia tego kraju, osobliwie w chwilach krytycznych, może się stać niebezpieczne. Taką chwilą właśnie był początek wieku XVI. Mieszczanie pochodzenia niemieckiego w Polsce, trzymali się w odosobnieniu zarówno względem szlachty, która nimi gardziła jak i względem ludu wiejskiego, którym znów oni gardzili. Otóż, uważając z punktu narodowego, jest taki stan rzeczy ciężką przeszkodą, zwłaszcza gdy naród w swoim rozwoju historycznym zbliży się do epoki krytycznej, gdy ma rozwiązać wielkie jakie zadanie, które tylko zgodnie i wspólnie całość rozwiązać może. Mieszczanie niemieccy żyli w Polsce całe stolecia, a jednak nie stali się Polakami; a z drugiej strony, byli zasłabi, ażeby ją zgermanizować mogli. Przywileje ich były solą w oku dla szlachty, więc się od niej odgradzali; a znów dla wieśniaka nie mieli ani odrobiny serca, nie łączyło ich z nim ani pokrewieństwo plemienne, ani język; słowem, brakło między stana-

mi spójni, jednolitości, a więc i siły do zwycięzkiego wytrzymania burzy, którą niosła Reformacja.

Po takim wstępie przechodzi autor już wprost do rodziny Łaskich. Chcąc zebrać wiadomości na miejscu, udał się koleją żelazną Warszawsko-Wiedeńską do Piotrkowa, a ztamąd do Łasku, gdzie jednakże niczego o potężnym niegdyś rodzie dowiedzieć się nie mógł; pokazywano mu tylko ruiny dawnego zamku otoczone warzywnym ogrodem. Również mało dostarczył mu wiadomości rękopis Stefana Damalewicza zawierający historią o cudownym obrazie Matki Boskiej w Łasku, przechowywany w cesarskiej bibliotece w Petersburgu. Według tego rękopisu, Indelbert Łaski wylądował wraz z Wilhelmem Zdobywcą na brzegi Anglii i za waleczność okazaną w bitwie pod Hastings (1066) otrzymał zamek Pounfret. Jeden z jego potomków opuścił Anglię i za Bolesława Krzywoustego przybył do Polski, bił się walecznie i otrzymał w nagrodę wielkie dobra; wnuk jego Robert został już kasztelanem sieradzkim. Wtenczas to i ród Łaskich zaniechał używania herbu Lwa, którym się pieczętował niegdyś w Normandyi i Anglii, i przyjął herb Korab', na pamiątkę, że niegdyś w korabiu czyli na okręcie przodek ich przybył do Polski. Dalton nie wierzy, i słusznie, tej genealogii Łaskich podanej przez Damalewicza. Pierwszym z rodu, o którym coś niecoś wie historia, był Jan Łaski, zwany Małym, biskup krakowski zmarły 1392 roku. Potem już coraz częściej widzimy Łaskich na rozmaitych urzędach publicznych świeckich i duchownych. Andrzej Łaski, żonaty z Barbarą z Rembieszowskich, miał czterech synów, z których Jan został później arcybiskupem gnieźnieńskim, a zaś Jarosław najprzód wojewodą łęczyckim, następnie sieradzkim. Syn jego Jan, jest właśnie bohaterem biografii, o której zdajemy sprawę.

Gdyśmy tedy z autorem doszli do tego punktu, przyjrzyjmy się młodocianym latom, domowemu wychowaniu i edukacyi Jana Łaskiego. Urodził się on prawdopodobnie około roku 1499; mówimy prawdopodobnie, gdyż daty i miejsca urodzenia Dalton nie mógł znikąd wydobyć pomimo, że się znosił z kanonikiem Korytkowskim w Gnieźnie i sam czynił poszukiwania w Warszawie i w Łasku. Z trzech synów Jarosława Łaskiego, średni, Jan, stanowi główną osobę opowiadania; dwaj drudzy Hieronim i Stanisław o tyle wchodzą na scenę, o ile tego wymagało uwydatnienie głównej postaci. Otóż trzech tych chłopaków, gdy z lat dziecinnych w rodzinnym Łasku wyrosli, wziął do Krakowa pod swoje oko arcybiskup gnieźnieński i kanclerz koronny, ażeby czuwać nad ich wychowaniem i wykształceniem. Dwaj z młodzieńców mieli się z czasem sposobić do zawodu politycznego i dyplomatycznego; średniego, Jana, przeznaczał stryj arcybiskup do stanu duchownego. W Krakowie zatem, pod bokiem stryja i pod kierunkiem dobranych nauczycieli kształcą się młodzi Łascy głównie w języku łacińskim, czytają klasycznych autorów, z dala od ruchu stolicy, a nawet od dworu stryja, do którego jako do wysokiego dostojnika korony i kościoła, zajeżdżają znajomi oraz dyplomaci zagraniczni. O ile ze ską-

nych źródeł owego czasu, mówi autor, można sobie utworzyć wyobrażenie o kształceniu tamtoczesnej młodzieży szlacheckiej i pańskiej, przypomina ono w niejednym punkcie wychowanie, jakie się podziś dzień utrzymuje w starych szkołach angielskich, których szybko toczące się zmiany nie dotknęły. Nadto, i z innego względu zachodziło charakterystyczne podobieństwo, że zarówno tu (w Polsce) jak i tam (w Anglii) dorastający syn szlachecki słyszał w domu rodzicielskim co ojców poruszało. Wprawdzie młodzież nie mogła się jeszcze osobiście mieszać do rozmowy starszych, ale była uważnym słuchaczem i zdobywała tym sposobem w towarzyskim obcowaniu z dojrzalszymi ludźmi bez trudu, część swojego ukształcenia. Ojcowie jej, niegdyś w Polsce, a dzisiaj jeszcze w Anglii, nie byli bezczynnymi widzami tego, co się działo na świecie; wiedzieli oni o tém, że są powołani brać czynny udział w losach kraju, a kraj ten był wówczas równie wpływowy na losy społeczeństwa, jak dzisiaj Anglia w radzie narodów. Ażeby synowcom dać możność i gruntowniejszego ukształcenia i przyjrzenia się sławnym uczynom, których Kraków wtenczas w swoich murach liczył, wziął ich arcybiskup i kanclerz do swego boku. Sam on był mężem wielce poważnym i poważanym, uczonym i gościnnym, gromadził około siebie co było najznakomitszego w stolicy, a więc i synowcowie mogli nie mało korzystać z takiego obcowania. Taka to była atmosfera, którą oddychali młodzi Łascy, a późniejsze ich życie świadczy, że wzmacniająco na nich oddziaływała, że się dzielnie przygotowywali do przyszłego zawodu. A kiedy podrośli i zmężnieli, trzeba było pomyśleć o wyższym wykształceniu, o podróży za granicę, gdzieś do Włoch lub Francji, dokąd możniejsze rody polskie wysyłały swoich synów po naukę i ogładę. Padwa, Bononia, Paryż były wówczas takimi ogniskami nauki; a chociaż uniwersytet Krakowski znakomitych liczył profesorów i mnóstwo uczniów, jednak pobyt za granicą uważano za konieczny, dla tych zwłaszcza synów, których przeznaczano do zawodu dyplomatycznego lub wyższej hierarchii kościelnej. Tak też postąpił i arcybiskup Łaski z synowcami.

Właśnie pod ten czas, t. j. 1512 r., przysłał papież Juliusz II, Jana Staphileus'a, do króla Zygmunta Starego, zachęcając go do obesłania koncylium powszechnego, które zebrano do Rzymu. Król chętnie się zgodził i na duchownego posła wybrał arcybiskupa Łaskiego, a zaś świeckim nazначzył Stanisława Ostroroga, kasztelana kaliskiego. Prymas nie mógł się zaraz wybrać w podróż, gdyż go zatrzymywały ważne sprawy polityczne, mianowicie układy z mistrzem krzyżackim Albertem, a także groźba wojny ze strony w. księcia moskiewskiego, Turków i Tatarów. Dopiero więc pod koniec marca 1513 r., mógł arcybiskup przedsięwziąć podróż do Rzymu. Korzystając z tej sposobności, zabrał i dwóch synowców: Hieronima i Jana, Stanisław zaś tymczasowo został przy ojcu. Po drodze arcybiskup wstąpił do Wenecyi, ażeby doży Leonardowi Loredano zakomunikować zlecenia swojego monarchy. W po-

czątkach czerwca stanął w Rzymie, a wkrótce za nim i Ostroróg. Papież, Leon X (Juliusz II tymczasem umarł), przyjął prymasa z wielkiem uznaniem i nazaczył go na członka komisji soborowej, mającej radzić nad przywróceniem zgody między pany chrześcijańskimi i wykoźnieniem nadużyć i niewiary, zwłaszcza chodziło o potępienie dzieła Piotra Pomponazzo, który przeczył nieśmiertelności duszy. Tak więc, gdy stryj był zajęty wraz z ojcami soboru lateraneńskiego sprawy kościelnymi, synowcowie dalej odbywali studia w wiecznym mieście; nie mieli jednak na nich poprzestać, gdyż prymas uznał za potrzebne wysłać ich do Bononii, a sam dalej całe miesiące przebywał w Rzymie, biorąc udział częścią w pracach soboru, częścią załatwiając dyplomatyczną missyą od swojego monarchy. Zatem pod koniec r. 1514 otrzymał Jan Branicki, dozorca synowców, zlecenie, ażeby się z nimi przeniósł do Bononii.

Podróż z Rzymu do Bononii i krótki pobyt w oberży, co wszystko trzy dni zajęło, kosztowały 13½ dukatów, jak o tem donosi ów dozorca młodzieńców, Branicki, prymasowi. Z listów jego dowiadujemy się o biegu nauki młodych Łaskich, o ich sprawowaniu się i charakterze. Ciekawe to szczegóły, o których kilka słów zaraz powiemy; tymczasem mały epizod dodamy. Oto arcybiskup wyprawił w Rzymu, w maju 1514 r. swojego marszałka, kasztelana sochaczewskiego, Mikołaja Wolskiego, z ważnym zleceniem do Krakowa. Była to właśnie chwila, gdy po zwycięztwie orszańskim (8 Września) król Zygnunt, wyprawiając z powrotem Wolskiego, kazał mu zabrać kilku jeńców w podarunku dla papieża. Ponieważ zwycięztwo, o którym mowa, skrzyżowało plany habsburskie; więc z Wiednia polecono uwięzić Wolskiego, a jeńców rozkuć i odesłać do ojczyzny, mając nadzieję zyskania przez to względów ich monarchy. Głejt królewski nie uratował Wolskiego; Austriacy zawlekli go do Hall, pod Insbrukiem, i uwięzili. Wprawdzie krótko to trwało, pozwolono mu dalej jechać, ale jeńców nie wrócono, pomimo że ich Leon X domagał się od Maksymiliana cesarza.

A teraz wracajmy do Bononii, ażeby się przyjrzyć studjom młodych Łaskich. Oto najprzód przybył do nich najmłodszy brat Stanisław, wraz z marszałkiem arcybiskupim, Wolskim, oraz dwaj Radziwiłłowie: Stanisław i Jan, którzy się uczyli w Wiedniu, a na dokończenie edukacyi byli wysłani do Bononii ¹⁾. Oprócz tego, dwaj inni młodzieńcy, herbu Korab' utrzymywani kosztem arcybiskupa, zwiększyli grono uczniów. Widzimy też jakiegoś Macieja, który prawdopodobnie uczył w domu najmłodszego Łaskiego, a potem mu towarzyszył do Bononii. Tak więc mała ta kolonia polska składała się z dziesięciu osób: trzech Łaskich, dwóch Radziwiłłów, dwóch dalszych krewniaków

¹⁾ Ks. Korytkowski utrzymuje w biografii arcybiskupa Jana Łaskiego, że trzeci jego synowiec, Stanisław, nie był wcale za granicą na naukach (Joannis de Lasco „Liber Beneficiorum,” t. I, str. 88, Gniezno, 1880 r.).

prymasa, dozorca Branickiego, owego Macieja i lekarza, którego stryj dodał ukochanym swoim wychowankom.

Ponieważ pobyt w Bononii miał potrwać lat kilka, należało się więc odpowiednio urządzić, a przedewszystkiem ponaprawiać nieco podszarzaną odzież lub sprawić jakąś suknię nową, zastosowaną do mody, przyjętej między młodzieżą akademicką. Dwie zwierzchnie szaty dla Jana Łaskiego i Stanisława Radziwiłła, kosztowały 17 dukatów; parę nowych butów kupiono za 2 dukaty; cyrulik otrzymywał tygodniowo za 7-iu młodzieńców po 3 marki. Do mieszkania trzeba było sprawić sprzęty, stoły, stołki i pościel, każdy z uczniów otrzymał osobny stół z pulpitem, mosiężną lampę i inne drobiazgi. Załatwiał to wszystko Branicki, dozorca młodych Łaskich i każdy wydatek starannie zapisywał, dla zdania rachunku arcybiskupowi, przyczem nie omieszkał dodać, że jego uczniowie pracują wieczorami do godziny 9-tój.

Ale mając już gdzie mieszkać i na czem siedzieć i jeść się zachce; dlatego téż szkolna kolonia nie zapomniła zabrać ze sobą i kucharza z Polski. Jeden z Radziwiłłów okazywał szczególny talent gastronomiczny. Gdy z rana przekupnie z mięsem, rybami i inną żywnością przybędą, on będzie na domowej wadze przeważał nabyte artykuły, albowiem trzeba wydatki miarkować, gdyż na utrzymanie tygodniowe dla całego towarzystwa było wyznaczone mało więcej nad trzy dukaty; za drzewo i wino osobno płacono. Pranie bielizny uskutecziano za domem; praczka brała miesięcznie 4 karoliny.

Co do strony naukowej, to najprzód w pokoju winna być cisza, a każdy z uczniów zajęty przy swoim stoliku. Tylko wtenczas, gdy zapytany, może każdy pojedynczo odpowiadać, a mianowicie jednego dnia po włosku, drugiego po łacinie; po polsku nie mówiono wcale, jakby chciano zapomnieć swojego języka. Podczas obiadu czytano głośno ustęp z historii Czech po czesku; po obiedzie następowała dysputa o przeczytaném lub o tém, czego się do południa uczono; raz na tydzień nauczyciel odbywał egzamin z wykładanych przedmiotów. Branicki, donosząc prymasowi o swoich uczniach, chwali ich pilność, dobre obyczaje, a co do uzdolnienia, najwyżej stawia Hieronima Łaskiego. Jako Polacy, byli młodzi uczniowie w uniwersytecie zaliczeni do ultramontanów, czyli zagórskich; grupa ta obejmowała młodzież ośmnastu narodowości i stanowiła niby przeciwieństwo cytramontanów, t. j. Włochów. Profesorowie także dzielili się na korporacye. Uniwersytet Bonoński cieszył się w tym czasie kilku sławniejszymi profesorami, jak np. Bentivoglio, Modestus i kilku humanistów. Odczyty ranne kończyły się o 3-ój; wykładano Cycerona ad Atticum i Georgiki Wirgiliusza; po południu czytano Tucydidesa, Arystofanesa, Propercyusza i Cycerona. Pomiędzy młodzieżą różnojęzyczną, uczącą się w Bononii, przychodziło czasami do krwawych starć, jak np. w r. 1516, niedługo po zjeździe w tém mieście Leona X z Frańciszkim I. Niemcy wystąpili przeciw Lombardom; w obronie Niemców stanęli Polacy i Węgrzy, zaczęto się rąbać i strzelać, powstał rozruch, który trwał dwa dni, gdyż

burmistrz wziął stronę Włochów, a przez to oburzył cudzoziemców, zwłaszcza Niemców, w których imieniu gardłował głośny swego czasu błędny rycerz i poeta niemiecki Ulryk von Hutten.

Tymczasem pobyt we Włoszech zbliżał się do końca; młodzież cudzoziemska bawiła zwykle w uniwersytecie trzy lata. Zwyczaj ten tak się utrwalił, że najmający studentom mieszkanie właściciel domu, nie mógł wymawiać go przed tym terminem. Łascy jednakże nie zostawali w Bononii całego trzylecia; przed wyjazdem z Włoch, spotkała Jana wcale nieprzyjemna niespodzianka. Oto krewniak jego, Marcin Rambiewski, przyciśnięty od wierzycieli, wystawił na niego w Rzymie weksel do wysokości 670 złotych, którego, gdy nie mógł zapłacić, użyto nań, jak to bywało we zwyczaju, ekskomuniki. Stryj oczywiście musiał wykupić synowca, tak, że ten powrócił do kraju bez szkody na sławie.

Po pięcioletniej nieobecności w ojczyźnie, musiało młodemu paniczowi niejedno mniej się podobać; ale wola stryja była dlań prawem. Zresztą, ten stryj, arcybiskup Łaski, tak kochał synowca, że gdy Jan jeszcze się uczył w Bononii, już go mianował kanonikiem i kustoszem kolegiaty łęczycykiej (1517 r.); niedługo potem dodał kanonią w Płocku i Krakowie, chociaż synowiec liczył zaledwie 18 lat wieku i oczywiście święceń kapłańskich nie miał. Sprawa ta kosztowała go 1000 dukatów, jak w testamencie swoim pod r. 1517 zanotował; synowiec zatem jego, powróciwszy do kraju, nie potrzebował troszczyć się o kawałek chleba; stryj pamiętał o nim więcej, niż rodzony ojciec. Nareszcie też Jan Łaski wyświęcił się w r. 1521. Godności kościelne sypały się na niego z hojnej ręki prymasa, jak z rogu obfitości; w kilka lat potem został dziekanem kapituły gnieźnieńskiej, mając zaledwie 24 lata życia, a gdy po śmierci Erazma Ciołka zawakowało biskupstwo płockie 1522 r., arcybiskup zaczął kołatać u króla Zygmunta, by młodziutkiemu synowcowi ofiarował tę godność kościelną. Prośby jednak nie wysłuchano, chociaż bowiem arcybiskup miał wielką powagę i zachowanie u króla, nie brakło mu przecież i potężnych nieprzyjaciół, którzy zamiary jego krzyżowali, że tu wymienimy tylko Tomickiego krakowskiego i Krzyckiego poznańskiego biskupów. Za to niepowodzenie wynagrodził król przynajmniej w części swojego kanclerza i prymasa, mianując synowca jego Jana, jednym z swoich sekretarzy. Tym sposobem chciał prymas wprowadzić ukochanego synowca na arenę polityczną, żeby go usposobił do spraw publicznych, a z czasem może i do następstwa po sobie na prymasostwo.

Pomimo wszakże tylu zyskanych urzędów intratnych, młodemu księdzu Łaskiemu jakoś w domu nie smakowało, zatem skierował się do zagranicy; gdy więc brat jego, Hieronim, udawał się z misją dyplomatyczną do Rzymu i Paryża, wziął ze sobą Jana i Stanisława braci 1523 r. Po drodze wstąpili do Bazylei, gdzie się poznali z Erazmem rotterdamkim, którego eufonicznie nazywano wówczas królem humanistów. Erazm był zachwycony trzema młodzieńcami, a szczególnie księdzem Janem, o którym nadzwyczaj pochlebnie w listach swoich wspominał.

Podczas pobytu w Bazylei zapoznał się Jan z wielu głośnymi wówczas ludźmi, i wtenczas już niezawodnie zarwał nieco protestanckiej nauki. Z Bazylei udali się trzej Łascy do Paryża; najmłodszy z nich, Stanisław, wszedł do służby króla Franciszka I, a Hieronim, załatwiwszy zlecenia swojego monarchy, wrócił do kraju. Jana spotykamy pod koniec 1524 r. znów w Bazylei. Tym razem nastąpiło jeszcze większe zbliżenie z Erazmem rotterdamskim, u którego Jan Łaski zamieszkał i tak się do gospodarza swojego przywiązał, że kosztem swoim go utrzymywał, a nawet gdy Erazmowi brakło pieniędzy, kupił od niego bibliotekę, pozwoliwszy mu zresztą na zatrzymanie jej i używanie do śmierci. Hieronim znów Łaski ofiarował humaniście cenne jakieś naczynie srebrne; słowem, tak czcią okazywaną Erazmowi, jak i podarunkami zjednali sobie młodzi Polacy jego trwałą życzliwość. Ale za tym powtórnym pobytom w Bazylei, Jan Łaski pozawiazywał jeszcze liczniejsze znajomości z koryfeuszami humanizmu, a nawet z Zwinglim zetknął się w Zurychu. Wieści o tém dolatywały do kraju i tym stawały się dla niego niekorzystniejsze, ile że apostołowie Reformacyi zaczęli już w Polsce podnosić głowy, a nieprzyjaciele prymasa radzi byli ukłuć go postępowaniem synowca, o którym mówiono, że nie tylko wiary swojej się wyrzekł, lecz i żonę pojął. Dzieje się to w 1525 r., gdy właśnie Hieronim Łaski, w powtórnj misji dyplomatycznj za granicą, zboczył do Bazylei i przywiózł bratu stanowczy rozkaz stryja, ażeby wracał do kraju. Wprawdzie przed arcybiskupem uniewinnił się z zarzutów; przekonano się, że żony nie pojął, ale to nie wystarczało przeciwnikom rodu Łaskich: musiał jeszcze w Krakowie złożyć przysięgę oczyszczającą, że jest wiernym synem Kościoła rzymskiego i potępia szerzone spóźnień błędy religijne. Oczyszczeniwszy się więc z ciężących podejrzeń o herezję, wrócił do obowiązków pasterskich, nie przestając korrespondować z przyjaciółmi bazylejskimi, prowadząc dzieła świeżo ogłoszone, zwłaszcza Erazma rotterdamskiego, i w ogóle żywo badając cały ówczesny ruch protestancki. Częścią z obowiązków urzędu, częścią dla zasięgnięcia wiadomości w stolicy bywał téż Jan Łaski w Krakowie. Otóż razu jednego zetknął się z młodym duchownym, który tylko co wyświęcony na kapłana, gotował się do wyjazdu na dalsze nauki do Bononii. Tym duchownym był nie kto inny, tylko Stanisław Hozyusz, późniejszy młot protestantyzmu w Polsce, ale obecnie jeszcze nieświadom roli, która go czekała i dysputujący z Łaskim o tém, co wtenczas najżywiej obchodziło ludzi, t. j. o reformacyi religijnj.

Tymczasem w r. 1531 umiera arcybiskup Jan Łaski; synowiec traci w nim nie tylko kochającego stryja, lecz i protekcją. Już prawdopodobnie miną go dostojęstwa kościelne, które dlań przeznaczał nieboszczyk. Nieprzyjaciele jego skorzystają, by synowca usunąć z widowni, a znów synowiec ten coraz bardziej zaczyna się chwiać w swoich przekonaniach religijnych. Nim jednak do otwartego zerwania z Kościołem przyszło, upłynęło jeszcze od téj chwili lat kilka, widzimy go bowiem w 1538 r. archidyakonem warszawskim, a król Zygmunt, nie

przeczuwając w nim odstępcy, ofiaruje mu biskupstwo kujawskie. Ale Łaski już pod koniec wspomnianego wyżej roku kraj opuścił i przyjął naukę Kalwina. Dalszy więc jego żywot upływa na tułactwie za granicą, głównie w Holandyi, Anglii i Niemczech, a na resztę dni swoich znów wraca do Polski, ażeby spocząć na zawsze.

II.

Łaski opuścił kraj nieznaglany przez nikogo i udał się z początku do Frankfurtu nad Menem, w lecie 1538 r. Odjeżdżając, przyrzekł królowi, że będzie unikał osobistego spotkania się z reformatorami, przynajmniej z przywódcami protestantyzmu. We Frankfurcie niedługo bawił i wkrótce przeniósł się do Moguncyi, gdzie około roku zostawał. Tu zabrał znajomość z Hardenbergiem, Bernardynem holenderskim, który przybył do Moguncyi na dokończenie nauk teologicznych, i z niejakim Enzinas'em, Hiszpanem, sprzyjającym również nowościom religijnym. Gdy Hardenberg ukończył studia i otrzymał stopień doktora teologii, Łaski dał mu na pamiątkę téj chwili „Gramatykę hebrajską“ Reuchlina, którą sam był w darze otrzymał od Erazma. Niewiadomo, jakie pobudki skłoniły Łaskiego do wyjazdu z Moguncyi, gdy bowiem Hardenberg wracał do ojczyzny, zabrał się z nim do Lowanium (Loewen), gdzie jakiś czas przebywał. W Lowanium, jak i w innych miastach niderlandzkich, reformacja szerzyła się pocichu, na tajemnych schadzkach (conventicula), do których należał i Łaski. Regentką Niderlandów była pod ten czas wdowa po Ludwiku Jagiellończyku, królu węgierskim, co zginął pod Mohaczem, a razem siostra Karola V cesarza. Na tolerancją nowéj wiary w Niemczech, Karol V rad nie rad zgodzić się musiał; ale za nic w świecie nie myślał pobłażać Reformacyi w swoim rodzinnym kraju, w Niderlandach. Gdy więc doszła go wiadomość o szerzeniu się nowéj nauki, o tajemnych schadzkach wolnomyślnych ludzi, wydał surowy zakaz tolerowania nowatorów i wtenczas to zwolennicy protestantyzmu musieli z Lowanium uciekać. Łaski, który w tym czasie stanowczo już zerwał z Kościołem, pojął żonę, prawdopodobnie z pośród mieszczan lowańskich; unikając prześladowania schronił się do wschodniej Fryzyi (1540 r.).

Kraik ten na saméj północy Niderlandów leżący, miał swoich hrabiów napół niezależnych, z rodu Cirksenów. Ostatni z nich, hr. Euno umarł 1539 r., zostawiwszy nieletniego syna i żonę Annę, z domu księżąt Oldenburskich, która właśnie wtenczas, gdy Łaski przybył do Fryzyi, była regentką małego hrabstwa i nie obcą dążeniom reformatorsko-religijnym. Dzięki tym okolicznościom wschodnia Fryzya służyła zbiegom rozmaitych sekt protestanckich, za bezpieczniejsze od innych miejsc schronienie. Łaski, przybywszy do Fryzyi, osiadł w Emden'ie, z zamiarem spokojnego oddawania się studjom teologicznym. Wiadomość wszakże o jego przybyciu, a szczególnie o tém, że był gorliwym protestantem, skłoniła dwór hrabiowski do ofiarowa-

nia mu urzędu kaznodziei, którego nie przyjął, tłumacząc się nieznaną umiejętnością języka. Tymczasem wieści o sprawach religijnych we Fryzyi, doszły uszu Karola V, który polecił regentce Niderlandów, a siostrze swojej, Maryi, ażeby nalegała na hrabinę Annę, o wypędzenie zbiegów protestanckich z Fryzyi, jako mogących szkodliwie wpływać na ludność samych Niderlandów. Wtenczasto hrabina Anna zamianowała Jana Łaskiego superintendentem wszystkich gmin różnowierczych w swoim kraju.

Na tym nowym urzędzie Łaski rozwinął wielką energią, zaprowadzając ład w rozstrojonym kościele protestanckim i broniąc go od snujących się nowochrzczeńców, których we Fryzyi, pod te czasy, werbował niejaki Dawid Joris. Polemika z nim i z innymi marzycielami nie doprowadziła do żadnego porozumienia; rząd hrabiowski, ulegając naskowi regentki Niderlandów, wyznał co niebezpieczniejszych nowochrzczeńców, a zaś nad umiarkowańszymi nazaczył zwierzchnikiem Mennon'a. Byłto owoc pośrednictwa Łaskiego, który w ogóle za pomocą umiarkowania chciał skupiać w całość rozpadający się protestantyzm fryzlandzki na coraz nowe odcienie. Nie dosyć na tém. Lubo protestantyzm liczył już sporo wyznawców tajemnych i jawnych we Fryzyi, nie mieli oni jednakże swojego osobnego kościoła, lecz odprawiali nabożeństwo w kościele Franciszkanów. Wyznawców nowej wiary, zwłaszcza kalwińskiego kierunku, raziły szczególniej obrazy i posągi w świątyni katolickiej. Łaski tedy pisze bardzo śmiały list do hrabiny Anny, żeby kazała z kościoła franciszkańskiego, w Emden'ie, wyrzucić obrazy, grożąc, że w przeciwnym razie, on, jako superintendent, musiałby prosić o uwolnienie od urzędu. Reformator nasz w tym liście dowodził tak, jak jego mistrze i towarzysze, że cześć obrazów stanowi bałwochwalstwo, że zatem tolerować ich na miejscu świętym nie godzi się, że zakonników należy wyrugować, słowem zaprowadzić reformacyą. Nam, dzieciom XIX wieku, trudno zrozumieć téj kalwińskiej zaciekłości przeciw dziełom sztuki religijnej; téj faryzejskiej gorliwości o świętość domu bożego, w których kryła się tylko nienawiść do staréj wiary. Ale Łaski śpiewał, jak mu grali mistrze z Zurychu lub Wittenbergu. Czy ten wandalizm kalwinistów był u Łaskiego szczerym rezultatem przekonań, czy maską dla zasłonięcia świeżéj apostazy, trudno dziś o tém sądzić, chociaż jego biograf przypisuje to łasce boskiej i uwielbia swojego bohatera. Bądźco bądź, udało się Łaskiemu odsunąć Franciszkanów od kościoła, wyrzucić obrazy i zamienić go na zбір protestancki.

Wśród tych zatargów kościelnych, upływało życie naszego reformatora w Emdenie wcale niefortunnie. Najprzód zaczęła go dręczyć febra, jako nie przywykłego do wilgotnego klimatu Fryzyi, a to tak uporczywie, że mu z trudnością przychodziło choćby najkrótszy list napisać; powtóre, brakowało środków do życia, zwłaszcza w pierwszych tygodniach po osiedleniu się w Emdenie; musiał więc sprzedawać duplikaty z biblioteki swojej, by najpierwszym potrzebom zadość uczynić;

nareszcie dowiedział się, że brat jego Hieronim Łaski, wypuszczony z niewoli tureckiej, dogorywa w Krakowie i wzywa go do łoża. Wybrał się więc do ojczyzny (1541 r.), gdzie jeszcze zastał brata przy życiu i jakiś czas w Krakowie zabawił ¹⁾. Wszakże już następnego roku widzimy go w Emdenie, na urzędzie superintendenta, wojującego z Franciszkanami i anabaptystami. Walka z zakonnikami, przy poparciu rządu, nie była zapewne zbyt trudna; ale walka z cesarzem Karolem V, stała się niepodobieństwem dla reformatora i hrabiowskiego rządu Fryzyi. Fortuna kołem się toczy: kto innych wypędza, bywa też nieraz wypędzany. Tak też i z Łaskim się stało, jak zaraz zobaczymy. Nim do tego przyszło, musiał jeszcze Łaski zgryść niejednego twardego orzech. Gdy bowiem na chwilę ustał nacisk ze strony regencji niderlandzkiej, nowy a gorliwy superintendent zajął się jakimiśtakiemi zorganizowaniem gmin nowowierczych. Sprawa była niełatwa, raz dlatego, że do Fryzyi zbiegli się najrozmaitsi reformatorowie i każdy pastor na własną rękę uczył; a powtóre dlatego, że stronnicy luteranizmu gorąco nienawidzili polskiego przybysza, który w swoich wyobrażeniach przechylał się do Zwingliusza i Kalwina. Chcąc do jedności doprowadzić różnorodne opinie, zaprowadził Łaski najprzód wizyty po gminach i osobiście lub przez delegowanych wglądał w postępowanie pastorów, ich naukę kościelną, stan majątkowy kościołów i t. d. Ażeby zaś jeszcze mocniej ściągnąć cugle w swym ręku, urządził pewien rodzaj nieustającego synodu (coetus), na który pastory musieli się stawić i w ciągu pół roku czuwać nad stanem spraw religijnych, wzajem się upominać, karcieć niepoprawnych kolegów, słowem prowadzić inkwizycją. Nie był to oryginalny pomysł Łaskiego, gdyż podobne wizyty i trybunały inkwizycyjne pozaprowadzali kalwiści w Niemczech; zawsze jednak organizacyja ta pozwalała utrzymać w garści chwiejące się gminy fryzyskie. Na tém wszakże nasz reformator nie poprzestał. Wiedząc, że tylko przez młode pokolenie może nową naukę w kraju ustalić, zajął się urządzeniem szkółek, wyjednał od hrabiny, regentki Fryzyi, nakaz policyjny, ażeby rodzice koniecznie dzieci posyłałi do szkoły, i żeby cała gmina o utrzymaniu jęj myślała. Jestto jeden z pierwszych w Europie przykładów zastosowania przymusu szkolnego (1545 r.). Nadto ułożył katechizm, który długo służył za podstawę nauki religii tak we Fryzyi, jak i w gminie londyńskiej, do której potem został wezwany. Wszystkie te starania i prace około spraw religijnych we Fryzyi, wykazywały organizacyjny talent Łaskiego, ale też

¹⁾ Walewski mówi, że podczas tęg bytności w kraju, Łaski musiał się oczyszczać przed kapitułą krakowską z zarzutów o pojęcie żony. Tymczasem było to znacznie, bo o kilkanaście lat wcześniej, mianowicie 1525, nie zaś 1542 r. W ogóle trzeba wyznać, że biografia Łaskiego, którą Walewski pisał, jest nadzwyczaj bałamutną. Prostować wszystkich omyłek jego artykułu, nie widzimy potrzeby; zauważył to i Dalton, który cytuje w swoim dziele rozprawkę Walewskiego, drukowaną w „Bibl. Warsz.” (1872 r.).

przyczyniły się do jego utrapień, albowiem pastorowie luterńskiego kierunku, dzielając wyobrażenia swoich spółwyznawców niemieckich, nienawidzili zwolenników kalwinizmu, a więc i Łaskiego, nazywając go sakramentarzem. Trzeba tu bowiem dodać, że Łaski, przebywając jeszcze w Bazylei u Erazna, przejął się jego niechęcią do Lutra, nie tając lekceważenia dla gburowatego reformatora wirtenberskiego. Niechęć przywódców udzielała się zwykle ich stronnikom i ztądto we Fryzyi w owym czasie działo się to samo, co i w innych krajach, gdzie dwa kierunki nowowowiercze: kalwiński i luterński, nie mogły się ze sobą pogodzić, mimo wszelkich konkordyi. Łaski jednak radził sobie jak mógł, i przy pomocy policji doprowadzał do zgody i do brania udziału w swoim nieustającym synodzie spornych pastorów. Zapłacą mu oni później, ale w obecnej chwili są posłuszni.

Dotychczas towarzyszyliśmy Łaskiemu w jego pracach, sporach i kłopotach publicznych; otóż warto zajrzeć do jego domu i zobaczyć, co go tam zajmuje, bo i teologowie nie mogą ciągle rozprawiać o wierze usprawiedliwiającej bez uczynków, lub o naturze wieczery Pańskiej. Szczegółów do utworzenia sobie obrazu domowego życia Łaskiego, z czasu, gdy był superintendentem we wschodniej Fryzyi, mamy bardzo mało. Wiadomo tylko, że gdy przeprowadził wygnanie zakonników Franciszkańskich z Emdenu, zamieszkał w ich klasztorze. Zdrowie znów mu nie dopisywało, pomnażała się rodzina, zachodził w lata, a jeszcze żadnego kąta nie miał stałego. Z początku nie zamierzał stałe się osiedlać w Emdenie; gdy jednak sprawy religijne trochę urządził i lepiej się zagnieżdził, kupił pod samem miastem folwarczek do dzisiaj istniejący, zwany Abbingwehr, za 4500 talarów. Sumy atoli całkowitej nie mógł od razu spłacić, gdyż z kraju ojczystego niewiele mu rodzina przysyłała, a rząd hrabiowski również nie był bardzo hojny. Śladów jakichkolwiek po Łaskim w tej miejscowości nie mógł Dalton odnaléć. Za to dowiadujemy się, że ta letnia rezydencya posłużyła reformatorowi na zdrowie, zaczął się czuć lepiej i weselój, niż dotychczas, pisując bowiem do znajomych, do Kalwina, Melanchtona i bliższych przyjaciół, datował listy żartobliwie „ze swojego królestwa Abbingwehrsńskiego.” Oszczędnym nie był, bo jak mówi Dalton, Polakowi oszczędność nie w smak idzie, a Łaski i pod tym względem nie zaparł się swojej ojczyzny. Pożyczał, żeby nie odbierać, pisał do Kalwina list rekomendacyjny za jakimś szlachcicem, który reformatora genewskiego zarwał; więc Łaski prosi go, by mu dał wiedzieć, na jaką sumę poniósł szkodę, a on mu ją zwróci. Zona znów z jego polecenia posyła do Bremy jakimuś pastorowi garnuszek masła i parę serów, a wszystko domowej produkcji z owego „królestwa” pod Emden'em.

Zaledwie trzy lata cieszył się Łaski spokojnem posiadaniem tej własnej siedziby, z której tylko na krótko wyjeżdżał dalej, jak np. do Bonn, Wormacyi i Spiry (Speyer) w sprawach religijnych; zbliżała się burza, która go miała wyrzucić z gniazda i zmusić do nowego tułactwa. Wstrząśnięte w podstawach swoich Niemcy przez Reformacyą i wyni-

kające z niej wojny domowe i religijne, miał z jednej strony ratować sobór trydencki, w tym czasie obradujący, a z drugiej, w potrzebie, miecz Karola V. Z soborem i jego uchwałami nie chcieli protestancy książęta mieć nic wspólnego i postanowili sił swoich sprobować na placu boju. Liga, tak zwana szmalkaldzka, do której weszli książęta protestancy, została na głowę rozbita przez wojska cesarskie pod Mühlbergiem (1547), kurfirst saski dostał się do niewoli, innych odbiegła odwaga, czuli się złamani. Wtedy Karol V zwołał sejm do Augsburga w tymże 1547 roku, na którym spory religijne między katolikami a protestantami miały być załagodzone. Ponieważ książęta protestancy zostali pokonani orężem, musieli przyjąć warunki, które cesarz poddyktował. Ugodzie tej dano nazwę Interim (tymczasem), miała bowiem obowiązywać tymczasem, póki sobór trydencki nie rozstrzygnie sporów dogmatycznych.

Postem od Polski na ten sejm augsburski był Stanisław Łaski, brat fryzyskiego reformatora, a celem jego misji do cesarza oswobodzenie wziętych pod Mühlbergiem w niewolę książąt protestanckich i szukanie poparcia czynnego przeciw grożącym Turkom. Zauważono na posiedzeniach sejmowych, że Stanisław Łaski najpoufalej przestawał z Muley'em Hassanem, bejem Tunisu, który przybył do Augsburga szukać pomocy cesarza; bej najchętniej rozmawiał z Łaskim, gdyż ten w rodzinnym jego języku mógł się porozumiewać, co zgromadzonych książąt i hrabiów mocno zdumiewało. Spółczesny i obecny na sejmie jeden z dostojniejszych członków mówił o Stanisławie, że „poseł polski był wspaniałym, wielce doświadczoneym, uczonym, bardzo wymownym i w towarzyskim obejściu nadzwyczaj przyjemnym człowiekiem.” Z takiego to źródła miewał Jan Łaski, mieszkający daleko na północ w Emdenie, wiadomość o tem, co na sejmie augsburskim w sprawach religijnych postanowiono. Wiadomości te nie były dla protestantów w ogóle pomyślne; cesarz udawszy się z Augsburga do Bruxelli, kazał surowo wykonywać owo Interim, a tem samem musiało ono zagrozić i wschodniej Fryzyi, gdzie Łaski był superintendentem. Regencya niderlandzka zażądała od hrabiny Fryzyi, ażeby uchwały sejmu augsburskiego zastosowała w swoim kraiku, żeby zaprowadziła Interim. Łaski zmiarkował, że się z nim może źle skończyć, zwłaszcza, że niechętni mu pastrowie luterzańscy zaczęli podnosić głowy. Przebrany zatem i pod obcym nazwiskiem, uciekł przez Antwerpią do Anglii, dokąd go już dawniej wzywano, ażeby pomagał rozpoczętej przez Henryka Reformacyi (1548).

Kiedy się nieco uspokoiło, a Łaski przekonał się, że może bezpieczniejsz w Fryzyi przebywać, wrócił na parę miesięcy do Emdenu, umaniał i dodawał odwagi wystraszonemu pastorom, nie oszczędzał nawet samej hrabiny, czyniąc jej wymówki, że zezwoliła na zaprowadzenie Interim. Pobyt wszakże Łaskiego we Fryzyi trwał nie długo; książęta protestancy postanowili wciągnąć do ligi swojej Alberta, niedawno mistrza krzyżackiego, a teraz już księcia pruskiego, oraz Zygmunta

Augusta, króla polskiego. Łaski zdawał się odpowiednim agentem do wymiarkowania obu książąt, jako mający stosunki rodzinne, oraz związki z protestantami tak w Polsce, jak i w Prusiech. Opuszcza więc Fryzję i w 1549 roku udaje się do Gdańska, z kąd łatwiej się mógł porozumiewać. Pozorował on tę swoją podróż chęcią uzyskania pozwolenia od króla na przyjęcie służby w Anglii; trzeba bowiem dodać, że Łaski miał się ciągle za obywatela polskiego, gdyż kraj za pozwoleniem Zygmunta I opuścił. Zygmunt August jakkolwiek bardzo się przechylał ku nowościom religijnym, jednak nie miał odwagi zrywać z Kościołem i do związku przeciw cesarzowi nie dał się wciągnąć. Łaski tymczasem z Gdańska udał się do Królewca, gdzie ksiązę Albert, znający dobrze obu jego braci: Hieronima i Stanisława, chętnie go widział i do pomocy w reformowaniu swojego księstwa zapraszał. Łaski byłby może i osiadł w Królewcu, gdyby go pastory luterscy, jako kalwinistę i sakramentarza, nie wygryźli. Skoro zatem otrzymał od swojego króla pozwolenie na przyjęcie służby w Anglii, opuścił Królewiec i wrócił do Fryzji. Ale tu stawało się coraz goręcej. Wieści o kojarzeniu nowej ligi protestanckiej przeciw cesarzowi i o dyplomatycznych wycieczkach Jana Łaskiego do Prus i Polski, obudziły w Bruxelli podejrzenia i zaraz zaczęto się domagać od hrabiny i senatu Fryzji, by superintendenta wygnano. Tak więc po dziesięcioletnim pobycie w gościnnym kraiku, a po siedmioletniem blisko zarządzaniu kościołami i gminami Fryzji, musiał Łaski złożyć superintendurę (do lepszych czasów) i wynieść się z przybranęj ojczyzny. Na pożegnanie zjechali się do Emdenu pastory, zebrało się i świeckich ludzi sporo, uraczono się wspólną biesiadą i rozstano bardzo czule. Nowe zatem tułactwo czekało niespokojnego reformatora. Zostawiwszy żonę i dzieci w owym mająteczku pod Emden'em, udał się do Bremy, a ztamtąd na początku 1550 r. do Hamburga. Tu go doszło świadectwo od króla Zygmunta Augusta zapewniające, że nic złego nie knuł przeciw Karolowi V, cesarzowi, oraz zaproszenie do Anglii, mianowicie do Londynu, dla zorganizowania tamtejszój gminy protestanckiej, z cudzoziemców złożonój. Teraz więc pójdziemy za nim do Anglii i zobaczymy, co robił w Londynie.

Widzieliśmy powyżej, iż Łaski przebrany i pod cudzém nazwiskiem, schronił się do Anglii w r. 1548. Był to pierwszy jego pobyt, trwający niecały rok następny 1549, pod koniec którego udał się był, jak wspomniano, znów do Fryzji, a następnie do Alberta, księcia pruskiego. Gdy Łaski przybył do Londynu, zastał tam już niemało takich, jak sam, zbiegów, których cesarskie Interim z ogromnego państwa Karola V wyrugowało. Mianowicie byli tam już czynni: Ochino, Enzinas, Jan Utenhove, Valerand Poulain i wielu innych, znanych Łaskiemu bądź z Bazylei, bądź z Lowanium. Anglia w tym czasie została pod protektoratem księcia Sommerset, jako regenta za małoletności Edwarda VI; arcybiskup kantorberyjski, Tomasz Cranmer, porzuciwszy Kościół katolicki już za Henryka VIII, przeprowadzał teraz dalej

Reformacją. Do pomocy w tém dziele wczwał owych z całej Europy środkowej powyganianych przywódców. Łaskiego zalecił mu znajomy jego, a obecnie wykładowca w Oxfordzie Piotr Martyr, oraz doktor William Turner, który bawiąc w Emden'ie, poznał go jako superintendenta wschodniej Fryzyi i dostrzegł w nim talent organizacyjny, jakiego właśnie Cranmer potrzebował.

W cawili przybycia Łaskiego do Londynu nie było prymasa; w kilka dni jednak potem wrócił do stolicy i przyjął w pałacu swoim Lambeth synowca także prymasowskiego, a obecnie wygnańca z Fryzyi. Prymas angielski tak polubił Łaskiego, że mu ofiarował w domu swoim gościnność, z której tenże przez ośm miesięcy korzystał. Stosunki obu musiały być zażyłe i serdeczne, skoro Cranmer pisząc do Melanchtona, donosił mu, że „Jan Łaski, mąż najzaczniejszy, przemieszkał ze mną kilka tych miesięcy w wielkiej zażyłości i serdeczności.“ Trudno dziś dojść, o ile Łaski wpływał na Cranmera, a przez niego na organizację kościoła anglikańskiego; to jednak pewna, albowiem przez spóczesnego stwierdzona, że reformator nasz chwiejnego i opieszalego arcybiskupa zdaniem swoim wspierał i wraz z innymi wygnańcami do przeprowadzenia Reformacji w Anglii zachęcał. Tym różnorodnym wpływem obcych reformatorów rozmaitego kierunku religijnego, można sobie w części objaśnić tak niejednolity charakter wyznania anglikańskiego. Łaski, oprócz Cranmera, poznał się jeszcze i zaprzyjaźnił z wielu wpływowymi wówczas ludźmi w Anglii, jak William Cecil, sir John Cheke, oraz oba nauczyciele królewicza. Edwarda; słowem, stał się wcale głośnym człowiekiem, tak dalece, że gdy Hugh Latimer miał kazanie 22 marca 1549 r., wobec młodego króla, nie wahał się mu zalecać, by przyjmował do swego kraju takich ludzi, jak Łaski.

Ale tymczasem upływał termin urlopu, który Łaskiemu dała gmina w Emden'ie; chociaż więc i arcybiskup Cranmer i inni Anglicy radzi go byli zatrzymać w stolicy, opuścić Anglię i znów się zjawił we Fryzyi, częścią dla przekonania się, czyby nie można wrócić do urzędu superintendenta, a w części dla towarzyszenia hrabiemu Mausfeldowi, który miał traktować o przystąpieniu Anglii do nowej ligi protestanckiej przeciw Karolowi V. W kombinacji téj nie pomijano Polski, licząc na Zygmunta Augusta i dlatego Łaski mógł się zdawać inicjatorem jój dobrem narzędziem w przedsięwzięciu.

Wiemy z powyższego, że cały ten plan nie doszedł do skutku i że Łaski zabawiwszy jakiś czas w Gdańsku, a potem w Hamburgu, nie mając nadziei wrócenia do superintendency we Fryzyi, udał się znów do Anglii (Maj., 1550).

Podróż z Hamburga do Anglii nie była tym razem równie pomyslna dla Łaskiego, jak przed paru laty, gdy przebrany uciekał z Fryzyi; okręt, na którym płynął, trzy razy wyruszał z portu i trzy razy musiał wracać z powodu wzburzonego morza; wróciła też febra, która go przez parę tygodni trzęsła, tak iż rad nierad musiał w Ham-

burgu czekać lepszej pogody. Nareszcie gdy nieco przyszedł do siebie, wyruszył w drogę i szczęśliwie już zawinął do Anglii. Przyjaciele i znajomi powitali go otwartymi ramionami. Nim sobie mieszkanie i zajęcie w Londynie wynalazł, stanął tymczasem gospodarzem w pałacu Lambeth u swego przyjaciela, arcybiskupa Cranmera. Co do zajęcia, zgodzono się, żeby objął zarząd, czyli superintendenturę nad gminą protestancką, z cudzoziemców złożoną. Byli w niej zbiegowie włoscy, francuzcy, portugalscy, duńscy, niemieccy i hiszpańscy, wszystkiego niespełna pięć tysięcy. Francuzów obsługiwał Poulain, Włochów Ochino, Niemcy jeszcze się nie uorganizowali. Otóż, nad taką to pstrą zbieraniną mianował król Edward VI naszego Łaskiego superintendentem i wyznaczył dla niego z prywatnej swojej szkatuły 100 funtów rocznej pensyi.

Uorganizowanie w gminę religijną żywiółów różnojęzycznych a często i różnowierzących nie było rzeczą łatwą, raz dlatego, że członkowie jój mieszkali często daleko na przedmieściach Londynu, a powtórne, że zaczęli się kręcić nowochrześciance i unitarze psujący Łaskiemu nazajutrz to, co wczoraj zrobił. I tu jednak, podobnie jak swojego czasu we Fryzyi, zabrał się do dzieła z zapałem i energią i po niedługim czasie zaprowadził ład w gminie cudzoziemskiej pomimo przeszkód ze strony biskupa londyńskiego, który chciał i cudzoziemców zagarnąć pod swoją jurysdykcją. Łaski miał duże poparcie ze strony arcybiskupa Cranmera, a w potrzebie umiał przez przyjaciół, np. lorda Cecil, trafić i do samego króla. Zresztą, talent dyplomatyczny i organizacyjny był jakby dziedziczny w rodzinie Łaskich, a biograf reformatora kilkakrotnie zaznacza tę jego zdolność do zaprowadzania ładu w chaosie.

Kiedy już znalazł zajęcie, przeniósł się bliżej kościoła oddanego gminie na użytek, sprowadził z Fryzyi żonę i dzieci, zdawało mu się bowiem, że w Londynie trwalszy znajdzie pobyt. Ale projekta ludzkie tak często chybiają: pożądany i już niby schwytny pokój, tak często się wymyka, że nieraz całe życie człowieka składa się z takich ciągłych nadziei i zawodów. Tak było właśnie z Łaskim. Nastąpiła epidemia zwana „potem angielskim,” zachorował on sam i żona; gdy się podzwignęli, zaprosił ich Cranmer do swojej letniej rezydencji w Croydon, co bardzo pomogło obojgu Łaskim do zdrowia. Tymczasem żona powtórnie zapadła na tęż samą chorobę i już więcej nie powstała. Zostawszy z czworgiem dzieci superintendent gminy cudzoziemskiej w Londynie, spostrzegł, że mu trudno pogodzić obowiązków pastorskich z wychowaniem małych dzieci; więc też po roku ożenił się powtórnie, a do czworga z pierwszego małżeństwa przybyło jeszcze pięcioro dzieci z powtórnego, jakby na stwierdzenie błogosławieństwa obiecanego lewitom (1553). Jak Łaski ze swojego urzędu się wywiązywał, jak katechizował parafian, to nas już dzisiaj mało obchodzi; ale nie możemy pominąć jego udziału w organizacji kościoła anglikańskiego.

Jużesmy wspominali, że Łaski za pierwszej bytności w Londynie,

mieszkał około ośmiu miesięcy pod jednym dachem z arcybiskupem Cranmerem i był jego bodźcem w przyśpieszaniu reformy kościelnej; i za téj powtórnéj bytności, nim sobie wynalazł siedzibę, gościł również u arcybiskupa około dwóch miesięcy. A były to czasy stanowcze dla kościoła anglikańskiego. Chociaż już bowiem od lat dwudziestu zerwano z Rzymem, tak jednakże ważyły się wpływy luterzańskie i kalwińskie wśród wyższych dygnitarzy kościelnych, że nowemu kościołowi brakło sformułowanego wyznania wiary i liturgii i prawa kościelnego. Obradowały równocześnie dwie komisye, jedna układająca wyznanie wiary, druga prawo kościelne. Otóż, do téj drugiej mianował król i Łaskiego, który dał się już poznać wyższym dostojnikom angielskim tak świeckim jak i duchownym, a nawet samemu Edwardowi VI, przypisawszy mu swoje kazania o Sakramentach. W komisji układającej wyznanie wiary anglikańskiej, Łaski nie miał bezpośredniego udziału, ale pośrednio wpływał na Cranmera i Hoopera, biskupa z Gloucester, również jak i Łaski przechylającego się do kalwinizmu. Ułożone to nowe wyznanie wiary sformułowano w 42 artykułach, które następnie za rządów Elżbiety zredukowano do 39 będących do dziś dnia podstawą kościoła anglikańskiego.

Dotychczas widzieliśmy Łaskiego głównie jako misjonarza nowéj wiary działającego tak we Fryzyi jak i w Londynie na polu reformacyi kościelnej w duchu kalwińskim. Teraz przyjrzyjmy się jego pracy dyplomatycznej. Bracia jego Hieronim i Stanisław znani byli nie na jednym dworze europejskim; Hieronim zwłaszcza uchodził za mistrza w sztuce dyplomatycznej. Otóż, tego talentu miał nieco i nasz reformator. Jużesmy wyżej mówili, jak za pierwszego pobytu swojego w Londynie, wyjeżdżał do Fryzyi a ztamtąd do Gdańska i Królewca pod pozorem zyskania sobie urlopu od Zygmunta Augusta na dalszy pobyt za granicą, a w rzeczy dla wymiarkowania, czyby króla nie można wciągnąć do ligi protestanckiej. Projekt podobnej ligi wyszedł od księcia meklemburskiego Jana Alberta, w porozumieniu z margrabią brandeburskim Janem, Albertem księciem pruskim, książętami pomorskimi i miastami północnych Niemiec. Szło zaś téj lidze o zyskanie Anglii, to jest jéj pieniędzy na utrzymanie żołnierza do walki z cesarzem. Albert zatem, książę pruski, mianuje Łaskiego swoim posłem do regenta księcia Sommerset, a następnie i inni książęta niemieccy polecają swoim agentom, żeby rady jego słuchali. Raz mu polecono żądać od Anglii 50000 talarów subwencji, potem znów 400000 talarów na utrzymanie 12000 piechoty przez cztery miesiące, za co książęta obowiązywali się dostawić Anglii takąż liczbę wojska, gdyby ją kto zaczępił.

Łaski potrafił przez potężnych przyjaciół swoich skłonić do téj kombinacyi księcia Sommerset, a przez tego znów samego króla Edwarda VI. Zyskawszy posłuchanie u króla, przekładał mu w łacińskiej mowie korzyści podobnego związku książąt protestanckich i obowiązek podtrzymywania nowéj wiary, której cesarz niemiecki groził wyępieniem. Król nie był od tego w zasadzie, ale układy się prze-

wlekały, a tymczasem książę Sommerset, poplecznik tój polityki, w trakcie układów został od spraw publicznych odsunięty i wkrótce ścięty (1552 r.). Tym sposobem zabiegi książąt niemieckich i pośrednika ich Łaskiego, spełżyły na niczym. Trzeba więc było znów oddać się już wyłącznie zarządowi gminą cudzoziemską i obowiązkom pastorskim.

Nadmieniliśmy wyżej, jak organizacya tój gminy, złożonej ze zbiegów różnojęzycznych, była najeżona wieloma trudnościami, jak Łaski pomimo tego zdołał ją uorganizować, nie gardząc nawet ekskomunikacyą opornych członków, która mu się u katolików zdawała tak niebiblijną. Otóż w tój gminie cudzoziemskiej, żywiol najoporniejszy stanowili Włosi. Kaznodzieja ich, Michał Anioł Florio, zawinił coś przeciw 7-mu przykazaniu boskiemu; rzecz wyszła na jaw, musiano go zatem złożyć i usunąć. Ale brat Michał nie dał za wygraną bratu Janowi, skarżył go w Genewie przed Kalwinem, że źle tłumaczy predestynacyą, że inny pastor równie pod tym względem błądzi. Było to dla Łaskiego ciężką próbą, gdyż lękał się obrazić mistrza genewskiego, którego nazywa „mężem bożym.“ Jeszcze bardziej zmartwił go drugi kolega, kaznodzieja Doloenus, który zaczął uczyć, że rodziców, czyli świadków, przy chrzcie nie potrzeba; że te gminy, które inaczej, niż siedząc, komunią przyjmują, winne są bałwochwalstwa; że ze Składu apostołskiego należy usunąć artykuł o zstąpieniu Chrystusa do piekieł. Co gorsza, powiada biografia Łaskiego, że kaznodzieja ów, pomimo iż odwoływał piśmiennie te błędy, jednak do nich powrócił, utrzymując, że mu je Duch Ś-ty dyktował. A tak zbierało się na burzę, po trzyletniej jakiejśtakięj pogodzie, podczas której Łaski zarządzał gminą cudzoziemską w Londynie.

Po kilkoletniem panowaniu, albo raczej słuchaniu potężnych swoich opiekunów, Edward VI umarł na suchoty, mając lat 16 życia (1553 r.). Sam on, o ile w tak młodym wieku można rozumieć subtelności teologiczne, sprzyjał protestantyzmowi; bardziej jednak popierali nową wiarę jego opiekunowie, oraz arcybiskup Cranmer. Skoro Edward VI umarł, zmieniły się losy protestantów angielskich; po nim wstąpiła Marya, córka matki katoliczki i sama gorliwa katoliczka. Pierwszym krokiem jęj rządów, było przywrócenie stosunków przyjaźnych z papieżem, a następnie walka z odszczepieńcami; biskupi katolicycy wyszli z więzień, a miejsca ich zajęli protestancy; Cranmer skończył życie na stosie; w ciągu 5 lat rządów Maryi, 288 protestantów w takiż lub inny gwałtowny sposób poniosło śmierć. Wśród tego pogromu i Łaski musiał się wynieść. Wydany rozkaz polecał gminie cudzoziemskiej opuścić Londyn, w przeciągu 24 dni. Niektórzy jęj członkowie powrócili ze strachu do staręj wiary, inni pokryli się jak najgłębiej; kościół oddany niegdyś przez Edwarda VI protestantom cudzoziemcom, zamknięto; Łaski zaś, zabrawszy 175 osób, które nie chciały się poddać prawom angielskim, wsiadł na statek duński wraz z pastorami Utenhovem i Mikroniuszem i popłynął szukać nowęj ojczyzny. Reszta zbiegów wsiadła na drugi statek.

Było to w jesieni, gdy na morzu panują gwałtowne burze (17 Września); pędzeni w różne strony nieprzyjaznym wiatrem, gdy się morze nieco uspokoiło, przybyli zbiegowie do brzegów Danii. Łaski spodziewał się, że król Chrystyan III udzieli jego podróżnej gminie schronienie; wybrał się więc do króla, bawiącego w zamku swoim pod Koldyngą, w Jutlandyi. Zamiast pociechy i pomocy, pastorowie luterscy chcieli nawracać przybyśzów, a szczególnież kaznodzieja królewski, Noviomagus, wykładał, zaproszonemu z towarzyszami do kościoła Łaskiemu, naukę o sakramentach, i zakończył kazanie, któremu się król przysłuchiwał, ostrzeżeniem, by unikał sakramentarzy. Łaski zrozumiał, co to znaczy, i nie mylił się w przewidywaniu. Król, źle usposobiony dla zbiegów, których mu kaznodzieja jego wystawił jako nowochrzczeńców i sakramentarzy, dał im jałmużnę w ilości stu talarów i kazał co prędzej opuścić brzegi duńskie. Łaski prosił o zwłokę, żeby mógł ze swoimi chociaż przezimować, żądał dysputy z pastorami luterskimi, żeby go z Biblii przekonali, iż się myli w swojej nauce; ale wszystko napróżno; trzeba było wracać na okręty i wśród brył lodu szukać gościnniejszej przystani. Nowa zatém wędrownka, wśród zimy o chłódzie i głodzie, a wszędzie, gdzie zawinęli, czy do Wismaru, czy do Lubeki, czy nareszcie do Hamburga, uciekano przed nimi jak przed zarazą. W Hamburgu, pastor Westphal, Joachim, zakamieniały luteranin, póty wojował przeciw gminie i Łaskiemu, póki ztamtąd jęj nie wyparował. Nająwszy tedy statek, popłynęli Elbą na morze i zawinęli do wschodniej Fryzyi. Tu przyjęto Łaskiego, jako dawniejszego superintendenta, życzliwie; współwyznawcy jego także znaleźli pomoc. Hrabina Anna i senat Fryzyi, możeby byli zatrzymali Łaskiego na dawniejszym urzędzie; ale nie chcąc zadzierać z namiestnictwem Niderlandów i mając już dosyć walk religijnych, gotowi byli pozbyć go się delikatnie i poza plecami jego układali plan sprowadzenia Melanchtona, ażeby go postawić na czele kościoła protestanckiego wschodniej Fryzyi. Widząc, na co się zanosi, postanowił Łaski nazawsze opuścić Emden, co też i uczynił w r. 1555.

Wypędzona z miast północnych Niemiec, gmina Łaskiego rozproszyła się na cztery wiatry; część jęj została w Londynie, ukrywając się przed czujnym okiem biskupów anglikańskich; ten i ów przeszedł do kościoła biskupiego, inni musieli w krótkim czasie opuścić Anglią. Ci, których Łaski ze sobą zabrał, nie znalazłszy gościnności ani w Danii, ani w miastach północnych Niemiec, rozeszli się w rozmaite strony, do miast, które obiecywały większą tolerancją, mianowicie: do Frankfurtu nad Menem, Strassburga, Bazylei, Zurychu, Genewy, Wesselu. Najwięcej stosunkowo przybyło ich do Frankfurtu, gdzie utworzyli gminy: wallońską, angielską i niemiecką. Za nimi też podążył do Frankfurtu i Łaski. Ale i tu nie sądzono mu długo popasać. Zawzięty wróg jego, wspomniony wyżej pastor z Hamburga, Westphal, zaczął pismami podszczuwać magistrat frankfurcki, żeby nie tolerował sakramentarzy. Na domiar złego, wynikły spory między zbiegami, szczególnież między gminą wallońską a jęj pastorem Poullaiem. Po-

trzeba było złożyć sąd, co do prawowierności tego ostatniego. Wezwano więc do Frankfurtu na superarbitra samego Kalwina. Był tam równocześnie pastorem gminy angielskiej John Knox. Łaski sprawował obowiązki niby superintendenta nad gminą niemiecko-holenderską. Do owego sądu polubownego wybrano na członka i Łaskiego; sąd oczyścił Poullaina z zarzutów, korzystając zaś z obecności patriarchy ewangelików, Kalwina, Łaski proponował zebranie ogólnego synodu protestantów, na co i Kalwin się zgadzał. Rzecz jednak nie przysłała do skutku, z powodu ciągłych sporów między wyznawcami Lutra i Kalwina o wieczerzę Pańską. Łaskiemu chodziło bardzo o to, żeby się przekonały magistraty i książęta, udzielający schronienia zbiegom, iż ci ostatni i on sam nie różnią się w istotnych punktach nauki od wyznania augsburskiego, które nietylko w Niemczech cieszyło się większą tolerancją, niż radykalniejszy kalwinizm, ale nawet i w Polsce, dokąd właśnie pod ten czas zapraszali go spółwiercy. Ale, pomimo tego, że sam Melancton dawał Łaskiemu świadectwo, iż przekonania jego nie przeciwią się wyznaniu augsburskiemu, nie chciano mu wierzyć. Pastorowie luterscy ze wszystkich stron zaczęli nań uderzać, tak, że w końcu spostrzegł, iż we Frankfurcie niema co robić i że trzeba wracać do kraju. Nim jednak do tego przyszło, udał się jeszcze do Stuttgartu na dysputę z tamtejszym kaznodzieją dworskim Brenzyuszem, pomimo że i Kalwin i Piotr Martyr byli temu przeciwni. Dysputa przyniosła ten sam rezultat, co wszystkie ję podobne, czyto między teologami protestanckimi, czy między ewangelickimi a katolickimi: nikt nikogo nie przekonał. Po dysputach wracano do domu z większą jeszcze zawziętością. Jużto trzeba wyznać, że Łaskiemu nie udawały się nigdzie jego ireniczne, ugodowe dążności: zarówno obecnie w Niemczech, jak i później w Polsce. Wina wszakże tych niepowodzeń leżała nie w nim, ale w różnicy nauk Lutra i Kalwina, których dotychczas nie zdołano pogodzić. Tak więc zrobiwszy, jak dziś mówią, *fiasco* i we Frankfurcie i w Stuttgardzie, Łaski postanowił wrócić do ojczyzny. Żonę i dzieci zostawił we Frankfurcie, a sam, wzięwszy ze sobą Utenhova, puścił się w drogę do Wittenberga, żeby pomówić z Melanctonem; prawdopodobnie, żeby wyjednać sobie jakiś list rekomendacyjny do wyznawców augsburskich w Polsce, jako człowiek niepodejrzany. Trzeba bowiem dodać, że spór o wieczerzę Pańską, między luteranami a kalwinistami toczony w Niemczech, dosięgał i Polski, gdzie pisma Westphala, owego wroga Łaskiego, były czytane. Że zaś Łaski ciągle pracował nad pojednaniem dwóch głównych obozów protestanckich, w Niemczech więc i w Polsce zamierzał dążyć do tego celu: zalecenia Melanctona bardzo mu się przydać mogły. Zabawiwszy tedy niedługo w Wittenbergu, skierował drogę do Polski. We Wrocławiu ponowiła mu się febra i trzęsła go przeszło tydzień. Gdy nieco wyzdrowiał, puścił się w Grudniu 1556 r. już wprost do kraju rodzinnego.

Pomimo, że Łaski już przed 18 laty Polskę opuścił, zostawał je-

dnakże ciągle w korespondencji ze znakomitszymi rodakami swojego wyznania, którzy już w 1552 r. działali na niego przez Cranmera, gdy bawił w Londynie, ażeby pośpieszał do kraju. Była to pora, gdy w Polsce stan rycerski, liczący już w swoich szeregach wielu innowierców, bił w sejmach na biskupów, żeby im odjęto jurysdykcją nad szlachtą w sprawach o wiarę, i tym sposobem ułatwiono szerzenie nowej nauki. Łaski zdawał się naszym protestantom najdzielniejszym do tego narzędziem, ile że już dawno i głośno o nim po świecie mówiono. Wtenczas jednak jeszcze się nie decydował na powrót do kraju; dopiero we cztery lata, gdy go zewsząd wypędzono, a w Polsce władzę biskupią obcięto, postanowił wrócić do swoich. Wróćmy więc i my za nim, żeby zobaczyć jak mu się powodziło w Polsce przez kilka ostatnich lat życia.

III.

Gdy Łaski powrócił do ojczyzny, liczył 60 rok życia, a życie to było prawdziwie tułaczce, jak widać z powyższych wiadomości; nie wyczerpało ono przecież w nim reformatorskiego zapału. Z Wrocławia udał się w początkach Grudnia 1556 r. wprost do Balic pod Krakowem, gdzie go Jan Bonar, ówczesny dziedzic téj majątności, kalwinista z wyznania, gościnnie przyjął. Na spotkanie reformatora przybyli do zamku balickiego krewniacy jego, trzej Ostrorogowie, u których kaznodzieją był Feliks Krucyger, Stanisław Myszkowski, późniejszy kasztelan sandomierski, oraz wielu szlachty różnowierczej. Jakie tam było przywitanie, jakie nadzieje pokładano w reformatorze, kroniki nie mówią; on zaś sam, pisząc do Genewy następnego roku, wyrażał się w tych słowach: „Jestem tu, mój Kalwinie, kłopotami i trudami literalnie przywalony, tak, że mi brak czasu na pisanie. Z jednej strony napastują nas nieprzyjaciele, z drugiej fałszywi bracia, nie pozwalając żyć w pokoju.” Co do nieprzyjaciół, łatwo ich odgadnąć; byli to gorliwsi biskupi katoliccy z Hozyuszem na czele, oraz świeżo przystający od Pawła IV, papieża, nuncyusz Lippomani. Właśnie w tym roku obradował sejm w Warszawie; biskupi, dowiedziawszy się o powrocie Łaskiego do kraju, nalegali na Zygmunta Augusta, żeby go, jako kacerza, wygnął; ale król ciągle chwiejny, nie dał odpowiedzi stanowczej. Protestantów w senacie było już dużo, ale daleko więcej w Izbie poselskiej; gdy zatem nuncyusz wszedł do sejmu, dał się słyszeć głos: „witaj rodzie jaszczurczy, *Salve progenies viperarum!*“ Przejęto jego listy, w których miało niby stać zalecenie, żeby się domagał od króla głów 8 lub 10 protestantów, a spokój nastąpi. Nuncyusz zmiarkowawszy, że tym razem nic nie wskóra, prosił w Rzymie o rychłe odwołanie go z Polski. Paweł IV, papież, dowiedziawszy się o uchwale sejmowej z 1556 r., pozwalającej szlachcie trzymać na swoich dworach predykantów innowierczych, oraz o powrocie Łaskiego, pisał do króla surowy list, naganiający ową uchwałę i domagający się

wydalenia z kraju głowy kacerstwa. Wszystko to mało skutkowało: Łaski pozostał.

Fałszywi bracia, o których Łaski w liście do Kalwina mówił, byli to luteranie, szczególnież zaś ów Brenzyusz, kaznodzieja stuttgartzki, z którym nasz reformator przed kilku laty dysputował, i który teraz piśmiennie ostrzegał swoich spółwierców w Polsce, by się strzegli Łaskiego. Drugim był Vergeryusz, jeden z wielu goszczących u nas podówczas Włochów, przedtém legat papieżki do Ferdynanda austriackiego, a potém zawzięty wróg stolicy papieżkiej. Musiał więc Łaski potykać się na wszystkie strony. Chodziło mu o to, żeby się oczyścić z zarzutów sakramentarstwa i wyznaniu kalwińskiemu zapewnić tolerancją, jakiej używali wyznawcy augsburscy. Pisze więc list do króla i dołącza do niego wyznanie wiary augsburskie, mające świadczyć o jego prawomyślności. Gdy kamerdyner doręczył list Zygmuntowi Augustowi, król, będąc zajęty czém inném, położył go na krześle, a tymczasem pies pochwycił pismo i poszarpał je na kawałki. Udało się jednak pozbierać je i skopiować życzenia Łaskiego, na które król kazał odpisać, że zostawia go w spokoju, ale ostrzega przed nowościami, bo w przeciwnym razie będzie z kraju wygnany.

Niedługo potém, gdy król bawił w Wilnie, podążył tamże Łaski (w Marcu 1557 r.) wraz z Utenhovem, żeby sobie wyjednać u monarchy osobiste posłuchanie. Na Litwie głową kalwinizmu był Mikołaj książę Radziwiłł, szwagier królewski, u którego Łaski przeszło miesiąc zamieszkał gościną. Dzięki protekcyi potężnego magnata, przyjął król reformatora z jego towarzyszem Utenhovem, podobno bardzo serdecznie (amantissime), słuchał jego mowy, podał nawet obu im przy rozstaniu się rękę, ale urzędowa odpowiedź, udzielona w trzy dni później przez podkanclerzego, brzmiała nie bardzo zachęcająco. Zatem Łaski wyjednał sobie zupełnie prywatne posłuchanie, przyczém, jak twierdzi jego biograf, miał królowi czynić gorzkie wyrzuty za opieszałość w zaprowadzeniu reformacyi. Zygmunt August wysłuchał tego wszystkiego spokojnie (si fabula vera) i zbył reformatora tém, że wojna o Inflanty wisi nad głowami, a więc nie czas myśleć o reformacyi; później jednak obiecał zająć się tą sprawą na seryo. Tymczasem w urzędowej odpowiedzi twierdził król, że nie myśli zmieniać wiary przodków od 600 lat zaprowadzonój. Łaski musiał zmiarkować, że z Zygmunta Augusta nie zrobi Henryka VIII angielskiego; więc tóż, zabrawszy się, wrócił z Litwy do Małopolski.

Małopolska liczyła już podówczas przeszło 30 małych gmin ewangelickich. Najczynniejszym protektorem reformacyi w tych stronach był Mikołaj Oleśnicki, dziedzic Pińczowa, który zakonników miejscowego klasztoru Paulinów rozpędził, kościół oddał ewangelikom, a w klasztorze założył szkołę. Kręcili się koło niego Feliks Krucyger, Stancar i Łaski wspomagając go radą. Pińczów został stolicą nowój wiary w Małopolsce. Gromadziły się tam umysły najniespokojniejsze wszelkich narodowości i przekonań. Pozornie, ludzie ci należeli do kalwi-

nizmu; niektórzy jednak zaczęli głosić naukę aryańską, szczególnież Stancar. Rozdwojenie w gminie pińczowskiej stawało się coraz wyraźniejsze; radykalniejsi z pastorów usuwali się szukając punktu oparcia gdzieindziej, póki ich we wspólnym wyznaniu nie połączył socynianizm. Łaski bolał nad tém rozdwojeniem ewangelików i dokładał wszelkich usiłowań, żeby niesforne żywiły trzymać w kupie. Wiedział on o ugodzie religijnej zawartej w Koźminku w 1555 r. między braćmi czeskimi a kalwinistami z Małopolski, ale nie podzielał jój zewszystkiem; zdawało mu się bowiem, że spółwiercy jego zawiłekie poczynili ustępstwa na rzecz wyznania braci czeskich; on wołałby był mieć całkiem wolne ręce jak przed laty w gminie londyńskiej. Łaski chciał widocznie utworzyć jakieś wyznanie oryginalne: ani czysto kalwińskie ani luterzańskie, pomimo, że udawał jakoby się nie różnił od konfesyji augsburskiej i od wiary helweckiej. Pogodzenie tych dwu kierunków protestantyzmu chybione w Niemczech, nie mogło się udać w Polsce, a ten co około podobnej unii pracował, musiał się obu stronom narażać. Tak było i z Łaskim: walczył on i z braćmi czeskimi i z aryanami, niby ustępując im w mniej istotnych punktach wyznania, a w gruncie pragnąc przeprowadzić swoje poglądy najbliższe kalwinizmu, z którym sympatyzował. W tym duchu pisał i pracował na synodach przysposabiając umysły do powszechnej unii protestantów polskich wszelkiego odcienia i tyle wskórał, że unia taka nastąpiła chwilowo po jego śmierci na synodzie w Sandomierzu 1570 r.

Jużeśmy powyżej zaznaczyli ten ireniczny charakter całej pracy reformatorskiej Łaskiego za granicą; ale i w swoim kraju była to myśl przewodnia jego życia. Jak tylko przybył do ojczyzny i osiadł w Pińczowie, widzimy go ciągle zajętego ugodą, jednaniem wody z ogniem; urzędowego stanowiska nie miał, gdyż seniorem gmin kalwińskich w Małopolsce był ciągle Feliks Krucyger; Łaski jednak ujął, moralnie, że tak powiemy kierownictwo spraw reformatorskich; brał udział we wszystkich synodach kalwinistów małopolskich, odbywał konferencye z pastorami, biegał w rozmaite strony w interesie swojego wyznania, tak że sobie zasłużył u spółwierców na miano „ojca.” Słowem, co „Vater” Łaski powiedział, uważano za stanowcze, bo przecież ocierał się o Zwingliusza i Kalwina i Bullingera i wszystkich wybitniejszych głowaczy reformowanych; a chociaż sam nie doszedł do tego znaczenia w Polsce, jakiego tamci wśród swoich używali; chociaż był gwiazdą świecą odbłaskiem słońce zagranicznych, jednak zawsze czuł się wyższym i powołanym do przeprowadzenia reformacji w swojej ojczyźnie. Wszystkiemu tym usiłowaniom Łaskiego stawali na przeszkodzie częścią katolicy biskupi, a jeszcze więcej teologowie luterzańscy. Tak np. gdy w roku 1558 udał się do Alberta księcia pruskiego, żeby go dla unii protestanckiej pozyskać, i tam predykanci luterzańscy czynią mu przeszkody. Odbyta z nimi w Królewcu dysputa o wieczery Pańskiej nie wydała żadnego rezultatu; reformator wrócił do kraju nic nie sprawiwszy, albowiem teolo-

gowie królewieccy nie raczyli nawet odpowiedziéć na jego pismo w tój materyi. Nieufność, jaką przeciw niemu w północnych Niemczech obudzili Westphal, Timann i Albertus, a w kraju Vergeryusz, tak źle uprzedziła luteranów polskich, iż projekta zjednoczenia ciągle się rozplýwały. Musiał się tedy bronić na wszystkie strony i przeciw krajowym i przeciw zagranicznym nieprzyjaciółom: słowem, resztę życia spędził tak jak i czas pobytu za granicą, na szermierce teologicznej i dysputach.

Wkrótce po powrocie z Królewca uprosił króla, żeby mu pozwolił odbyć dysputę religijną z Hozyuszem roku 1559. Pozwolenie nastąpiło; synod pińczowski wydelegował do pomocy Łaskiemu w tój gigantomachii Lizmanina, Krucygera, Paulego, Lutomirskiego i Sarnickiego, słowem najlepsze siły kalwinistów małopolskich; jednakże do potyczki nie przyszło, gdyż umysły zajęte były napadem Tatarów, którzy, jak w Pińczowie opowiadano, uprowadzili 30,000 ludu w jassy, głodem i upałem strasznym, jaki w tym roku panował. Wprawdzie mieli protestanci niejaką pociechę za ten zawód spodziewanego zwycięstwa, gdyż na sejmie piotrkowskim r. 1559 Tarnowski wniósł projekt, żeby biskupów z senatu wydalić; ale i projekt upadł i nawet gdyby był przyjęty, można wątpić, czyby nastąpiło zjednoczenie kalwinistów z luteranami. Tymczasem Lippomani pracował z biskupami nad królem w celu odwiedzenia go od sprzyjania różnowiercom. Właśnie pod ten czas umarła królowa Bona we Włoszech, zostawiwszy niemajął spadek, o który Zygmunt August, jako spadkobierca, miał wystąpić, a tómsamemu nie mógł sobie narażać papieża, przez forytowanie różnowierców. Widząc tedy, że ani z królem, ani z katolikami nie poradzi, rzucił się Łaski w walkę z socynianami, którzy zaczęli podnosić głowę w Pińczowie. Statoryusz, Blandrata i Stancar udawali, że trzymają z kalwinizmem, w duszy jednak hołdowali arianizmowi. Zdarzyło się raz podczas dysputy ze Stancarem w Pińczowie, że obaj teologowie tak się rozgorączkowali, iż Łaski porwał leżący przed sobą potężny wolumen Biblii i rzucił nim w głowę Stancara, nazywając go mantuańskim żydowinem. Był to argument widocznie bardzo silny, bo kroniki nie wspominają o nowój dyspucie, zwłaszcza, że i siły zaczęły już Łaskiego opuszczać; zbliżał się kres jego trudów. Po tój bliźniej rozprawie ze Stancarem, raz tylko jeszcze zabrał on głos na synodzie zwołanym do Pińczowa 1559 (w sierpniu) i nie poprzestając na wygrzmoconiu przeciwnika twardym argumentem, potępił naukę jego publicznie wobec pastorów.

Pod koniec wspomnionego roku, przypuszczalnie około Bożego Narodzenia, reformator ciężko zachorował i już się z łoża nie podniósł więcej. Cierpienia wzmagaly się z każdym dniem, a 7 stycznia stracono nadzieję ocalenia chorego. Przy umierającym znalazł się dziedzie Pińczowa, Oleśnicki, wraz z żoną i innymi osobami; Łaski, ku zdziwieniu obecnych, zaczął się modlić po niemiecku, wołając: „Mein Herr und mein Gott.” Następnego dnia, t. j. 8 stycznia 1560 r., po

ciężkich boleściach skończył i jak naoczny świadek pastor Sylwiusz zapewnił: „dusza jego przeniosła się z tego pełnego trosk życia do niebieskiej ojczyzny.”

Zanim się pastorowie z rozmaitych stron zjechali, upłynęło trzy tygodnie do pogrzebu, a tymczasem tworzyła się legenda. Orsacyusz, przełożony szkoły pińczowskiej, a razem zacięty przeciwnik Łaskiego, puścił bajkę, jakoby mu się po śmierci zrosły wargi; chciano przeto prawdopodobnie okazać, że Pan Bóg sam za karę zamknął usta, które przedtém często się otwierały na umartwienie teologów. Bajka musiała zaniepokoić spółwierców, skoro synod nakazał otwarcie grobu i tym sposobem przekonał oszczerców o mylności pogłoski.

Łaski zostawił wdowę i dziewięcioro dzieci; z tych córka jedna wyszła za mąż za Stanisława Lutomirskiego, pastora, druga za Jana Morsztyna, żupnika wielickiego; o synach mało wiadomo. Rodzina po śmierci ojca była tak ubogą, że pastorowie złożyli na jęj utrzymanie tymczasowo 289 złotych, a następnie wdowa podała do króla prośbę o wsparcie; jednak niemasz śladu, czy jęj zadość uczyniono. Krewni, choć bogaci, jakoś zapomnieli o rodzinie reformatora. Według testamentu napisanego jeszcze we Frankfurcie, Łaski przeznaczał połowę szczipłego mienia żonie, a drugą dziewięciorgu dzieciom.

Taką jest w streszczeniu opowieść Daltona o Janie Łaskim, reformatorze religijnym. Po przeczytaniu jęj dowiedzieliśmy się wielu szczegółów z awanturniczego życia człowieka, którego katolicy odtręcili jako apostatę, a którego spółwierca i biograf nam spółczesny nazywa męczennikiem. Rozpoczynając niniejsze sprawozdanie z dzieła Daltona, obiecaliśmy podać na końcu nasze zdanie o jego wartości. Otóż najprzód zaznaczmy, że praca ta niemieckiego historyka odznacza się staranném zużytkowaniem źródeł i opracowań, tyjących się życia i działania Łaskiego. Chcąc się przekonać, czy w paru nowszych dziełach o rodzinie Łaskich, mianowicie w biografii Jana Łaskiego, arcybiskupa, napisanej przez ks. Korytkowskiego i w biografii dwutomowej Alberta Łaskiego, wydanej świeżo przez Kraushara, nie znajdziemy nowych faktów, mogących uzupełnić dzieło Daltona o Łaskim, reformatorze, przeczytaliśmy obie te biografie, nieznanne jeszcze autorowi niemieckiemu. Wszakże, oprócz bardzo luźnych wzmianek, nie spotkaliśmy się z niczém nowém. Za to, tak w tych dwóch biografjach, jak i w dawniejszych artykułach drukowanych, dotyczących tegoż przedmiotu, zauważyliśmy sprzeczności w datach i faktach między rzeczonymi artykułami, a biografją Daltona. Dochodzić, kto z pośród licznych autorów, piszących o rodzinie Łaskich, ma słuszość, nie widzimy potrzeby, ani mamy możności; zwracamy tylko uwagę na te sprzeczności, zostawiając rozstrzygnięcie rzeczy historykom z powołania. Zauważymy jedynie, że Dalton korzystał z bogatej literatury zagranicznej i nie drukowanych protokołów synodalnych ewangelików polskich, że zwiedzał miejsca pobytu swojego bohatera i że jako teolog

protestancki, lepiej rozumiał naturę sporów religijnych, niż nasi autorowie, zwłaszcza świeccy, a ztąd i dzieło jego wyróżnia się pewną ścisłością w traktowaniu przedmiotu, którego historycy świeccy nie bardzo rozumieją. Praca więc jego powinna się znaleźć w ręku naszych historyków, tak tych, którzy pracują około dziejów kościelnych, jak i tych, którzy uprawiają dzieje polityczne dawniej Polski.

Nie można też autorowi odmówić talentu dziejopisarskiego; umiejętne zgrupowanie materiału, potoczystość opowiadania, umiarkowana krytyka, wszystko to razem wzięte sprawia, że dzieło jego czyta się jak zajmującą powieść. Nie spotkaliśmy w niém nigdzie docinków i szyderstwa z narodu, tój niemieckiej buty uczonej, która natrzasa się z upadłych i sarkazmem dobija tych, których przodkowie jój chytrnością i orężem powalili. Z tego względu możnaby dzieło Daltona postawić obok prac Roeppla, Caro i Zeissberga, traktujących dzieje nasze.

Ale z drugiej strony, przebija się z tój biografii Łaskiego konfesyjny, ewangelicki i zacięty charakter autora, nie licujący wcale z obiektywnością i spokojem, tak niezbędnymi w dziełach iście historycznych. Dalton jest kalwinistą i grzeszy na równi z wielu historykami protestanckimi pewnem uprzedzeniem do kościoła rzymskiego. Wolelibyśmy w pięknej jego pracy o Janie Łaskim nie spotykać docinków czynionych papieżtwu i naszym dostojnikom kościelnym (str. 57, 495, 508 i inne), gdyż dzisiaj wiemy, że nietylko katolicy, broniąc swojej wiary, prześladowali protestantów; ale że i ci, gdzie mieli przewagę, jak w Anglii, Hollandyi i wielu stronach Niemiec, płacili katolikom pięknem za nadobne. Słowem, historyk dzisiejszy, opowiadający dzieje zatargów religijnych XVI wieku, powinien chłodniej patrzeć i trzeźwiej oceniać tych warchołów sekciarskich, którzy dla jakiejś różnicy metafizycznej w dogmatach lub obrzędach religijnych, gotowi byli nietylko w kraju wicherzyć, lecz i nieprzyjaciół wzywać na pomoc. Otóż, tój chłodnej krwi i tój bezstronności brakuje Daltonowi; jest on zanadto przejęty swoją wiarą i miejscami przemawia nietylko jak historyk, ile raczej jak kalwiński misyonarz. Cóżkolwiekby, te konfesyjne usterki, które autor zapewne uważa za obowiązkowe zalety swojego dzieła i stanowiska, nie są zbyt liczne i nie odejmują wartości jego pracy.

F. K.

LORD BEACONSFIELD *).

PRZEZ

• *Edmunda Naganowskiego.*

Nie dawno temu, dwóch było mężów w Anglii, znanych olbrzymiemu cesarstwu brytyjskiemu, znanych Europie i światu. Dziś jeden tylko pozostał. Czas dokończył historyografi Benjamina Disraeli, pisarza, męża stanu, hrabiego Beaconsfield, przeciwnika nowoczesnego whigizmu i twórcy neo-toryzmu... i przewrócił kartę półwiekowych dziejów Anglii. Przyszłe pokolenia upomną się kiedyś o wszystkie tajniki naszych czasów i z nich wyśledzą pasmo działań i przedsięwzięć tego ducha, który nie daleko jeszcze się unosząc ponad nami, nikogo do swych nie dopuszcza skrytości. Szanujmy ciszę świeżej mogiły, nie żądajmy od spoczywającego starca tajemnic gwiazdy jego żywota; wolno nam tylko przyjrzyć się czynom, które pozostawił; myślom, które rozciął; życiu, które spędził wstępując po niełatwych szczeblach wysokiej drabiny swego przeznaczenia.

Trudno orzec na czém polega wielkość człowieka, co ją gotuje, wynosi i wspiera; niemal każdy z nas inne ma o wielkości pojęcie. Lord Beaconsfield powiedział: „wielkim jest, kto wywiera wpływ na swe pokolenie; czy tym człowiekiem jest mnich wstrząsający chrześcijaństwem z ukrytej swej celi, czy monarcha przechodzący przez Granik i nadający nowy charakter pogańskiemu światu. Definicja ta nie jest zapewne zupełną i jasną: są bowiem wpływy moralne, pośrednie i bezpośrednie, któremi każdy wybitny mąż stanu działać musi na usposobienie swego narodu. Jakkolwiek bądź i czy zmarły premier angielski ma prawo do przydomku wielkiego męża czy nie, dojście do najprzedniejszego stanowiska politycznego w tym kraju, w obec niezliczonych i szczególnie trudnych przeszkód, może być niezaprzeczenie dziełem tylko iście znakomitego człowieka.

Hrabia Beaconsfield był pochodzenia obcego, chociaż niepośledniego; wyszedł z łona tego wyłącznego ludu, który od czasu wielkiego

*) Patrz *reszyt* za sierpień r. b.

rozproszenia swego po wszystkich krajach, ulegał tyłu prześladowaniom i ostracyzmowi nietolerancyi. Rodzina jego była starożytną; wyrosła podobno z owęj wysokości arystokracji hebrajskiej w Hiszpanii, której członkami byli tacy Sidonia i Alroy szcharakteryzowani w powieściach Disraelego. Taż sama rodzina liczyła niegdyś do swoich przodków weneckich kupców książęcych, co przyszedli z dalekiego Wschodu w pierwszych dziesiątkach ery chrześcijańskiej. Prześladowanie hiszpańskiej inkwizycyi, Torquemada, zmusiło ją do opuszczenia ogromnych dostatków, rozległych włości i wspaniałych pałaców w Andaluzyi, Aragonii i Portugalii i do szukania przytułku najpierw w Wenecyi, później w Hollandyi, nareszcie w mglistym kraju Albionczyków. Z trwogi przed pogonią wygnańcy porzucili imię gotyckie swego rodu; z wdzięczności ku Bogu za ocalone życie przyjęli nazwę D'Israeli. Pierwszą głową angielskiej linii Disraelich, był dziad nieboszczyka, Benjamin, osiedlony w Londynie w r. 1748, zmarły w 1817, gdy wnuk liczył już lat trzynaście. Po latach 92 swego życia zdołał pozostawić synowi znaczny majątek, zebrany z przemysłu. Ale Izaak D'Israeli, nie mając ani zdolności ani upodobania do spekulacyi handlowych, nie potrafił uniknąć dość ważnych strat; z pozostałemi 2000 funtów szt. rocznego dochodu, oddał się literaturze jako amator, bez planu i bez celu. Imię jednakże erudyta nie przeszło bez echa. Z poważniejszych prac zasługują na uwagę jego „Przyjemności literackie,“ „Kłęski i kłótnie autorów,“ „Literacka charakterystyka czyli historia genialnych ludzi,“ „Ciekawości literackie.“ Dzieła te wydane zostały ponownie za staraniem syna (już podówczas kanclerza finansów), w r. 1859 ¹⁾.

Tyle się dowiadujemy o rodzie naszego bohatera, co choć dostojny i starożytny, był mu największą zaporą w zawodzie, który był sobie obrał za lat młodzieńczych. Dzisiaj, gdy lord Beaconsfield utorował drogę swemu ludowi pięćdziesięcioletnią pracą i twardemi mazoły, by skruszyć uprzedzenia, co na każdym kroku opierały się jego własnemu dążeniu do władzy; dzisiaj, gdy izraelici zasiadają z prawa w gronie przedstawicieli Anglii, tworząc ustawy na korzyść wspólnych interesów; trudno zmierzyć przepaść dzielącą podówczas młodego aspiranta od godności pierwszego ministra W. Brytanii. Ale pochodzenie nie było dla niego jedyną przeszkodą. Wychowanie samo przeznaczało Benjamina do mniej świetnej kariery. Wprawdzie imię ojca jego, a podobno i dziada, było znane i nawet słynne poza sferami literackimi; a, jak przyszłość pokazała, „Disraeli młodszy“ odziedziczył po nich zamiłowanie literatury z znakomitszemi darami umysłu. Ale ojciec, marząc dla niego o posadzie w biurach rządowych, dał mu tylko domowe wykształcenie i rychło go porucił pieczy rzeczników Swain

¹⁾ Powyższe wiadomości o rodzinie Disraelich wyjęliśmy z memoriału, którym lord Beaconsfield poprzedził wydanie „Ciekawości literackich.“ Tamże czytamy, iż hebrajskie imię rodowe familii było „Sephardim,“ czyli Śródziemcy (Mediterraneans).

i Ski, by nabrał poprzednio koniecznych wiadomości i rutyny. Urodzony w r. 1805 (na Bloomsquare), Benjamin zapoznał się z kancelaryami londyńskiej City w wieku, w którym rówieennicy jego wstępowali do uniwersytetów. Zamiast otrzymać wykształcenie, sam się bardzo wykształcił; i może właśnie ta okoliczność, niebezpieczna dla wielu, stała się dla niego najkorzystniejszą. Niepohamowany prąd skłonności rychło wystąpił poza granice jego otoczenia; przekonanie, że sam sobie powinien zgotować przyszłość, zahartowało go i uczyniło mężem, kiedy inni jeszcze byli młodzieniaszkami. Nie tylko był świadom swych zdolności, może nawet je przeceniał i umiał dać je poznać innym. Sztuka stania się niezbędnym, oto arcanum szczęśliwej jego karyery.

„Młody Vivian, pisze o sobie Disraeli, długo nie nasunął ojcu myśli, iż dzieci są czémś inném niż zabawką. Stosunki między nimi były ograniczone; Vivian był synem matki. P. Grey spełniał swe rodzicielskie obowiązki, dając synowi każdodzienny kieliszek klaretu, ciągnąc go za uszy zgrozą literackiej miłości, i ufając Bogu, że: malec nie będzie nigdy gryzmolił.“

„...Wreszcie stanęło na tém, że syn pozostanie w domu przez jedno jeszcze lato, dopóki nie dojrzeje plan, na jakiej drodze rozwinąć jego obiecujące zdolności. W owym roku Vivian częścię i wytrwałę zasiadywał w bibliotece; a żyjąc tyle wśród książek, czuł się mimowoli przyciągniętym do tych milczących towarzyszy, co tak wymownie przemawiają.“

Nie dziw, iż młodzieniec z takimi zdolnościami, bujną wyobraźnią, wysoko sięgającą ambycją i żelazną energią, nie wytrzymał długo na wysokim stołku, przed czarnym pulpitem kancelaryi. Po czterech miesiącach owego zajęcia, Benjamin porzuca dom i firmę p. Swain, przedstawia rozżalonemu ojcu swój nieprzełamany wstręt do pandektów, zyskuje niezależność w dziewiętnastym roku życia, szczupłą pensją i ogłasza „Nowoczesną Duncyadę“¹⁾, satyryczny poemat, w dzienniku „Star Chamber.“ Poemat ten jednakże nie zwrócił uwagi publiczności na niecierpliwego autora; może dlatego, iż sam dziennik wkrótce po jego ogłoszeniu żyć przestał.

„W Anglii, osobiste odznaczenie się jedynym jest paszportem do progów wysokiego towarzystwa. Czy to odznaczenie się powstaje z majątku, rodziny, lub talentu, jest rzeczą obojętną; ale to pewna, że, aby wejść do towarzystwa wielkich ludzi, trzeba posiadać „krew,“ milion, lub geniusz...“ „W pełności swój ambicyi, Vivian zastanowił się pewnego dnia, jakby mógł dojść do świetnych swych celów: prawo, ba! prawo i wykrety aż do lat czterdziestu; a potem, po najświetniejszym powodzeniu, widoki koronetu i podagry. Zresztą, by znaleźć powodzenie w adwokaturze, musiałbym być wielkim prawnikiem; aby zaś zostać wielkim prawnikiem, muszę zrezygnować z szansy zostania wiel-

¹⁾ The Dunciad of To-day.

kim człowiekiem. Wojskowość w czasie wojny jest dobra tylko dla rozpaczających (desperadoes), a ja istotnie takim jestem; ale w pokoju jest tylko dla głupców. Stan duchowny jest racjonalniejszy. Obaczmy: chętniebym grał rolę Wolsey'a; ale owe tysiąc i jedna szansa przeciw mnie! A rzeczywiście czuję, że przeznaczenie moje nie powinno się opierać na szansie. O! gdybym był synem milionera lub magnata, wszystkoby dla mnie było łatwe. Przeklęty diał! że też brak kilku lichych banków i trochę lichéj krwi ma stawiać zaporę memu powodzeniu!"

Wreszcie 21 letni wyrostek wykrzykuje: eureka!... Znalazł piedestał, na którym stanąwszy, zatrzyma oczy „towarzystwa“ na uwięzi, zwrócone ku sobie. Piedestałem tym to śmiała satyra „Vivian Grey!" Jak sam autor o swéj pierwszej wyraża się powieści: 1) „jest to dzieło nawskroś chłopięce; ale po 44 latach opiera się ono wszelkim moim staraniom, by je zniszczyć. Publiczność wiecznie czepia się téj książki i ustawicznie jéj szuka." Literackich zalet satyra ta nieposiada żadnych; słusznie mówi uczony i wytrawny krytyk londyńskiego „Athenaeum“ 2), iż utwór ten cieszy się wziętością jedynie ze względu na niezwykłą osobistość, z której pióra wyszedł. Ale Disraeli młodszy odrazu zasłynął, odrazu stał się „the man of the day,“ odrazu zwrócił na siebie uwagę nie tylko arystokracji, pod której opieką stawił swego bohatera, a raczej samego siebie; nie tylko świata pięknego, który istotnie w owych latach bawił się aż do przesady polityczną satyrą; nie tylko ludu, któremu pokazywał kalejdoskop najzuchwalszych reform, ale samego nawet poważnego grona ówczesnych mężów stanu, wielkich polityków, bożyszczów wszelkich parlamentarnych stronnictw. Satyra przedłożoną została społeczeństwu, które szczególnie się kochało w skandalach, które samo było skandaliczne! Widoczną była wszystkim umyślność czy przypadkowa (o to mniejsza!) karykatura lorda Lyndhurst, jako marg. Carabas; minister Cannig jasny do poznania w osobie Charlatan'a Gas; sir Robert Peel w Iitzbornie. Jednakże najzuchwalszą podobizną w téj galerii portretów jest obraz własnych ambicji i nadziei autora. Ktokolwiek czytał Viviana, mógł śmiać się z dość naiwnych poglądów pisarza na bieżące zatargi rządu z stronnictwami, pauperyzmu z kapitalistami, konserwatystów z sir Robertem, liberałów z księciem Wellingtonem. Ale niepodobna było nie uznać, że ten sam pisarz posiada niezmiernie obfite zapasy sarkazmu i niezależności, jeżeli tak śmiało wypowiada swe zdania, tak otwarcie odsłania swe przekonanie o pewności swych zabiegów, tak zręcznie kieruje planami własnej wyobraźni i ambicji.

„Jedną z kardynalnych zasad Viviana Grey, czytamy w téj powieści, było, że wszystko w świecie jest możliwe. Ludziom nie powodziło się w życiu; tak, zapewne! i w końcu ogół ludzi nie wiele dzia-

1) Vivian Grey. By the Right Honorable B. Disraeli. London: Longmans, Green et Com. 1870. (Najnowsze wydanie).

2) The Athenaeum, Nr. 2791, April 23, 1881.

łał; ale przecież te niepowodzenia i braki przypisać należy brakowi fizycznej i umysłowej odwagi. Vivian był świadomy pewnika, że sam nie jest tchórzem ani w ciele ani w duchu; więc był przekonany, iż jeśli jest w świecie człowiek „któremu przyszłość otwierała się najświetniejsza, tym człowiekiem był on sam!“

To pewna, że, jeśli podobne przekonania nie były tłem wszystkich refleksji młodego Disraeliego, w czasie gdy tworzył swego bohatera; stały się one wkrótce osobistą teorią jego nadziei. Taktyka Viviana, zapomocą której doszedł do celu swych marzeń, przedstawia dużo analogii z strategią późniejszego deputowanego w obec wielkich koryfeuszów whigizmu: „uśmiech dla przyjaciela, szyderstwo dla świata, oto sposób rządzenia ludźmi;... niech ludzie drżą przed tobą, wkrótce stopy całować ci będą.“ Ieżto razy minister zastosował owe zasady praktycznie, najpierw w czasach walki o krzesło poselskie, później względem przeciwników! One to dały mu siłę do przetrwania najgwałtowniejszych burz, wywołanych wrodzoną w narodzie angielskim nienawiścią do żywiołów obco-narodowych i obco-wyznaniowych. Bo nie zapominajmy, że Benjamin Disraeli chrześcijaństwo przyjął dopiero w trzy-nastym roku życia; że ojciec jego, opuściwszy synagogę londyńską nie przeszedł był do kościoła protestanckiego; że matka i obustronna rodzina pozostały wierne Talmudowi. Zasady Viviana przebiły wszystkie zapory: najstraszniejsze zaś te, co stawiała artystokracja tego kraju. Taż sama arystokracja niebawem uznała w Disraelim swego przywódcę i do końca była powolną jego najśmielszym rezolucyom.

„Książęta, panie! zawołał Izaak Disraeli, gdy mu doniesiono, iż syn pisze powieść, w której poufale przestaje with their Graces and Hignesses. Książęta! mój syn w życiu swém żadnego z nich nie widział!“ Młody autor zaczął wkrótce widywać pełno książąt. Wprowadzony do salonów hr. D'Orsay i lady Blessington, zachowywał się w towarzystwie najwybredniejszym i najdumniejszym z wielką wprawdzie skromnością—bo był młodym—lecz razem z mężką swobodą i tak układnym wzięciem, iż zdobył sobie prędko względy najwykwintniejszych obserwaterek. W ostatnim roku długiego życia, w powieści „Endymion,“ ekspremier przyznaje, iż protekcja kobiet była mu największą pomocą; wprawdzie nie do otrzymania wstępu na arenę politycznych zapasów—musimy dodać—lecz bezwątpienia do zaskarżenia sobie przychylności najpierwszych jej stróżów, do poznania, mianowicie, jakimi zakulisowemi kunsztami pomagają sobie mężowie publiczni, rząd, stronnictwa.

Cierpliwy czytelnik raczy nam wybaczyć, iż nieco dłużej zatrzymujemy go przy epoce i pozycyi, z których bohater nasz miał rozpocząć rażny bieg po drodze tak zadziwiająco przewidzianego, tak doskonale obmyślonego przeznaczenia. Jeden jeszcze dodać musimy rys charakterystycznej powierzchowności jego, często wyszydzanej przez namiętnych przeciwników, znaną bodaj każdemu Anglikowi.

„Twarz Disraelego—pisze Amerykanin N. P. Willis ¹⁾, który go widywał u lady Blessington—jest najcharakterystyczniejszą z pomiędzy wszystkich, jakie kiedykolwiek spotykałem. Oko jego czarne jak noc, ma wyraz niezmiernj ironii i przebiegłości; usta ożywione bezustanną ruchliwością, niby nerwowém ściąganiem; gdy mówi z zapalem, co prawie zawsze bywa, usta przybierają wyrażenie szydercze mefistofelowskiej uciechy. Gęste loki spadają mu na lewy policzek; włosy, przedzielone nad prawą skronią, nosi w tył zaczesane gładko, jak panienska. Lakierowane trzewiki, biała laska z skoniowej kości z czarnemi chwastami, pewna ilość złotych łańcuchów na szyi i przy kieszeniach aksamitnej kamizelki, zwracały na niego oczy obecnych.“

Życiopisarz pani Blessington, p. Madden ²⁾ pisze: „często znajdowałem się obok p. Disraelego w pałacu na Seamore-Place. Nie potrzeba było nawet wówczas, by duch z grobu prorokował mu świetną przyszłość. Chociaż w ogólném towarzystwie był zwykle milczący i obojętny, był zarazem baczny na wszystko. Tylko przedmiot niezwyklego znaczenia zdolny był wyprowadzić go z pozornj apatyi i ocucić jego nadzwyczajną potęgę słowa. Raz porwany zapalem, był niezrównany w sile drastycznego przedstawiania rzeczy, nieubłagany w sarkazmie, niezmiernie dowcipny, porywający, szybki w uprzedzeniu myśli słuchaczy.“ Przyjaciele wtenczas przewali go Vivianem Grey!

Przystępujemy teraz do skreślenia głośnych dni ulubieńca wysokiego świata angielskiego z r. 1826. Zostawiając w metropolii opinią zatrudnioną Vivianem i prognostykami, Disraeli odbywa klasyczną podróż po Włoszech i Grecyi. W tym samym czasie układa „Podróż kapitana Popanilli” ³⁾ i ogłasza ją wbrew wszelkim perswazyom przyjaciół, którzy czytali z trwogą i niedowierzaniem nową gwałtowną satyrę przeciwko temu samemu towarzystwu, które co dopiero było przyjęło nierozważnego młodzieńca do swego grona. Popanilla przypomina cokolwiek Swift’owskiego Gulliwera; ale zuchwałe jego sarkazmy tę jedną więcej mają bezczelność, iż zwrócone są przeciwko osobistościom poważnym, od których autor wyczekiwał najwięcej poparcia. Niepodobna nam analizować tego i następnych dzieł Disraelego; pojmie każdy, że interes satyry może być tylko lokalny i dlatego trudny do streszczenia dla czytelników niewtajemniczonych w skryte ewolucye gabinetów i stronnictw trzeciego dziesiątka XIX wieku. Nadmienimy tylko, że autorowi podobano się nazwać królestwo W. Brytanii „Vraibleusią,” stolica zaś jego niepoczesne ma miano „Hubbabub,” prawdopodobnie przetworzone z angielskiego h u b b u b, co znaczy zarazem zamieszanie, blichtr, błażństwo i oszukaństwo. „Podróż kapitana Popanilli” ukazała się w je-

1) Athenacum, loc. cit.

2) Literary Life of lady Blessington. London, 1854.

3) „The Voyage of Captain Popanilla.” London.

sieni r. 1828; na wiosnę (1829 r.) wystąpił Disraeli z jedną z najsłabszych swych powieści: „Książątko” ¹⁾. A jednakże (zdaje nam się bardzo) utwór ten wielce się przysłużył autorowi. O ile Popanilla okrywa śmiesznością i niepowściągniętem szyderstwem parlamentarną rutynę Starłej Anglii (Old England), o tyle znów młody książę St. James, roztrwoniwszy najogromniejszą fortunę, godzi się z tą rutyną, wprowadzając do niej, co najlepszego mógł wybrać z wschodzących idei anglo-radykalnych. St. James, który spędził najświeższe swe lata na koźle wyścigowych wozów, tracił krocie tysięcy na jedną stawkę, grzązł i zapadał w miłosnych intrygach wcale nie szlachetnych myladies, wreszcie zaledwie zachował cześć publiczną, rozpoczyna pokutę od powrotu do pierwszej kochanki, córki gminu; kończy ją staraniem o wyratowanie resztek świętego majątku za pomocą ludu i wreszcie uczęszczaniem do izby lordów, gdzie dziedziczne krzesło jego stało próżne od śmierci ojca.

Obydwa dzieła niewiele doczekały się krytyki. Bodaj kto zaczął Disraeliego, podobno najwięcej z tej przyczyny, iż zaczęto przeczuwać w nim sprytnego awanturnika. W owym czasie lord Lyndhurst zaszczycał go swą przyjaźnią; rząd ogół wynioskował, że „D'Israeli młodszy, choć z trudnością, władza klasycznym piórem powieściopisarzy tej wyspy, w przyszlności, dzięki wysokim protekcjom, znajdzie otwarte bramy do wszystkich odznak i zaszczytów albionjskich akademii ²⁾. Osoby więc wtajemniczone w wiadomości politycznej anatomii społeczeństwa, widziały już młodego przechrzę na ławie poselskiej. Tymczasem ten ostatni poraz drugi opuścił brzegi Anglii i puścił się na religijną pielgrzymkę do Syrii i Ziemi Świętej (1830 r.).

Nie brak poważnych ludzi, co żywią i głoszą przekonanie, że potomek rodu Sephardim, na wskroś przejęty żywymi w Palestynie tradycjami wielkości swego narodu, wielkiej tragedji pokolenia Izraela, zachwiał się na chwilę i zawahał w ambitnym przedsięwzięciu; podobno uczuł niby wyrzuty sumienia, z powodu swęj apostazy i marzył o powrocie do Mojżeszowego prawa, o zerwaniu złotych nici, które chciały sławy i władzy uprzedła mu wyobraźnia, o pozostaniu pod cieniem Jordanowych cyprysów i głoszeniu ztamtań nowych zasad powszechnęj cywilizacyi, opartych na niezamierającym nigdy wpływie hebraizmu na wszystkie religie świata i na wszystkie kultury. Trudno nam zbadać, o ile sąd ten poufnych nawet przyjaciół lorda Beaconsfield'a ³⁾ jest uzasadniony. W każdym razie, zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Benjamin Disraeli zawiązał w czasie swęj pielgrzymki rozległe stosunki z uczonymi komentatorami talmudu i że takowe utrzymywał do końca życia. Wątpimy, by to czynił z pobudek wyłącznie teologicznych: z dzieł bowiem jego

¹⁾ „The Young Duke.” Ibid.

²⁾ „The Saturday Review, nr. 1,330. April 23, 1881.

³⁾ „Life of Lord Beaconsfield. By Mr. Francis Hitchman” (Wydanie z 1880 r.). Str. 34 i nast.

przebija się raczej uszanowanie dla wpływów judaizmu na rozwój cywilizacji europejskiej, aniżeli sympatya do wyznania i obrządku. Być jednak mo że, iż autor Viviana nie chciał i nie potrafił poświęcić widoków politycznych dla idei wyznaniowych. Większość jego biografów twierdzi stanowczo, że przed skonem miał długie rozmowy z wielkim rabinem gminy londyńskiej, i rozgłośne życie zakończył pojednany z synagogą, która wykluczyła z swego grona jego ojca. Niech nam będzie wolno przytoczyć w tém miejscu następujący ustęp z przedmowy do piątego wydania (1849 r.) najstynniejszej po Vivianie powieści Disraeliego „Coningsby”¹⁾:

„Rozważając plan torysowskiego żywiołu, autor uznał w Kościele najpotężniejszy czynnik w dotychczasowym rozwoju Anglii i najskuteczniejsze zasoby ku odnowieniu tego ducha narodowego, którego jest wielbicielem. Kościół jest świętém ciałem, ustanowioném dla rozszerzenia i utrzymania w Europie pewnych azyatyckich zasad, które, choć z pochodzenia lokalne, stworzone zostały od Boga i mają wieczne, powszechne zastosowanie.

„Uznając boski charakter konstytucji kościelnej i majestat teokratycznego pierwiastku, zmuszeni jesteśmy wspomnieć o początkach Kościoła chrześcijańskiego i stanąć w obec potomków rasy założycieli chrześcijaństwa w duchu godnym tego krytykującego i stosownie oświeconego wieku. Nowocześni żydzi długo cierpieli pod ciężarem nienawiści i stygmatu średniowiecznej nietolerancji. Uważano żydów w wiekach średnich za pokolenie wyklęte, za nieprzyjaciół Boga i człowieka, za szczególnych wrogów Chrześcijaństwa. Nikt wówczas nie zatrzymywał się nad refleksją, że Chrystyanizm został założony przez żydów; że Boski Twórca jego w ludzkiej swój naturze, był potomkiem króla Dawida; że nauka Jego była uzupełnieniem, nie zaś przemianą judaizmu; że apostołowie i ewangeliści, których imiona narody codziennie wzywały i których dzieła trzymały w najwyższej czci, byli wszyscy żydami; że nawet sam tron rzymski, nieomylny, wzniesiony był przez żyda; że wreszcie żyd był założycielem kościołów azyatyckich.

„A zatem ludy Europy były nawrócone do wiary w Mojżesza i w Chrystusa, względnie niedawno; i jakoby jeszcze wstydzące się dzieł bożyszczy, od których odstąpiły, sądziły, iż zmniejszą winę przeszłego pogaństwa, wylewając potoki zemsty na pokolenie, któremu, i któremu jedynie, zawdzięczały boską Ewangelię.

„Rewindykując najwyższe prawo Kościoła Chrystusowego do urzędu wiekuistego odrodziciela człowieka, autor sądzi, iż nadszedł czas odpowiedni dla rozpoczęcia dzieła usprawiedliwienia plemienia, co stało się podwaliną Chrześcijaństwa. Autor wyłuszczył w inném dziele („Tancred”) poglądy na wielką rodzinę domu Izraela, które zaledwie odśłania w niniejszej książce. Nikt się nie ośmielił zbijać ich, gdyż wszelka refutacya jest niemożliwą...”

¹⁾ Coningsby, or The New Generation. London.

Umysłowe zdolności Disraelego ogromnie się spotęgowały podczas pobytu na Wschodzie. Młodzieniec wiele się douczył, wiele rzeczy widział, i wielu poznał ludzi, wiele także przemyślał. Wyobraźnia, przepełniona obrazami krajów i ludów Wschodu, wzbogacona gorącą poezją Syryjczyków i Chaldejczyków, natchnęła śmiałego pisarza do spróbowania sił romantyzmu w powieści „Alroy” i w poemacie „Rewolucyjna Epopea.” Tego ostatniego utworu nie możemy się już doszukać, głównie z tego powodu, że ogłosiwszy w r. 1834 pierwszą jego część, autor ujrzał, że nie jest poetą i zaniedbał aż do r. 1864 wydania reszty, wyraźnie zabraniając umieszczenia „Epopei” w ogólnym zbiorze swych dzieł. Romantyczna powieść z XII wieku „Alroy,” chyba tę jedną ma zasługę, że odzwierciedla dość wiernie, choć napisana z najwnętrznym uniesieniem, ówczasowe usposobienie rozmarzonego Hebrajczyka „Contarini Fleming”¹⁾: jest ona trzecim dziełem Beniamina, napisanym daleko od brzegów brytańskich. W nim autor obrał przedmiot z pewnością najtrudniejszy i najsztudniejszy (że się tak wyrazim) do obrobienia i przedłożenia choćby wyborowym czytelnikom: tworzenie się i rozwój charakteru poetów. O ile wiemy, rzadko kto się targnął na ten tajemniczy punkt psychologii; Goethe potrąca o niego w swym „Wilhelm Meister” i odsłania cokolwiek może prawdy w zasadzie przyjęcia jako pewnik istniejącej w poetach predyspozycji; ale nie słyszeliśmy jeszcze o dziele traktującym przedmiotowo o rozwoju siły poetycznej²⁾. Czyż potrzebujemy dodać, że i Disraeli nie postąpił ani jednym krokiem naprzód na tej dziewiczej drodze? Wprawdzie łączy on obydwa systemy: zwolenników predyspozycji i tych, co z hrabią Alfieri’em utrzymują, że okoliczność, nagła i nadzwyczajna sensacja, ogromna boleść lub niespodziana rozkosz, wlewają w ludzi geniusz natchnienia, ale, nie będąc sam chłodnym i systematycznym psychologiem, teorią swoją buduje na wynikach obserwacji własnych uczuć. A teoria ta skłania się nadto widocznie do wiary w nagłe, okolicznościowe natchnienie, czyli poprostu w wpływ wrażeń. Być może, chętnie nawet wierzymy, że autor Viviana miał dużo „predyspozycji” do poezyi; czemużbyśmy jednak nie przyjęli za pewne, że odgłos zmarłych pamiątek, że koloryt arabskich, syryjskich i hebrajskich legend, pieśni i powieści, że pyramidy i groby Ptolomeuszów obudziły drzymiące lub stworzyły nowe uczucia polotnych uniesień!

„Krocząc po owych pustyniach Afryki, otaczających erytrejskie jezioro, przyszedłem do Nilu, do tego starożytnego, potężnego i sławnego strumienia, którego wody niosły najpierwszą naszą cywilizację, i który, po czasach, w których patrzył na powstanie tylu państw i na wynalazki tylu religii, płynie zawsze z tą samą pogodną dobroczynnością, jak

¹⁾ Alroy Contarini Fleming: a psychological romance. London.

²⁾ W literaturze polskiej próbował rozjaśnić tę kwestyą J. Ochowicz.
Red.

wszystko, co pojmujemy o bóstwie: w kształcie wzniosły, w czynie systematyczny, wspaniałomyślny w przyrodzie, w źródle nieznanym.

„Samotne me kroki uderzały po posadzce przysionków Faraonów. Przechadzałem się po tych imperatorskich świetlicach, wspaniałych tysiącem kolumn, strzeżonych przez olbrzymie posągi osadzone na tronach tajemniczych. Przechodziłem pod błyszczącymi bramami, zbudowanymi na przyjęcie tryumfalnych wozów tytana. Patrzałem na wyniosłe obeliski, wskazujące ku obłokom, których tajemnice zdawały się ukrywać w mistycznych literach. W którąkolwiek wstrząsnąłem stroną, wszędzie oko me położyło się widokiem olbrzymich rzędów uroczyście sfinksów, spoczywających w nadprzyrodzonej piękności, i grupy smętnych królów o lwich twarzach; kolosalne muzy, malowane świętymi obrzędami i domowymi obrzędami odległej starożytności, lub rzeźbione oddychającymi, zda się, kształtami bohaterów.

„A wszystkiój tej potęgi, wszystkiego przepychu, wszystkich tajemnic, wszystkiego piękna i wszystkiój tej pracy i wszystkiego wynalazku, gdzież są twórcy? Pogrążyłem się w głęboką zadumę. I królestwa ziemi przesunęły mi się przed oczyma, od tronów faraonów, ich olbrzymich panowań, co wyrosły z feudalnego chaosu... nieprawie dzieci ciemnoty i zdrady! I śledziłem pokolenia ludów od Rainzesa Wielkiego i Memnona Pięknego do samotnego pielgrzyma, którego obecność gwałciła teraz świętość ich olśniewających grobowców. I przekonałem się, że dzieje mego plemienia są tylko jedną powieścią gwałtownego zniszczenia lub stopniowego upadku.

„I w ucisku serca wzniosłem ramiona do błękitnego nieba i zawołałem: Czy nie masz nadziei! Co jest świadomość, wiedza, prawda? Jak zdobędę mądrość?

„Wicher się zerwał, łono pustyni wezbrało, piasku kolumny wyskoczyły z ziemi i przebiegły tańczące po nizinach; ryki okropniejsze od grzmotu, wydarły się od południa; pałac i przysionek, sfinksy i obeliski, ołtarz i tron, malowidła i rzeźby, wszystko znikło mi z przed oczu i ciemność zaległa nad ziemią. I padłem na kolana i twarz ukryłem w ruchomym, palącym piasku; a gdy uragan pustyni przelatywał nademną, zdawało mi się, iż szeptał: „dziecię Przyrody, ucz się oduczyć!”

Czy można odmówić natchnienia młodemu Contarini, w ten sposób rozpoczynającemu pierwszy rozdział swój psychologicznej syntezy? Wczytując się w następne stronnice tej książki, myślimy sobie, iż autor jej miał na celu spisanie jaknajszersze procesu własnych uczuć, jak obiecuje w przedmowie, lecz że stopniowo, może w miarę jak się oddalał od ogniska swych natchnień, intencja ta przemieniła się w obserwację stosunku owych chwilowych uczuć do istotnych potrzeb ambitnego i niespokojnego ducha. Europa wrzała rewolucją. Contarini w ten więc sposób kończy romans swego umysłu:

„Teraz niech mi będzie wolno pędzić życie w nauce i tworzeniu piękna. To moje pragnienie; ale czy taki będzie mój zawód, wątpię. Szczęście mego plemienia zanadto mię obchodzi, bym miał na chwilę

pozostać ciemnym, na widok burzy, co się gromadzi ponad społeczeństwem. Może też niedalekie już odrodzenie polityczne kraju, do którego się przywiązał, a w tém wielkiem dziele postanowiłem wziąć udział.”

Disraeli, poeta, śpieszy do stolicy Anglii, przybywa do niej trybunem! Zastaje kraj cały w największém zamieszaniu agitacji; szalona, nagła powódź demokratyzmu zmiata i zmywa zasady wyborcze parlamentu, obala prawa, tamujące wolność przemysłu i handlowych transakcyi, obala gabinet księcia Wellingtona, wreszcie żydzi tryumfują nad stanowczym oporem „żelaznego księcia” i wspólnie z Katolikami, Kwakrami, Morawianami, zyskują wolność i przywileje i prawa polityczne. Daniel O’Connell zwycięża na całej linii stronnictw parlamentarnych, już mowa „że król nosi się z planem powierzenia irlandczykowi uformowania nowego ministeryum! Disraeli nie traci ani chwili: „Now or never!” Teraz lub nigdy, mówi sam do siebie i staje przed Bulwer Lytton’em, przed Józefem Hume; młodzieniec głośny z sarkazmów, rzucanych na wszystko, co utonęło było w bilu reformy, zyskuje sobie względy radykałów i przedstawia się wyborcom miasta High Wycombe. Raz, drugi i trzeci pobity, nie zraza się bynajmniej, lecz bacznie śledzi ruch pojedynczych frakcyi z galerji Westminsteru, w klubach, do których wysokie protekcyje i szturmem zdobyte laury literackie, choć dwuznaczne jeszcze, dały mu wstęp; porywająca ognistym zapalem i zaprawiona genialnym sarkazmem wymowa wprowadza go na estrady ważnych mityngów; olbrzymie tomy parlamentarnych debatów, stały się przynajmniej na lat pięć jedyną jego literaturą; z „Hansard’a wyuczył się taktyki politycznej, w nim studyował dzieje politycznego znaczenia Fox’a i upadku Pitt’a na gruncie ekonomicznym. Wreszcie zrozumiał słabość i błahość chwilowej i efemerycznej potęgi radykałów: porzucił ich. Krok ten poczytała mu Irlandya za zbrodnię, za wyzyskiwanie do czasu wpływów O’Connell’a i Hume’go; obóz whigów poznał w Disraelim od téj chwili wroga i również obrzucił imię jego posądzeniem o zdradę. Autor Viviana nie baczy na to oburzenie; w umyśle jego dojrzeła plan, którego pierwsze nasienie padło z ręki konserwatystów, olbrzymi projekt pogodzenia kielkujących idei demokratycznych z teorią torysowskiego feudalizmu, zaszczerpienia na spróchniałém drzewie chylącej się ku ruinie konstytucyi W. Brytanii, świeżych soków i świeżego ducha młodéj Anglii! Aspirant do ławy poselskiej ogłasza polityczną broszurę ¹⁾, dedykowaną lordowi Lyndhurst, w której poraz pierwszy wyłuszcza powody swéj pozornej niestałości i opuszczenia O’Connell’a, Lytton’a i ich stronników. W piśmie tém śmiało utrzymuje, że od r. 1831 siła polityczna torysów „ostawała się jedynie za pomocą seryi najdonioślejszych kroków demokratycznych.” Zmuszeni do przyjęcia bilu reformy, torysi uparli się w postanowie-

¹⁾ Vindication of the English Constitution. By „Disraeli the Younger.” 1835.

niu rozszerzenia działalności jego i siły do najdalszych granic. Oni wyzwolili lud angielski z niebezpieczeństwa politycznej zagłady; oni to, z zadziwiającą szybkością, organizowali towarzystwa z celem ułatwienia w całym kraju zapisów wyborczej kompetencji. Torysi wreszcie, jasno czytamy pomiędzy liniami téj zręcznej rozprawy, największą odnieśli korzyść z bilu, który przecież był przyczyną ich upadku; rozszerzywszy bowiem, w czasie dyskusyi, granice jego ustępstw, zdobyli sobie daleko szersze również pole czynności, wpływów moralnych i materialnych. Hierarchia, kościół protestancki, wywierał odtąd w trójniasób spotęgowany wpływ na setki tysięcy świeżych konstitucentów; arystokracja i właściciele ziemscy, zawsze i wszędzie usposobieni zachowawczo, zdobyli ogromny wpływ na interesa zależnych mniej lub więcej wyborców.

Wreszcie w roku wstąpienia na tron brytański młodziutkiéj królowéj Wiktorji, 1837, licząc lat 32, Disraeli wystąpił z sztandarem nowego swego credo, jako kandydat przed urną w Maidstone. Teraz odniósł zupełne zwycięstwo i zasiadł wreszcie na ławie poselskiej, stanął nakoniec na upragnionym szczeblu pierwszym wysokiej drabiny swéj ambicyi. Zasiadł oczywiście w szeregach opozycyi. Ludzie, jak Disraeli, tylko z opozycyi mogą rozpocząć swój bieg. Obok niego siedział reprezentant obwodu Maidstone, pan Wyndham Lewis, zmarły w rok później; wdowa jego została w 1839 żoną Disraeliego. Wiadomo, jak szczerze, serdecznie i głęboko szanował i kochał towarzyszkę życia zmarły premier; fakt to był tak znany w Anglii, iż mawiano, że lord Beaconsfield jednéj tylko swéj małżonce pozostał wierny. A przecież odzywają się tu i owdzie głosy, posądzające twórcę Viviana o przyjęcie węzłów małżeńskich w Maidstone jedynie w celu przyciągnięcia ku sobie za ich pomocą rozlicznych krewnych i wpływowych przyjaciół wdowy, po niezmiernie bogatym i popularnym panu Lewis! Zaznaczamy ten objaw pośmiertnych nienawiści z zupełną wiarą w brak wszelkich dowodów i w nieszlachetną żądzę ubliżenia wielkiemu cieniowi.

„The Maiden-Speech,” pierwsza mowa Disraeliego, wywołana została debatami nad petycją irlandzkich poddanych, domagających się przez głos „niekoronowanego monarchy” odpowiedniego zastosowania reformy wyborczej do parlamentarnéj konstytucyi siostrzanego kraju. O’Connell wystąpił przeciw niektórym teoryom, wygłoszonym przez mówcę mityngów w Maidstone i w Buckinghamshire; nazwał Disraeliego prawym potomkiem tych, co przedawali chrześciańskie ciała na wagę złota, spadkobiercą judaszowskich tradycyi, wreszcie, z wrodzoną sobie gwałtownością, potomkiem złego łotra i t. d. Mowa ta wywołała oklaski z ław ministeryalnych; co dziwniejsza! sama nawet opozycja zachowała się biernie: O’Connell uderzył w słabą stronę brytańskiéj wyłączności narodowéj, a niestety, aż nadto charakterystyczna fizygnomia inkryminowanego posła wcale niekorzystnie naówczas służyła Vivianowi. Poraz pierwszy powstał z miejsca Disraeli. Rozpoczął mowę swą od przypomnienia irlandzkiemu bohaterowi, iż tenże dotąd

nie stanął na wyzwanie, które mu wysłał mówca poprzednio wskutek osobistej obrazy. Za co, oczywiście, marszałek przypomniał postłowi reguły parlamentarnych posiedzeń. Odwoławszy wybrk istotnego czy udanego oburzenia, Disraeli wylał cały potok entuzjastycznej przemowy, odzianej jaskrawą szatą wschodniej retoryki... poczęto się w izbie uśmiechać. Wkrótce śmiech zamienił się w głośne parskanie, w hałas, zamieszanie. Wołano zewsząd i sykano, śmiech łączył się z ironicznymi uwagami, dotyczącymi powierzchowności i stroju ex-hebrajczyka, aż w końcu wrzask zrobił się taki, że urzędowe sprawozdanie pisze dość naiwnie: „nie można było dosłyszeć mowy szlachetnego członka” ¹⁾. Wtedy to Disraeli, stojąc w miejscu, skrzyżował ręce na piersiach, przeczekał chwilkę i wreszcie powolnym, spokojnym i wyraźnym głosem w ten sposób zakończył:

„Nie dziwi mnie wcale przyjęcie, jakiego doznaję. Wiele rzeczy rozpoczynałem po kilka razy i często w końcu dopiąłem swego celu. Aj, panie (zwracając się do marszałka ²⁾, toż choć i teraz usiądę, przyjdzie czas, kiedy mnie chętnie będziecie słuchali!”

Po Vivianie Grey to druga przepowiednia.

I istotnie obrażony deputowany przez długi czas nie powstał z ławy; podobno (i czemużbyśmy nie wierzyli przypuszczeniu) rozżalony, rozczarowany, oburzony i zniechęcony entuzjasta, myślał o rezygnacji z poselskiego mandatu. Tymczasem postanowił przypomnieć się zewnętrznemu światu. I przypomniał się tą razą bardzo szczęśliwie!

W latach 1837—38 ukazały się dwie powieści młodego członka parlamentu: „Henryka Temple” i „Venetia.” W pierwszej występuje poraz pierwszy na jaw wielka zdolność autora do ujmującego opowiadania; romans ten, „A Lowe Story,” pozbawiony jest także wszelkich aluzji do stanu polityki krajowej; a warto zaznaczyć to jedyne zjawisko w twórcach pracowitego autora, choćby dla potwierdzenia co dopiero wyrażonej opinii, że Disraeli pomyślał na chwilę o rezygnacji z mandatu i o puszczeniu w niepamięć marzeń Viviana i Contariniego.

Pisząc miłosne dzieje Ferdynanda Ratcliffe i Henryki Temple, autor miał zamiar: „wykazać rozwój namiętności, która jest zarazem początkiem i końcem naszego życia; namiętności, z którą porównane inne żądze człowieczej natury—pragnienie bogactwa, potęgi, sławy—zapadają w nicłość, a która przecież, z niezmierną wspaniałomyślnością Stwórcy, staje się działem stworzeń wszelkich zawodów, przymiotów i klimatów” ³⁾.

¹⁾ Hansard's Parliamentary Debates, 1837—1839.

²⁾ W parlamencie angielskim mówcy przemawiając do całej izby, zwracają się do marszałka („Speaker”). W ostatnich miesiącach władza prezydującego znacznie została rozszerzoną. Poprzednio Speaker, t. j. „mówca,” był czysto posagową, alegoryczną reprezentacją narodu. Dlaczego nosił tytuł mówcy, nie możemy doiec. Chyba *lucus a non lucendo*.

³⁾ Henrietta Temple. A Love Story. By the R. Hon. B. Disraeli. Przedmowa wyd. z r. 1870.

O ile mogliśmy się dowiedzieć, zdaje się, iż nie ma dotąd polskiego przekładu tej powieści; podobno z dzieł autora dwa tylko ukazały się w naszym języku: „Sybilla” i „Endymion.” Zarys pierwszego romansu jest następujący:

Syn zubożałego sir Ratcliffe'a Armine, Ferdynand, zaręczony był z kuzynką, dziedziczką wielkiego majątku i spadkobierczynią tytułów rodziny Grandison. Fryderyk usłuchał w pół-skrytych i w pół-wyraźnych życzeń kochającej go nad życie matki i ojca, ciężko strapionego coraz groźniejszą ruiną szczupłego majątku. Powróciwszy świeżo z maltańskich garnizonów, gdzie porobił znaczne długi, młody kapitan, który liczył na pewno, że świeżo zmarły wuj jego matki pozostawił mu cały majątek, a i matka utrzymywała go w tém oczekiwaniu, przekonywa się, że lord Grandison nie dotrzymał niejasno kiedyś uczynionej obietnicy, że wszystko, co miał, zapisał młodej Katarzynie. Lady Armine zbliżyła oboje kuzynów do siebie. Dziewczę pokochało całą duszą błyszczącego wielkimi przymiotami serca i umysłu kapitana; Ferdynand przywiązał się do pięknej kuzynki; żona sir Ratcliffe'a uszczęśliwiona rezultatem gorących swych pragnień i zabiegów, widzi już wypogodzone czoło mężowskie. Zaręczony nie analizuje swych uczuć względem przyszej żony, szanuje ją, zdaje się mu, iż jest szczęśliwym, bardzo szczęśliwym w jej towarzystwie, więc uważa kawalerskie życie za ukończone i ze starym przyjacielem domu, kapłanem Glastonburg, marzy o odnowieniu feudalnego zamku Armine i odbudowaniu dawniej świetności rodziny.

W trakcie tym, bawiąc samotny w Armine, Ferdynand spotyka Henrykę Temple, używając w towarzystwie ojca konnej przejażdżki. Olsniony czarodziejską pięknością dziewczycy, w pierwszym jej na siebie spojrzeniu wyczytał odrazu i poraz pierwszy w życiu, całe niebo prawdy! Ferdynand pokochał Henrykę szalenie, namiętnie, na wieki.

Pozwólmy autorowi własnymi słowy przedstawić swoją teorią miłości:

„Niema miłości nad miłość z pierwszego spojrzenia. To wynik nadzwyczajny, niepospolity, czystej i niezmazanej sympatii. Każda inna miłość jest nienaturalnym następstwem obserwacji, refleksyi, zobopólnej ugody, porównań, samolubstwa. Namiętności zbudzone nagle, niby draśnięte piorunem, kochają się w swém bołeniu: dusza niemi zraniona wprawdzie, lecz i na wieki ogrzana. Nędzny człowiek, którego miłość wschodzi stopniowo ponad mroźnym porankiem jego umysłu! Może kilka chwil światła i ciepła stanie się jego udziałem, kilka chwil południowej jasności, którą się ogrzeje, mniemając, że to blaski słońca wieczyste. Ale jak często promienie te bywają zamglone chmurami trosk, jak często ciemnieją wskutek nieszczęścia i nędzy! A jak stopniowo rośnie przywiązanie, tak i stopniowo, lecz pewno i smutnie zachodzi. Człowiek potem nieuawidzi monotonność życia w zimnym zmroku swjej duszy; bo błędnie mniemał, że nierówne uczucia mogą

być trwałe; ponieważ kierował się obserwacją zmysłów, nie zaś natchnieniem sympatyi.

„Wśród dni posepnych i ciężkich ujrzyć nagle przed sobą istotę piękną i jednocześnie uczuć głęboko najsilniejsze przekonanie, iż przy tém cudném zjawieniu przeznaczenie nasze musi na wieki się rozstrzygnąć; że już dla nas nie ma radości, jak radość ukochanej; nie ma smutku, tylko gdy ona się smuci; że w jój miłosném westchnieniu, w jój rozkosznym uśmiechu, całe nasze szczęście; ucywać w sobie, na jój widok, niknącą pychę ambicyi; czuć obłudę sławy i kłamliwość chwały w przyszłych pokoleniach; być gotowym odrazu do wyparcia się dla téj jednéj istoty, wszystkich nadziei, węzłów, planów, widoków; dla niéj potargać wszelkie obowiązki społeczne: oto kochanek, oto miłość! Wspaniałe, wyniosłe, boskie uczucie! Nieśmiertelny płomień goreje w piersiach tego, kto kocha z uwielbieniem i z uwielbieniem jest kochany. On istotą eteryczną. Sprawy ziemskie nie obchodzą go wcale. Rewolucye królestw, zmiany wyznań, przewroty opinii, to dla niego chmury i meteory na burzliwym horyzoncie. Plany i borykania się ludzkości są, według jego myśli, tylko pracą pigmejów i fantastycznemi dziełami pszczół. Nic go nie potrafi ugiąć. Śmieje się z utraty majątku, zarówno jak z utraty przyjaciół i reputacyi. Czyny i myśli ludzi są mu równie obojętne. Nie miesza się z tłuszcza reszty ludzi na ścieżce żywota, nie czuje się odpowiedzialnym przed żadnym powietrznym szarlatanem, przed którym inni niskie biją pokłony. Jest on żeglarzem, który na oceanie życia wzrok utkwiał w jedną gwiazdę; a jeśli mu ona nie świeci, rzuca wiosło. I cieszy się, gdy łódź do bezdennych sływa przepaści.”

Łaskawy czytelnik potrafi łatwo poznać, jak nieopatrznie nowozenc popuścił wodze wyrażeniu może własnych swych uczuć, w pierwszym roku małżeństwa. Potępić bezwarunkowo miłość, co w sercu człowieka wschodzi stopniowo; przepowiadać jój krótkie istnienie i nie wierzyć w jój szczerłość, serdeczność, lub siłę—jest, zdaniem naszym, toż samo, co nie podziwiać i nie kochać kwiatów zwolna ku słońcu wyrastających. W uczuciu takiém, jak go pragnie Disraeli, jest coś rozczochranego, niezdrowego, gorączkowego, suchotnego. Cóżby się stało z tym biednym naszym światem, gdyby podobna miłość Ferdynanda nie była wielce rzadkim wyjątkiem! Podobno „gwałciciele społecznych obowiązków” nie długoby się mogli cieszyć swém szczęściem. Wierzymy w miłość nagłą, „z pierwszego spojrzenia;“ jesteśmy przekonani o jój świętości i trwałości; lecz przyzna każdy, iż daleko więcej znamy przykładów najgłębszego przywiązania, szcżytnej i czułej miłości, co wzrosła w sercach kochanków świadomie, spokojnie i... sans éclat, bez jęków, rozpaczy, pomiędzy życiem i śmiercią.

Ferdynand pokochawszy Henrykę całą siłą powyżej wyrażonych uczuć, zdrzął jak zbrodzień... wspomniawszy na poprzysiężoną obietnicę miłości Katarzynie Grandison. W Anglii zaręczyny są aktem

mało mniej uroczystym od ślubów małżeńskich ¹⁾). Ale Ferdynand nie ma czasu na refleksy; zatopiony w rozkoszy pierwszej miłości, tai przed córką p. Temple fatalny związek poprzedni; zareczya się z nią nawet tajemnie, sam nie wiedząc, jakim sposobem zerwać stosunki z owym dziewczęciem sierotą, która go kocha nad życie; jak odkryć rodzicom istotny stan swego serca i umysłu, a więc i zburzyć i zniszczyć wszystkie ich pieszczone nadzieje, zasypać w gruzach Armińskiego zamku rozdarłe serce pierwszej narzeczonej i serca rodziców; jak się ukazać przed światem! Co więc, wierzyciele naglą, aby ich spłacić. Ferdynand inogłby tylko wyrzec się pozyskaną już nieograniczoną miłości Henryki!

Nadszedł czas, kiedy nieszczęśliwy, a przytém jednak tak pełen rozkosznej miłości młodzieniec, zmuszony jest do powrotu do rodziców i do pierwszej narzeczonej. Spodziewa się przecież, iż wkrótce powróci. Scena rozstania z Henryką jest przecudna, napisana z zadziwiającą w Disraelim prostotą. Kochanka pozostaje przy ojcu z pełną wiarą w miłość młodzieńca, który dla niej jest wszystkiem; kochanek śpieszy do cierpiącej przyszłej towarzyski życia.

Gdy po kilku tygodniach doznanych tortur przy boku rodziców i Katarzyny, Ferdynand powraca do Ducie-Park, rezydencji pana Temple, w miejscu pełnem tylu rozkosznych wspomnień, nie zastaje nikogo. Henryka wie o wszystkiem, z najwiarogodniejszych ust usłyszała okropną nowinę: że jej naręczony przygotowuje się do ślubu z najpierwszą dziedziczką arystokracji, że związany był uroczystymi zaręczynami, gdy jej wieczną przysięgał miłość! Śmiertelną ugodzona boleścią, córka odkrywa dumnemu ojcu całą tajemnicę; a ten opuszcza natychmiast Anglią, nie pozostawiając po sobie śladu i za morzem szuka spokoju dla żegnającego się z tym światem dziewczęcia. Ferdynand pada na łoża z obłąkaniem i ciężką niemocą. Pielęguje go Katarzyna i od ubóstwionego swego, szamoczącego się w malignie z jej własną pamięcią, dowiaduje się okrutnej prawdy! Miłość przykuwa ją wszakże do tego łoża, miłość dla Ferdynanda, przywiązanie do jego rodziców. Ci nie znają istotnej przyczyny śmiertelnej choroby, która grozi zniszczeniem tylu nadziei i wymarzonego szczęścia!

Wreszcie chory powraca do zdrowia i świadomości. Odtąd Katarzyna unika go, by mu nie przywieść na pamięć samą siebie. Złamana okrutną rzeczywistością i ona... nie opuszcza pokoju—sama, samotna męczy się w kaźni rozdartego swego serca.

Nadchodzi sezon stołeczny. Konwalescent z rodzicami i z naręczoną znajduje się w Londynie. Ferdynand unika świata, dni pędzą ponure w szalonej rozpacz. Wierzyciele przypominają mu coraz na-

¹⁾ Młody, zamożny obywatel tego miasta skazany został od wydziału sądów cywilnych na zapłacenie 400 funtów szterlingów panience z bardzo znanego i poważanego domu, której nie dotrzymał słowa. Panienka ma niebawem wyjść za mąż za jednego z członków tutejszego magistratu.

trętniej i coraz groźniej ogromne długi. Wielki świat oczekuje ślubu młodej pary. Sir Ratcliffe i lady Armine nie mogą zrozumieć, ani pojąć zachowania się obojga narzeczonych; kładą posepność syna na karb osłabienia po ciężkiej chorobie. Ten ostatni unika otwarcie zetknięcia się z własną rodziną, a chociaż często zniewolony jest towarzyszyć Katarzynie, stosunek ich jest zagadką dla wszystkich.

Pewnego dnia Ferdynand spotyka Henrykę... zaręczoną lordowi Montfort! Spotyka ją z chaosem uczuć w sercu—wstydu, gniewu, zazdrości i niczém nie wygaszonych płomieni. Henryka słucha krótkich jego wybuchów z oburzeniem.

Nareszcie powieść rozwiązuje się. Katarzyna wchodzi w ścisłą przyjaźń z rywalką, dowiaduje się od niej historii zaręczyn z lordem Montfort; przekonana zaś, iż akt ten był raczej wielką ofiarą dla spokoju i miłości ojca, odkrywa przed Henryką całą swą duszę, wszystkie tajniki zbolełego serca, zaklinając ją, jeśli jakie żywi wspomnienie utraconego szczęścia, jeśli głęboko w sercu pieści miłości iskierkę dla nieśczęśliwego młodzieńca, by jej pomogła do oddania mu życia.

Romans zakończony ślubem Ferdynanda z Henryką Temple i lorda Montfort... z Katarzyną Grandison.

Staraliśmy się dać poznać czytelnikowi główny błąd tego utworu: jedno, ciągle naprężone delirium uczuć, przedstawione jako ideał egzystencji; styl dzieła jest zawsze piękny, potoczysty, wykwinny, często ozdobiony prawdziwie wschodnim żarem kwiecistej wyobraźni; czasami porywający, wzniosły. Zawiele tylko opisów szczegółowych rzeczy stosunkowo podrzędnych; ale to nieuleczona wada we wszystkich dziełach Disraelego: pewne amatorskie wystawianie na widok publiczny idealnych w przekonaniu autora sprzętów, salonów, galeryi, parków, klejnotów, ubiorów, serwisów, liberyi i karet. Za to czytelnik nie spotka nigdzie łachmanów, splowiałych obić; wszyscy aktorowie tej dramatycznej powieści są członkami starożytnych domów; najuboższy z nich zawsze znajduje resztę śmiertelników u stóp swych i kolan.

„Venetia” lepszą jest powieścią, choć może styl w niej mniej żywy, mniej barwisty. Położylibyśmy względny ten niedostatek na karb zbytniego pośpiechu, z jakim zapewne autor pisał był ów romans. Główną myślą utworu (przypominamy czytelnikom obznajomionym z tą książką) jest gorąca miłość córki dla nieznajomego sobie ojca, oddalonego od swego dziecięcia, podobnie jak Byron był od Ady.

Prócz tragedyi „Alarcos”¹⁾, wyszł w r. 1839, prócz kilku broszur treści politycznej, przez siedm lat następnych Disraeli nie nie pisał, zajęty wyłącznie sprawami Kartystów²⁾ (Chartists) i taktyką sir Roberta Peel względem ligi, protestującej przeciwko prawu za wysoko taksującemu tranzakcyce zbożowe (Anti-Corn-Law-League). Powie-

1) Alarcos. A Tragedy. By the Right Hon. B. Disraeli.

2) Kartystami zwano niezadowolonych z reformy wyborczej.

dzieliśmy wyżej, iż przyszły lord kanclerz Anglii opierał nowoczesny toryzm na zasadzie zlania interesów konserwatystów z niektórymi wymaganiem radykałów. Radykaliści angielscy owych czasów, za pierwszych lat panowania królowej Wiktoryi, tworzyli wielki zastęp mal-kontentów z rządów tak torysów, jak whigów. Uważamy za rzecz niezbędną dać w krótkości zarys powstania tego stronnictwa, które aż do późnych lat życia lorda Beaconsfield'a tworzyło poniekąd „the backbone,” kość pancerzową, jak się tutaj mówi, torysowskich gabinetów.

W marcu r. 1831, lord John Russell, podskarbi wojenny i członek liberalnego gabinetu pod prezydencją lorda Brougham, wniósł bil reformy parlamentarnej, ów sławny, nie zapomniany i dziś jeszcze ustawicznie omawiany „Reform-Bill,” który znacznie powiększył liczbę reprezentantów narodu. Projekt ten sprawił szaloną gorączkę w stronnictwach i dopiero po roku uzyskał sankcją królewską, udzieloną z wielką niechęcią. Głównymi przeciwnikami ustawy byli członkowie izby wyższej, którzy téż, świadomi swęj niemocy w kraju i niedawno strąceni z władzy, opuścili izbę w liczbie stu z księciem Wellingtonem na czele, by nieobecnością ułatwić przejście wniosku i wyprowadzić Wilhelma IV z kłopotu. Nowa ustawa powiększyła liczbę okręgów wyborczych z 52 do 82; liczba posłów pomnożyła się zatem o 107 członków. Ale największa część deputowanych rozdzielona została na wielkie miasta przemysłowe: Birmingham, Manchester, Leeds; wiele zaś prowincjonalnych okręgów straciło zupełnie swych przedstawicieli, zlane w jeden obwód parlamentarny z dwoma, a czasem i z trzema sąsiednimi okręgami. Historycy owych czasów słusznie nazywają bil reformacyjny przyczyną największój rewolucyi w organizmie królestwa W. Brytanii od roku 1688, nadto źródłem dotychczas trwających i co roku nowo powstających błędów w konstytucyi. Przyczyną, dla której torysi odrzucali ustawę, było właśnie owo pomnożenie konstytucyi w miastach, zaludnionych przeważnie klasą robotniczą; później dopiero Disraeli znalazł, jak to wyżej powiedzieliśmy, środek do odniesienia wielkich korzyści z owego groźnego swemu obozowi niebezpieczeństwa, niszcząc wpływ whigów własną ich bronią, rozsiewając w nowych warstwach parlamentarnych obfite ustępstwa, obfitsze obietnice!

Ale rząd lorda Brougham musiał spotkać się oko w oko z muiéj jeszcze pożądanym przeciwnikiem, z świeżo powstającym i szybko rosnącym stronnictwem radykałów, zebraném z obywateli prowincjonalnych, mniejszych właścicieli i fermerów. Umniejszwszy bowiem zastęp członków parlamentu na prowincyi, rząd spowodował ogromny ubytek dziedzicznych krzesel w Westminsterze, a tém samém wyrosła zastraszająco cena większych włości i cena dzierżaw; arystokracja torysowska przestrzegąła rozpaczliwie, by żaden się do posiadłości nie przedarł stronnik wrogiego obozu; lordowie z pod sztandaru Wellingtona pozbywali się per fas et nefas wszystkich niewygodnych wyborców.

Z radykałami brytańskimi złączyli się radykali irlandzcy pod

wodzą Daniela O'Connell'a. Rząd uśmierzył ich zapalę zwykłym lekarstwem—zawieszeniem aktu habeas corpus. Krok to był wielce nierozważny! O'Connell był potężnym, a sir Robert Peel baczny. Ministrowie zamiast uzyskać potwierdzenie nowych wniosków koercyjnych, zmuszeni byli ustąpić. Sir Robert stanął na czele gabinetu (1835); stronnictwo jego zmieniło nazwę torysów na konserwatystów, mniej raziącą uszy warstw świeżych. Raz jeszcze jednakże gabinet sir Roberta usunął się na kilka miesięcy, przed niespodziewaną większością liberałów i nagłą a niewytłómaczną podobno dotąd popularnością lorda Melbourne. Nastąpiła śmierć króla (1837), koronacja Wiktorji, ślub jęj z Albertem, księciem Saxe-Coburg-Gotha (1840), z powodu tego niezadowolenie John'a Bull'a, dwa po sobie następujące lata nieurodzajów i liga „Anti-Corn-Law.“ Sir Robert umiał zagwarantować ligistom ustępstwa i chwiejący się lord Melbourne zrezygnował. Gabinet Peel'a dotrzymał obietnicy związkowym, znacznie zmniejszając podatki zbożowe i w ogóle wprowadzając stałe taksy na cerealia, zamiast nieoznaczonych prawem ciężarów akcyzy. Ustawy te przeszły prawie jednomyślnie przez obie izby.

Co spowodowało sir Roberta do podania wniosku o annihilacyę téjże samęj seryi praw r. 1846, trudno zrozumieć! Podobno czuł się przekonany, iż ustawy te zachwieją budżet; podobno widział w nich zarodek coraz szerszęj rozlewających się ustępstw koniecznych dla „trzęcięj partji“ i jęj słynnego przywódczę Ryszarda Cobden. Koniec końcem, Peel opuścił stronnictwo, któremu zawdzięczał swe wyniesienie, pozostawiwszy za sobą ogromne oburzenie. Zwolennicy jego przed „apostazyą“ obrali lorda Stanley'a wodzem w izbie panów, Disraeli zajął analogiczne stanowisko w izbie gmin. Lord John Russel powrócił na wołosack kanclerski (1846).

Dziwna to była owa potężna opozycya z lat 1846—1852! Może się nie mylimy przypisując ogromne jęj wpływy autorowi „Viviana.“ Disraeli zasiadł był na ławie poselskięj z obowiązkiem popierania Peel'a; przez cały ciąg walki wyborczęj, od roku 1839, był jego najgorliwszym poplecznikiem; jemu zawdzięczał rozgłos swój i popularność w obec tegoż samego stronnictwa, które go odrzuciło w High-Wycombe; a przecięż, gdy Robert Peel ustąpił z gabinetu, w protegowanym swym znalazł najzaciętszego wroga i najwymowniejszego oskarżyciela o zdradę „protekcjonistów.“ W oczach więc radykałów stanął Disraeli jako męczennik za sprawę słuszną, raz już uznaną za świętą i nieetykalną; w oczach zaś swego własnego obozu przedstawił się jako polityk znający tajemnice przyszłęj reorganizacyi toryzmu. Tajemnice te częścią odśłonił młody szef opozycyi w dziele swém p. t.: „Coningsby, czyli nowe pokolenie“ ¹⁾. Bliższą analizę jego uważamy za zbytęczną po tém, cośmy już powiedzieli o coraz głębięj zapuszczająćęj ko-

¹⁾ Coningsby; or the New generation.

rzenie teorii autora. Nawiasem wspomniéć wypada, że ulubiony synowiec Beaconsfielda, synowiec jego, podobno rokujący wielkie nadzieje, nosi imię Coningsby i jest spadkobiercą wszystkich dzieł stryja i prawie trzech części jego majątku.

Lord Palmerston, który posiadał tekę spraw zagranicznych w gabinecie lorda Russell'a, uznał *coup d'état* Napoleona III bez znieśienia się z kolegami i bez sankcyi królewskiej. Otrzymałszy dymisyą, zemścił się na gabinecie, sprowadzając upadek jego z powodu bilu reformy obrony krajowej (*Militia-Bill*). Naczelnictwo rządu objął lord Derby, ten sam który poprzednio nosił tytuł lorda Stanleya; a kanclerzem finansów został Benjamin Disraeli (1852). Lecz już w następnym roku rozwiązanie parlamentu sprowadziło upadek konserwatystów; lord Aberdeen objął urząd pierwszego ministra, przybrawszy p. Wilhelma Edwarda Gladstone na miejsce byłego ministra finansów. W cztery lata później, podczas którego gwałtowném zajęciu rządu była dyplomacya wschodnia i wojna krymska, nieporozumienie pomiędzy lordami Russell'em i Palmerston'em przywróciło gabinet hr. Derby'ego z Disraelim na poprzedniém stanowisku. Kanclerz finansów przeprowadził wtenczas ustawę, na mocy której Anglicy Mojżeszowego wyznania uzyskali równouprawnienie polityczne i wstęp do parlamentu. Podobno brak sympatyi rządu, mianowicie hrabiego Derby, dla sprawy włoskiej sprowadził powtórny jego upadek. Lord Palmerston, pogodziwszy się z „Peelistami“ i z lordem Russell'em, ujął wodze rządu i zatrzymał je aż do r. 1866, to jest do rozwiązania parlamentu, nieskłonemgo do przyjęcia budżetu p. Gladstone'a. Wówczas to Disraeli, po śmierci politycznego swego zwierzchnika, poraz pierwszy stanął u szczytu swéj ambicyi, otrzymując płaszcz i koronet pierwszego ministra. Wprawdzie nie długo utrzymał się przy władzy, gdyż bil kościelny pana Gladstone'a ¹⁾, ogołocił znacznie siłę jego stronnictwa. Królowa Wiktorya z żalem przyjęła dymisyą Disraeliego a chcąc mu dać publiczną oznakę uznania, ofiarowała eksministrowi wysoką godność... parostwo! Mąż stanu uprosił monarchinię by tytuł przeznaczyć raczyła ukochanej jego małżonce. Pani Disraeli wyniesioną została do rangi wicehrabiny Beaconsfield. Niestety! nie długo cieszył się małżonek zaszczytem jaki go spotkał.. W tymże samym roku, w którym zupełna niezaradność gabinetu Gladstone'a zaprowadziła go poraz wtóry do steru rządu, przywiązana towarzyszka fortunnego życia rozstała się z tym światem (1874).

Gabinet liberalny upadł w obec ogromu odpowiedzialności, jakie na niego spadać zaczęły, od początków zatargu pomiędzy Portą Otomańską i księstwami naddunajskimi, później zaś w obec trudności wynikłych z zamieszania stosunków kolonialnych w Azji i w Afryce.

Dzieje następnych rządów wielkiego ministra, który podpisał traktat berliński, włożył na skronie królowej W. Brytanii cesarską koronę Indyi, są już dobrze znane publiczności wszystkich europejskich

¹⁾ Zobacz str. 64 kwietniowego zeszytu „Biblioteki.“

krajów. Zarzucano lordowi Beaconsfieldowi roztrwonienie skarbu na cele niemoralne, wytracenia narodowości południowo-afrykańskich i niesprawiedliwe rozszerzanie granic posiadłości azjatyckich. Przyznamy się, iż gotowi jesteśmy tłómaczyć te „niemoralności“ koniecznością. Wojny afgańskie wywołane zostały niedotrzymaniem traktatów kabulskich i morderstwem sir Johna Cavagnari, brytańskiego pełnomocnika na dworze emira, za które naród angielski żądał natychmiastowej zemsty. Wojna zuluańska wybuchła bez wiedzy i bez sankcyi rządu, z akcyi głównodowodzącego siłami cesarstwa, sir Garnet Wolseley'a. Zręczne manewra wyborcze wielkiego mistrza ekonomii finansów brytańskich sprawiły, że naród, który przyjmował nowokreowanego para z entuzjazmem dochodzącym nieledwie do fanatyzmu, po powrocie z konferencyi berlińskiej, po dwóch latach uległ kuszeniom przeciwników, skutkom klęsk nieurodzaju i ciężkim katastrofom olbrzymich bankructw wielkich domów przemysłowych.

Lord Beaconsfield rozwiązał parlament w r. 1877, spodziewając się, że zdrowy umysł narodu nie da się oszołomić pozorami i wielomówną taktyką przeciwników. Tymczasem inaczej się stało. Pamiętne są słowa księcia Argyll, które dzisiejszy oponent rządu, a wówczas jego sędziwy poplecznik, wyrzekł z okazji usunięcia się z życia publicznego wielkiego dyplomaty: „szlachetny hrabia używa przywiązania Anglików; szanują go i kochają młodzi ludzie, których zachęcił do wstąpienia na drogę publicznych usług ojczyźnie; szanują go i kochają starcy, których prowadził, wbrew wszelkiej nadziei, do chwały i zwycięstwa” ¹⁾.

Czujemy, iż zbyt długo rozpisaliśmy się o tym nadzwyczajnym i wielkim żywocie. Jeśli mniej powiedzieliśmy o dziejach politycznej karyery hrabiego, niż możemy powinni byli uczynić, to dlatego, iż dzieje te łączą się zbyt ściśle z historią tego królestwa, by słabe pióro nasze mogło podjąć się choćby ich streszczenia. Na samym wstępie obiecaliśmy wyświecić, wedle podobieństwa, charakter męża, pozostawiając czyny jego publiczne do roztrząśnienia umysłem kompetentniejszym — najkompetentniejszej pono zaś przyszłości.

Nie rozebraliśmy także kilku utworów Disraeliego. O ostatnim z nich, „Endymionie“, wytworne pióro uczonego krytyka wypowiedziało czytelnikom „Biblioteki“ trafne i słuszne zdanie. „Sybil“, „Lotar“ i „Taukred“ nie zawierają żadnej nauki ani nawet głębszej wartości dla nas Polaków. Pod wielu względami możnaby i tu życzyć sobie, by Anglicy szerszych klas przestali wierzyć w owe papieżkie i katolickie intrygi, które w „Latorze“ szczególnie, autor rozsiał z zbytniem zamiłowaniem i obfitością.

Benjamin Disraeli, pierwszy hrabia Beaconsfield, wicehrabia Hughenden (z zamku Hughenden, w Buckinghamshire), kawaler orderu Podwiązki, zmarł w rezydencyi swój stołecznej na Curzon street, dnia 19 kwietnia 1881 r.

¹⁾ Daily Telegraph, z 24 października 1880 r.

SIOSTRA MIŁOSIĘRDZIA.

POWIEŚĆ.

PRZEZ

Emila Castelara.

(PRZEKŁAD Z ORYGINAŁU HISZPAŃSKIEGO).

PRZEZ

*A. Gorajską *)*.

Tom II.

Zajaśniał nakoniec straszny dzień boju. Krwawy krąg słońca, wzbijając się w górę na horyzont, zwiastował duszną spiekotę. Na krańcach widnokregu widać było nadciągającą karawanę. Ale ta karawana nie wojnę tu niosła, lecz pokój; nie boleść, lecz pociechę i nadzieję.

Były to Siostry Miłosierdzia, które pozostawały w tyle, a teraz szły ochoczo do obozu, by hojną dłonią szafować darami i skarbami nieba. Wśród nich Aniela przyświecała im przykładem najszczytniejszego poświęcenia.

Przebyły one już wiele dni skwarnych upałów; piasek na pustyni, wiatrami mieciony, zasmagał im oblicza, burza odzież na nich portargała, słońce paliło im ciało, lecz one, jakby nic nie czuły, tchnące tylko miłosierdziem, rade stawiały czoło wszystkim ze strony natury prześladowaniami.

Gdy dobrze rozważymy, do jakiego stopnia cierpienie uszlachetnia naszą duszę, nie możemy jak tylko błogosławić cierpieniom.

*) Dokończenie—patrz zeszyt za wrzesień r. b.

Skutkiem jakiegóś tajemnicy w naszej naturze, to co na pierwszy rzut oka zdaje się najbardziej nas poniżać, w istocie najwięcej nas podwyższa. Boleść, której staramy się unikać, jest niedościgłym prawie naszego bytu balsamem, który zachowuje od psucia się wszystkie nasze duchowe siły. Nie bardzo dowierzajmy tym, co się czują szczęśliwi i spokojni na ziemi: ci biedacy nigdy nie zaznali tęsknego pociągu do innego, lepszego żywota, nie zamarzyli o niebie i o nieskończoności, nie noszą ideału w duszy, i nie widzą, jak bardzo od tego ideału oddala się zimna i pospolita rzeczywistość. W sprzeczności, w ustawicznej walce pomiędzy tym rzeczywistym światem, a światem przez nas rojonym, między tórn przejściowórn życiem, a życiem zaświatowórn, którego przystanią jest wieczność, między przeczystą ideą w myśli, a zamgloną formą znikomie zarysowaną w przestrzeni, między niedoskonałością, na jaką patrzymy, a doskonałością, o jakiej marzymy, w tórn sprzeczności i w tórn walce bezustannej, zawiera się tajemnica naszej wielkości, geniusz naszych sztuk, boska iskra wiedzy. O, tak, człowiecze, tak biedny pielgrzymie! natura nie ugnie się pod twoje rządy bez protestowania przeciwko twórn władzy w niezliczonej rzeszy burzących się swoich żywiołów, wiedza nie zstąpi do twojego czoła, aż się wprzódn ostóni w nieprzenikloną chmurę; a nawet cnota nie uśmiechnie się do ciebie, jeżeli nie będniesz o nią wojował. Każdy listek twojego wieńca, okupion jest jakąś ofiarą: każdy promień wiedzy, jaki zdobyłeś, kosztował cię wiele bardzo bolesnych dni twego żywota; każde tchnienie wolności, jakie osiągnąłeś, jest opłacone przez tysiące pokoleń. A jednakże boleść, która przed tobą i za tobą kroczy, która skrzydłami trzepocze nad kolebką twórn i nad twą mogiłą, która, jakby niezbędna konieczność, wplecioną jest we wszystkie twoje wielkie dzieła, ta boleść, co jęczy w strunach twoich arf, w twoich dętkach, w twojém piórze, we wszystkich narzędziach twórn wielkości, boleść ta, co tryska z twoich melodyi, z twoich poematów, z twoich posągów; ta boleść nieskończona jest przecież aniołem Bożym, który kwiatami zaściela drogę twórn ziemskiej pielgrzymki i z uśmiechem ci wskazuje boską dziedzinę w niebiesiech.

Któżby tedy osądzić potrafił, jakie dobro dla ludzkości wypłynąć mogło z cierpien owego dnia nieszczęsnego, o którym przychodzi nam mówić? Nic okropniejszego nad wojnę, nic bardziej nie nęka i nie trapi: a wszelako wojna była gościńcem ludzkości, jéj puszczą, przez którą przejść potrzeba, aby się dostać do ziemi obiecanej. Pozostawiając za sobą, tu zatopione pyszne cywilizacye, tam zagrzebane pod ziemię tysiące tysięcy istot ludzkich, owdzie rozbite państwa, które się urządziły z kosztownym zachodem, budując jutro to, co wczoraj zburzyła, ludzkość szła naprzódn zawsze łzy roniąc, zawsze sącząc krew z siebie i podążała ciągle do wolności, do udoskonalenia.

Byłto zaprawdę dzień grozy, dzień straszny! Arabowie pustyni, z wyostrzonymi do boju spisami, na rącznych siedząc wierzchowcach, uwijali się po całej linii bezładnych swoich oddziałów, wydając okrzyki

śmierci, dzikim rykiem wściekłą wyrażając zażartość; z oczu ich try-skał ogień zemsty, piersi nienawiścią dyszały, nozdrza rozdymały się, jakby dla nasycenia się wonią krwi, która niebawem rozejdzie się w powietrzu. Dzieci pustyni, rozgorzałe jak ta pystynia, bezlitosne jak to niebo, dla tkliwych uczuć, jak ten grunt jałowe, chciwe krwi, jak tygrys, którego poryk dochodzi tu z górskich wąwozów, ludy te zrodziły się do wojny. Lecz wojna ich z europejskimi ludy, jestto wojna siły z inteligencją, ramienia z ideą, ślepego instynktu z rozumem oświeconym i wolnym; wojna krwawa i straszna, lecz w której tryumf pozostanie jak zwykle, z prawa, po stronie ducha górującego nad wszystkiém niewidomą swą a cudowną siłą.

Lecz w dniu, o którym tu mowa, tryumf był wątpliwy, powodzenie niepewne. Europejskie wojska miały za sobą karność, a wojska afrykańskie liczebną przewagę; europejskie górowały umysłową potęgą, afrykańskie siłą materyalną. Wojska europejskie miały wroga w ziemi, po której stąpały, w nieprzyjazném niebie nad głowami, w gorzącém i rozpłomienioném słońcu, które grotami swemi ich raziło; afrykańskie wojsko miało przyjaciela, opiekuna, obrońcę w przyrodzie, w ziemi, w niebie, w słońcu. Żywioty natury osłabiały Europejczyków, a dodawały sił Afrykanom. Widok pustyni przedstawiał się jednym, jako cmentarz olbrzymi, a zaś drugim jakoby kolebka, ognisko domowe, świątynia ich bóstwa. Ztąd bój musiał być tém sroższy, tém zaciętszy, tém krwawszy, ponieważ materya ze wszystkiemi swojemi siłami, ze wszystkiemi środkami, ze wszystkiemi żywiołami występowała do walki z duchem.

Nakoniec przednie poczty chrześcijańskiej armii spotkały się oko w oko z zastępami niewiernych. Najpierwsze wystrzały chrześcian, rzuciły popłoch między nieprzyjaciół, którzy rozpierzchli się jak stado kruków na odgłos pierwszego strzału myśliwca; jednakże rychło zebrałi się z rozsyпки, i z niezmierną gwałtownością uderzyli na nasze wojsko.

Europejskie szeregi nie zachwiały się pod tym szturmem, ustępując tylko zwolna w tył, dla umiarkowania taktyki nieprzyjaciela. Taktyka ta jest prosta i znana. Zależy na tém, aby zamknąć oczy i rzucić się w bój naoslep, jakby w głęboką przepaść, sieć i kłóc z całych sił, nie bacząc, gdzie godzą ich ciosy. Ten osobliwszy sposób wojowania jest niesłychanie strasznym. Człowiek całém ciałem na przeciwnika napada, walczy z nim rękami, nogami, zębami. Wrzask przeraźliwy, ohydne klątwy, obelgi grubiańskie, złorzeczenia, ustawiczne wzywanie opieki i pomocy Bożej, wszystko to dla Araba jest nieodłącznym od boju; wszystko to dodaje mu odwagi, jak gdyby to były krążące w około niego geniusze, zsyłane przez boga wojny, aby mu nie dać upaść w zamieszce srogich i krwawych bojów. Trzeba bo widziéć syna pustyni, jak obwinieły w biały burnus, niby w tuman obłoku, na czarnym jak noc latawcu, wywija wyostrzoną dzidą, która łyskając odbiciem od słońca, zatacza kręgi niby wąż ognisty; z iskrzącém się

okiem, z twarzą od złości wykrzywioną, z pianą na ustach, z których się sypią klątwy i ztorzeczenia, tém mężniejszy, im bardziej napierany, okrutniejszy gdy zraniony, chwyta w pierś wyziew krwi, jakby woń niebiańską, przysłuchuje się jękom konających, jakby precudnej harmonii, trupami otoczony szuka ofiar, istne wcielenie straszliwego ducha wojen.

Otóż zaledwie zwały się z sobą przednie szeregi, gdy nagle tłum tej dziczy, tych strasznych pogromców, tej dziatwy mordu i rzezi, tłum ogromny, jakby chmara szarańczy, z okrzykiem groźby, z gestami wyrażającymi wściekłość, szła wrzaski ku niebu, jak opętańcy, pomknął by w wojsku chrześcijańskim połamać szyki i wprowadzić je w zamęt, z tak dzikim zapędem, z jakim wezbrana rzeka występując z łożyska zalewa pola i wyrывая drzewa z korzeniami, zabiera je i unosi na rozhukanych i pieniających się falach, których prądowi nic oprzeć się nie zdoła, których siły nie nie potrafi pohamować ni pokonać. Wrzask tyłu rozżartych głosów, szcęk tyłu miotających się żelazców kopii, huk tyłu rusznic ogień ziejących, tętnienie końskich kopyt, grzmot dział polowych: wszystko razem tworzyło zgiełki i hałas tak okropny, tak przerażający, iż rzekłbyś, że bryła ziemiska od niego trzęsła się i chwiała.

Wojska europejskie nie nacierały dotąd, a tylko odpierały; nie rzucały się naprzód, lecz ostrzem mieczów i ogniem artylerji stawiały tamę tej powodzi barbarzyństwa, dając im czas, aby sami się znużyli i wyczerpali swoją zaciekłością, swoją natarczywością, i aby swoim gorączkowym a bezcelowym miotaniem się wypotrzebowali i strawili swoje siły, tak łatwe do rozruszenia, lecz które snadniej jeszcze same z siebie słabną i upadają.

Tak wielka liczba wrogów przybyła, że wreszcie nie można było poprzestawać na odpieraniu, wypadało z kolei atakować z ogromną siłą i gwałtownością. W tej chwili słońce wstępowało na zenit, lejąc potoki ognia, gorąca i światła. Powietrze dusiło, jakby parnota w rozpalonym piecu. Broń palna prawie się zapalała od promieni słonecznych. Ziemia zdawała się być pokryta lawą lub gorącym popiołem. Upał, rozgrzewając krew w żyłach, powiększał zaciekłość i szął srogiego boju. Ach! w tym dniu okropnym, wszystko było okropne!

Nie, nie wszystko. Nigdy Bóg nie przestaje rosy swego miłosierdzia spuszczać na wielki ocean naszych nędz i boleści. Pod jednym namiotem klęczały na ziemi Siostry Miłosierdzia, i z oczyma ku niebu wzniesionymi, modliły się o tryumf słuszności i prawdy, o zbawienie dla wszystkich. Już miały w pogotowiu szarpie i maście do przykładania na rany, płótna do obwijania zabitych. Podczas, gdy wszyscy przygotowali narzędzia śmierci, one przysposobiły środki do życia; gdy wszyscy myśleli o wytepieniu, one przemyślały nad ocaleaniem; gdy wszyscy ztorzeczyli i nienawidzili, one w duchu miłości wznosiły modły do Boga. Sprzeczność jest zasadą całego naszego bytu.

Aniela, skończywszy modlitwę, wyszła przed namiot, chcąc zobaczyć, jaki obrót bierze walka. Namiot ten stał na nieznacznej wyniosłości gruntu, i ztamtąd był widok na plac boju. Ruchy wojsk, zapasy walczących, nawet pojedyncze postacie żołnierzy, można było rozróżnić doskonale.

Jeden z kapelanów obozowych stanął obok Anieli i dodawał jej otuchy, zwracając uwagę na korzyści, odnoszone przez chrześcian.

— Ach, mój Boże!—zawołała Aniela—patrzcie, Ojcze, patrzcie, ten tam oddział Arabów rozbił całą rotę naszych!

— Ale za to uważaj Siostra: tu, na lewém skrzydle, nasi górą.

— A! tamci napadają jak lwy.

— Nie lękaj się. Ich gwałtowne zapędy roztrąca się o przemyślność naszych wojaków, jak fale morskie o piaski.

— Alboż nie widzicie, Ojcze, że tam, naprzeciwno, z głębi pustyni wychodzą bezustannie nowe gromady?

— Wszystkie one padną tu przed nami, jak zżęte kłosa na polu.

— Wielkie sobie robicie nadzieje, mój Ojcze, bardzo wielkie. Ja nie mam tej wiary... Biedacy! Jak giną. Iluż tam już wyzionęto ducha! Ile drogich osób pozostawiają na świecie! Ile serc rozdziera się za każdym śmiertelnym ciosem, który w nich godzi!

— Ginąc w tej chwili, ponosząc śmierć za sprawę Boga, za sprawę cywilizacyi, mają pewność odrodzenia się w niebie—rzekł ksiądz.

— Patrzcie, Ojcze, patrzcie! tam na prawo... Ile tam biedaków zaściela pobojowisko... słychać ich jęki i wrzask barbarzyńców. O! nie mam dosyć odwagi, do zniesienia tak okropnego widoku!

Duchowny szeptał zcicha modlitwę.

— Teraz środek naciera—mówiła Aniela.

— I z ogromną natarczywością—dodał ksiądz—zaraz zobaczymy, jak ta barbarzyńska tłuszcza pójdzie w rozsypkę.

— O, nie; nowe tłumy jawią się i przybliżają: jest ich tam bez liku.

— Widzisz, Siostró, jacy dzielni nasi żołnierze! Jak się biją! A tak zupełnie, jakby ich to nic nie kosztowało... tacy mężni. Suną naprzód, jak gdyby nie stał przed nimi mur z gołych mieczów.

— Nic nie wiem, co się dzieje; grzmot dział ogłusza mnie, dym wzrok mi zaćmiewa: widzę tylko zamęt ogromny.

— O! a jakie krzyki słychać teraz! Cóż to za wrzawa?

— Niby śmiechy.

— To są wycia.

— Musieli pokonać środek—mówiła Aniela—pewno zwyciężyli.

— Nie, nie zwyciężyli—odezwał się basowy głos żołnierza, stojącego na warcie—ale nam zabrali jeden sztandar.

— To dowodzi, że wzięli górę—odrzekła Aniela.

— Nie daj Boże!—rzekł ksiądz.

— Patrzcie go, patrzcie—mówił szyldwach przypatrując się przez lunetę.

— Cóż tam takiego? Co się stało?

— To ten zuch Włoch, kapitan Edward.

Aniela krzyknęła, ręką twarz zastoniła, i jak gdyby lękając się, aby nie upaść, oparła się o drzwi namiotu.

— Cóż on robi? Co się z nim dzieje?—pytała z nieopisaną trwogą.

— Wybiegł z szeregów i goni za Arabem, który uniósł naszą chorągiew.

— Boże! miej go w swojej opiece—mówiła Aniela wznosząc oczy ku niebu.

— Czy Siostra znasz tego młodzieńca?—zapytał kapłan.

— Znam go.

— Zapewne tu w wojsku go widziałaś?

— O, nie, nie tutaj...

— Ho! ho! pędzi jak zwierz dziki!

— Co za nierozwaga!—mówiła z przestachem Aniela.

— Nie, to bohaterstwo!—zawołał żołnierz z zapałem.—Już, już blisko... już ich dogonił...

— Mój Boże! mój Boże!—powtarzała Aniela w najokropniejszej trwodze.

— Dwunastu, dwunastu przeciw jednemu... nikczemni... tchórze...—wołał szyldwach.

Aniela załamywała dłonie z rozpaczą.

— Ale on stawia im czoło... o! walczy ze wszystkimi... to prawdziwy bohater!

— Zginie w tej nierównej walce!—jęknęła boleśnie Aniela.

— Aha! rzuca się na tego, który trzyma sztandar... już go trupem położył... już uchwycił chorągiew, już nią w górę potrząsa. Cześć naszej chorągwi, chwała dzielnemu Włochowi!

Kapłan półgłosem odmawiał Te Deum.

— A! konia pod nim zranili...

— O, nieba!—krzyknęła z przerażeniem Aniela.

— Więcej niż trzystu puszcza się w pogoń za nim...

Z piersi Anieli wybiegło westchnienie tak bolesne, jak krzyk rozdartej piersi.

— Ale on pędzi, pędzi, a za koniem struga krwi zostaje na piasku.

— Ratuj go, o Paniel ratuj go!—mówiła Aniela prawie odchodząc od przytomności.

— Już go obskoczyli...

— Ach! on zginie, zginie!

— O! broni się jak lew.

— Nadaremnie!.. oh! Edwardzie! Edwardzie!

— Przedarł się przez ściskającą go obręcz, umyka... umknie cało.

— O, Boże! czuwaj nad nim!

— A! znowuż dwóch Maurów goni za nim... już go doścignęli... ach! zranili go...

Aniela krzyknęła przeraźliwie, jak gdyby sama ranę otrzymała.

— Zuch, broni się... o, to bohater!

— To bohaterstwo przyplaci życiem—mówiła Aniela.

— Krew go broczy... ale chorągiew trzyma w ręku.

Aniela, nie mogąc się prawie utrzymać na nogach, uchwyciła ręką za płótno namiotu.

— No! przecież nasi przybywają mu na pomoc... oddaje im chorągiew... chwieje się... pada omdlały na ręce swoich.

Słyszając to Aniela, także upadła bez zmysłów na spalony piasek.

— A to mamy coś nowego!—rzekł sztyldwach, broń rzucając i rażno przyskoczył na pomoc Anieli.

— Siostró, Siostró, co wam się stało?—pytał z żywym niepokojem ksiądz, pochylając się nad omdlałą.

— Nasza Siostra, nasza kochana Siostra!—mówiły jej towarzyski wybiegając z namiotu i cisnąc się jedna przez drugą, ażeby ją ratować.

— Widzicie ją?—szemrał żołnierz—co to za męstwo do bojów! to mi piękna Siostra Miłosierdzia, co mdleje skoro prochu powącha. Korzyść dla nas nielada. Spodziewamy się od nich ratunku, a tu ich trzeba ratować.

— To i pocóż tu przyszła, jeżeli ma jeszcze nam odbierać ducha.

— Żołnierz!—rzekł kapłan—słaba siła ludzka ma swoje granice, których nie może przekroczyć.

Wtém Aniela otworzyła swoje wielkie oczy, i ze zdumieniem powiodła niemi dokoła.

— Co to jest? mój Boże! co się ze mną stało?—rzekła po pewnej chwili milczenia.

— Nic, oprzytomnij Siostró—odrzekł kapłan. Silne wrażenia z widoku walki; ten skwar duszący, nawał myśli, tłoczących się w zaniepokojonym umyśle, wszystko to silniejsze od słabiej ludzkiej natury.

— Oh!—rzekła Aniela z boleścią—a ja tu przybyłam po to, aby ratować tych biednych żołnierzy, ja sama taka słaba, taka niedotężna.

— No, no, Siostró!—odezwał się żołnierz—nic wam nie będzie, już siły wracają.

— Powinnam je mieć na to, co jest do czynienia.

— Już i rumieniec na twarz wraca—zauważył kapłan.

— A, co prawda, to przesłiczna kobiecina—powtarzał sobie w duchu żołnierz.

Aniela podniosła się, kilka kroków postąpiła ku namiotowi, a wtém usiadła na ziemi i zaczęła rzewnie płakać.

— Siostró, Siostró—mówiły zakonnice—ty, taka silna, przez cały ciąg naszej podróży, coś nam w czasie morskich nawałnic dodawała odwagi, co swoim słowem rzeźwiłaś nas na pustyni, teraz taka smutna i płacząca? Cóż my pocniemy?

— Macie słuszność, moje Siostry—odrzekła—grzeszę przed so-

bą, grzeszę przed Bogiem. Chodźmy, mamy wiele do roboty. Pobożewisko pełne jest rannych, trzeba co prędzej ich pozbierać, krew utamować, opatrzyć rany.

— Nie—rzekł ksiądz—jeszcze nie pora. Bój wre najzaciętszy, nie powinnyście iść teraz.

— Właśnie w najzaciętszym boju pomoc nasza najpotrzebniejsza.

Mówiąc to, Aniela pozbierała swoje maści, bandaże i szarpie i bez względu na nic, z nieustraszoną odwagą, pobiegła na plac bitwy, a za nią pędziły siostry zakonne.

Słabe te niewiasty, w pośród okropności bojów, wydawały się niby anioły zbawienia, niby słowo Boże w majestacie i pogodzie, unoszące się ponad chaosem. Wojenna wrzawa, krzyki umierających, dym prochowy, wyziew krwi rozlanej, nic nie było zdolnym powstrzymać je w śmiałym pochodzie w nadludzkiego dzieła zamiarach. Rzekłybyś, iż ufne w boskość postannictwa pokoju i miłości, jakie spełniły, tam, gdzie tylko panowała nienawiść i wojna, czuły, iż Bóg je wszystkie ostanta płaszczem swój opieki, i chroni je od złości ludzkiej, podobnie jak je ochronił od rozdąsanych żywiołów. Gdziekolwiek znalazły rannego, czyto był Maur czy chrześcianin, nie pytając ni o jego wiarę, ni o znaki pod jakimi walczył, zatrzymywały się i przynosiły ulgę jego ciału, pociechę jego duszy. Ach! iluż z pomiędzy tych nieszczęsnych, widząc w pośród śmiertelnych zapasów te świątobliwe niewiasty, jak z narażeniem własnego życia do nich przystępują, przyklekają nad nimi, krew ich tamują, obwiązują rany, trzeźwią ich, a potem, w dodatku, błogosławiają, jak gdyby oni bracią ich byli, patrząc na nie, ujrzeni w ich oczach, na ich anielskich ustach, najpierwsze objawienie światła chrześciańskiej wiary, którego by nie oglądali nigdy zapewne, gdyby nie pożerczy ogień wojen!

Dobro. cnota, rozradzają się ogromnie jako pełne zawsze szczerzej siły żywotańej. Dobro po ziemi rozlane jest jednocześnie balsamem, przykładem i nasieniem, które jak zboże w rolę wrzucone plonuje sto za jedno. Też samą płodność jaką widzimy w fizycznej naturze, posiada także natura moralna. Z jednego ziarna rodzi się drzewo, które tysiące wydaje kwiatów, tysiące wybornych owoców, oczyszcza powietrze, miłego cieniu użycza dla znużonego wędrowca, a szczytem wysoko strzelając, opiera się zwycięzko czasów zawierusze i długie żyje lata silnie w ziemię wkorzone. I tak samo z jednej cnoty prostej i skromnej, którą się zasieje w sercu człowieczym, i mocą której doprowadzi się człowieka do umiłowania bliźniego i do wiary w Boga, z jednej téj cnoty rodzi się cnot tysiące, które w naturę naszą wszczepiają piękno i siłę.

W chwilach kiedy Siostry miłosierdzia wstępowały na pobożewisko, walka w straszliwy sposób się rozszrożyła. Mijało południe, słońce całą swoją potęgą uderzało na walczących. Ośmiogodzinny bój bez przerwy był bezowocnym. Prawda, że wielu w nim padło niewiernych, ale i chrześcian poległo niemało. A nadto, chrześcianie ani na jeden krok nie posunęli się naprzód, poprzestając na odporze i starając się,

acz nie zawsze z pomyślnym skutkiem, przełamywać, tępić i do ucieczki zmuszać nieprzyjaciela.

W tej przeto chwili, widząc iż nadspodziewanie długo odwlekało się rozstrzygnięcie losów bitwy, iż bezpożytecznie ginie taka moc dzielnego żołnierza, widząc iż przykłądną potrzeba dać naukę wrogowi, wydano rozkaz wojsku iść do ataku co najrychlej i wpaśćszy całą siłą na nieprzyjaciela bez pardonu w pień wycinać.

Żołnierze przygotowali się do tej nowej walki i pomimo okropnej spiekoty, ruszyli pośpiesznym krokiem, radzi że zmieniają stanowisko i że będą atakować, zamiast się bronić. Cała chrześcijańska armia, z wyjątkiem sił odwodowych, posunęła się jak jeden mąż. Środek i oba skrzydła runęły jak wezbrany z gór potok na Arabów. Wojsko to, tak wyćwiczone w karności, poruszające się w takt na jedną miarę, wydawało się murem w ruch wprawionym siłą wewnętrznej sprężyny.

Niespodziewane natarcie chrześcijańskiego plemienia przeraziło plemię maurytańskie, które sobie wyobrażało, iż przeciwnikowi zbywa na sile i na odwadze do wystąpienia zaczepnie.

Ujrawszy groźną nieprzyjaciela postawę, pod pierwszym wrażeniem rzucili się do ucieczki w nieładzie. Rychło atoli upamiętali się i zawstydzeni, postanowili zginąć raczej, aniżeli opuścić lub oddać nieprzyjacielowi plac boju.

Wtenczasto ujrano wszystko najstraszniejsze co w sobie na ostatek chował ten dzień straszny: kopie pokruszone, potrzaskane hełmy, ogień morderczy, pokosy ciał bez liku, ranni jęczący i tu i tam, dwa zastępy mocujące się z sobą prawie pierś o pierś, ramię o ramię, działa z obu stron zmiatające ludzi, zaciekłość wzrastającą w miarę przeciągania się boju, śmierć znęcającą się nad tysiącami ofiar ludzkich, rozpacz dokazującą owych cudów waleczności, co to już przechodzą miarę ludzkiej siły; a pomimo to wszystko, zwycięstwo nierozstrzygnięte, niepewne i natarczywość jednakową ze stron obu, jak gdyby te zastępy herkulesowych sił swoich nigdy wyczerpać nie miały.

Jednakże w miarę jak słońce zniżało się na niebie, zaczynało słabnąć męztwo Afrykanów, a naodwrot potęgowała się dzielność Europejczyków. Wtenczas kiedy już dzień miał się ku schyłkowi, oba skrzydła, prawe i lewe, chrześcijańskiego wojska, które dwukrotnie rozgromione, podwakroć zdołały się nanowo sformować i odzyskać stracone stanowisko, zwijając się ku sobie z nadzwyczajną odwagą, prawie dokoła objęły Afrykanów, straszną w nich rzeź sprawiły, pokonały ostatecznie i kiedy słońce na zachodzie stanęło, ostatecznie niedobitki pierzchały w największym popłochu i nieładzie, a cała chrześcijańska armia zabrzmiała hymnem zwycięstwa. Inteligencya odniosła górę nad siłą, rozum nad instynktem.

Gdy noc zapadła, miesiąc oświecił obraz pełen niedoli i smutku, a swoim żółtawym światłem, jakby łuną od pochodni, nadawał przedmiotom barwę bladawą, fantastyczną, posępną, żałobną. Niebo pogodne, bezchmurne; dzień mógłby pozazdrościć jasności księżycowi,

przy której gwiazdy pogasty, a łagodne jego promienie na to zdaje się tylko przeznaczone, aby swym uroczym i smętnym blaskiem przyświecać scenom miłosnym, odbijają się w żeleźcach pokruszonych kopii, w bladych źrenicach mnóstwa konających, rozrzuconych po tój wklęsłej ziemi, pokrytej żałobą, krwią przesiąkniętą.

A na widnokregu ostatecznych krańcach, jak daleko ludzki wzrok zasięgnie, pojawiają się olbrzymie cienie, to rosną, to znów maleją, jakby senne mary. To syny pustyni odbiegają siedzib swoich, ulubione rzucają koczoiska i uciekają jak gdyby ich przekleństwo ścigało, a echo ich żałosnych skarg i wyrzekań rozlega się po bezludném pustkowiu. Patrząc jak w oczach nikną, myślałbyś że to rozgorączkowanej fantazy widziadła, lub upiory wywołane z olbrzymiej mogiły, albowi też ogromne ptaki stepowe odzywające się żałobnym krzykiem, czy wreszcie tych krain duch opiekuńczy, który w przestrachu uchodzi z miejsc kędy się pojawia geniusz cywilizacyi i chrześcijaństwa.

XXVIII.

Tak świetny tryumf drogo był okupionym. Tysiące poległych zścielało pobojowisko. Wielka ta niedola rozciągała się aż do samego obozu zwycięzców. Ze wszech stron słyszcć się dawały jęki, skargi wywołane boleścią. Na wszystkie strony gdzie oczy zwrócić, można było widzieć rannych krwią własną zboczonych lub trupów jeszcze ciepłych, jak gdyby w nich tlały ostatnie iskierki życia.

Teraz już się skończyła służba żołnierza, a rozpoczynała się naprawdę służba Siostry miłosierdzia. Aniela tak strapiona i słabnąca jak ją widziano przez ciąg trwania zaciętych bojów, od chwili gdy potrzeba było złe naprawiać, opatrywać rany, lzy osuszać, zajaśniała na twarzy i w oczach słodką acz smętną pogardą. Oh! bo kobieta nie posiadając męstwa do walki, ma je w sobie bardzo wielkie do stłoznienia cierpień, co zresztą jaknajbardziej odpowiada wielkim i pięknym przeznaczeniom, do jakich Przedwieczny ją powołał. I ztąd to wynika, iż widzimy ją, jak przy świetle księżyca rzucającego łagodne promienie na całe pobojowisko, idzie od jednych do drugich, opatruje rannych, zbiera zabitych, cuci siły omdlałych, iście anioł z nieba zesłany by przynieść życie tam, gdzie śmierć tak groźnie panowanie swoje rozpostarła.

Przy pomocy Sióstr zakonnych Aniela prawdziwie cudów dokonywała. Lecz tak wielka była mnogość rannych, iż sił nie starczyło na zaradzenie wszystkiemu, na przebieżenie całej przestrzeni, na której znajdowały się rozproszone te zastępy nieszczęśliwych.

Aniela z niewypowiedzianym niepokojem chodziła po pobojowisku. Nic nie wiedziała co się stało z Edwardem, czy był żywy, czy zabity lub ranny. Doszły były do nię wiadomości, iż ów mężny oficer, który wydarł sztandar z rąk afrykańskiego wroga, ów Włoch waleczny omdlał był, więćć skutkiem silnych wrażeń aniżeli od bólu z ran odniesio-

nych, lecz że niebawem odzyskawszy przytomność, wrócił znów do boju i niesłychanych dokazywał cudów waleczności. Później dopytywała się znów o niego, lecz nikt nie mógł ją w tym względzie objaśnić.

Zajęta była najmocniej tą myślą, gdy naraz ujrzała kupę ciał leżących i głuchy jęk usłyszała. Natychmiast zwróciła się ku miejscu z kąd ten głos się odezwał, i jak w osłupieniu stanęła patrząc na te martwe napozór ciała.

Wtém nowy jęk głośniejszy i bardziej bolesny aniżeli poprzedni doszedł do jęj ucha. Wtenczas i Aniela podbiegła do żołnierza leżącego o kilka kroków opodal, a którego była pominęła sądząc go już nieżywym i krzyknęła:

— Ach! tu jest jeszcze życie, tak, jeszcze...

Z pośpiechem pochyliła się nad ciałem z którego jęk ten wychodził, rękę na sercu jego położyła i znów zawołała:

— O! tak, ten żyje, żyje!

Nagle oczy jęj padły na twarz poległego, oświeconą promieniem księżycy i w téjże samej chwili odskoczyła z przerażeniem. O! bo to był Edward, on-sam, Edward ranami okryty, porzucony w téj pustce, prawie bez tchu, bez życia; Edward, jęj ukochany, na wieki drogi jęj sercul...

W téj chwili kobieta zapanowała nad Siostrą miłosierdzia, uczucie miłości nad litością. Aniela patrząc na tę twarz bladą, na te błędne oczy, na to ciało prawie zesztyniałe, uczuła znów w sercu tę miłość nieograniczoną która nigdy nie wygasta, jak gdyby była duszą jęj duszy; tę miłość która z wiejskiego dziewczęcia uczyniła ją artystką, a z artystki Siostrą miłosierdzia.

W chwilach kiedy Edwarda szczęśliwym widziała, Aniela prawie przepominała o swojej miłości. Uczucie to tak ją przepełniające wylewało się na ludzkość; lecz ilekroć ujrzała Edwarda w niedoli, wtenczas przypominała sobie iż on najpierwsze uczucie wzbudził w jęj duszy, najpierwszą miłość w jęj sercu. Wtenczas myśl jęj tak nieskończenie szeroko zasięgająca skupiała się na jeden punkt, przypomnienie téj miłości, i serce tak wylane dla świata zwracało się na jeden przedmiot, na Edwarda. W swoim stanie, obok swoich ślubów, przy swoim świętém powołaniu, mogła mieć w sercu tę miłość wielką, nieskończoną, albowiem w uczuciu tém nie mieściło się nic coby nie było duchowém, boskiém.

Ogień boleści oczyścił jęj duszę. Wszelka skazitelność materyi stopiła się w probierzu nieszczęść. Ciało téj niejako przeobstwonój istoty, było niby lekką gazą przesłaniającą jęj duszę, aby ją uczynić widzialną dla oczu śmiertelnych. Zdawało się być cudowném wcieleniem owego ideału o którym wszyscy marzymy, a którego urzeczywistnienia na ziemi nigdy nie oglądamy, owego ideału miłości i szczęścia, za którym gonimy aż do samego grobu. A jęj miłość, oh! miłość jęj była jak ta siła atrakcyi, która utrzymuje gwiazdę na niebieskim stropie, jak śpiew w ptaku, jak niewinność w dziecięciu, jak modlitwa

w duszy: była ona posłanniczką pomiędzy Bogiem a nią, pomiędzy jej sercem a nieskończonością. O! wy, którzyście zanurzeni w łonie materji, nie znając innego Boga jak złoto, innego uczucia jak zwierzęcy instykt zmysłów, nędzne istoty, nie wierzycie że tu, w mózgu człowieczym, większe jest niebo aniżeli to sklepienie co się nad naszemi roztacza głowy i gasicie ducha, to tchnienie Boże, to światło żywota; wyście zaprawdę godni politowania, albowiem nierównie więcej mieści się rozkoszy w boleści sprawionej przez czyste i niebiańskie duszy wrżenia, aniżeli we wszystkich grubych uciechach zmysłowych, czczych, przemijających, po których pozostaje tylko zamglenie w umyśle, przesyty i niesmak w sercu.

Lecz powróćmy do wątku naszój opowieści. Aniela stanęła zrazu zmieszana, jakgdyby ją opuściła przytomność umysłu. Oczy jej łzami zabiegły, serce silnie kołatało w piersi. Przez jakiś czas wątpiła czy to jest Edward: są bowiem prawdy, albo tak smutne lub tak miłe, iż z niemi oswoić się nie może ani rozum ani serce.

W końcu jednakże wyszła z tego osłupienia i z największym pospiechem wzięła się do ratowania Edwarda. Był on ciężko rannym w piersi i w ramię. Z obu tych ran krew się sączyła, krew drogocenna, którąby Aniela chciała utamować kosztem życia własnego. To była jej myśl najpierwsza.

Przy staranném opatrywaniu ran i trzeźwieniu, Edward zaczął się powoli ożywiać. Oddech stawał się coraz lżejszym, serce swobodniej uderzało. Biedak ten zawdzięczał życie Anieli. Zaliczony już do trupów, nie dawał bowiem najmniejszego znaku życia, gdyby tę noc był przepędził na polu w chłodzie, byłby tam niezawodnie wyzionął ducha. Taksamo jak w lochu więziennym, również i na pobojowisku ocalała go Aniela, ten ideał, który on umorzył w swój myśli, to czyste uczucie, które tak bez litości wygnał z swego serca.

Jakież to prawdziwy obraz naszego życia! Odpychamy od siebie cnotę, zwykle nią gardzimy, wydaje nam się nieznośną; a kiedy się znajdziemy w ciężkiej życia przygodzie, ta wzgardzona cnota nas wybawia, ta cnota odepchnięta nas pociesza i jedynie cnota szczęście nam daje. Boć w istocie ze złego zło wypływa a z dobrego dobro: gdyż tak w sferze ducha jako i w naturze każde ziarno wydaje owoc tego samego gatunku. Jednakże zło nam się piękném wydaje pomimo swój odrażającej brzydoty, a dobro szpetném, acz mieści w sobie wszalakie piękno. Dla chwilowój miłostki zwykliśmy tracić miłość wiekiustą, dla naszój dzisiejszój osobistości wieczną indywidualność duszy, jej moc nieśmiertelną.

Otóż tak właśnie stało się z Edwardem. W osobie Anieli odtrącił od siebie wszelkie dobro, wszelkie piękno; wszelką chwałę życia, a owe dobro, owe piękno, owa chwała, któremi wzgardził, w jego ostatniej godzinie kiedy już żadna nie pozostawała mu nadzieja, kiedy otchłań wieczności otwierała się pod jego stopami, wtenczas ta cnota tkliwie doń się uśmiechając, swój czysty balsam zlewa na jego rany,

swoje niebiańskie tchnienie na niewdzięcznika który ją zapoznał, który jój wartości nie umiał ocenić.

W istocie heroiczne usiłowania Anieli odniosły pożądany skutek. Edward niebawem otworzył oczy i wyrzekł:

— Gdzież jestem?

— Ocalony!—zawołała Aniela.

— Cóż to za głos niebiański obja mi się o uszy?

Aniela płakała.

— Ach! to widzenie przedśmiertne!... Niebiańskie zjawisko, witam cię!

— To ja, Edwardzie, to ja.

— Tak, ty, ty, moja myśl nieodstępna, która się ubrała w ciało aby mię pocieszyć.

— Czyż mię nie poznajesz?

— O, poznaję, poznaję... prędejbym zapomniał samego siebie.

— Ja jestem Aniela.

— Ty jesteś tém uczuciem które tkwi tu w mojem sercu, a w mojem marzeniu wydajesz mi się postacią rzeczywistą, prawdziwą.

— I jestem nią.

— Nie, nie... nie jesteś... ty jesteś błogim snem mojej duszy.

— Patrz, widzisz we mnie rzeczywistość.

— Rzeczywistość to ból, krew, rany...

— Już wszystko to minęło.

— Tak, przeminęło jak sen.

— Teraz przychodzisz do siebie.

— Nie... teraz umieram... chcę być umierającym.

— Czemu chcesz?

— Bo osłabienie, ból, konanie, wytwarza mi w świecie urojeń ubóstwianą postać Anieli, ten obraz który mam w sercu, o którym dusza moja marzy, to wspomnienie pełne dla mnie uroku, wspomnienie błogie, zbawcze, boskie... ale to jest przywidzenie, bo jój nie ma, ona nie istnieje... ale mnie się zdaje prawdziwą i patrzę na nią...

— Ach! on mówi bezprzytomnie!... to gorączkowy obłąd!

— Oh! piękny, niebiański obłądzie, tyś mi życiem, tyś miłością!... o chwilo konania! przeciągaj się do nieskończoności!...

— Uspokój się, my cię ulecymy.

— Uleczyć mię! Nie, nie... gdyby mię wyleczono, przestałbym oglądać Aniele... jużbym jój nie widział... Skoro mię wyleczą, skończy się ta gorączka która mi sprowadza marzenia o niej... ta gorączka która ją przybiera w ciało, mami pozorem rzeczywistości... o! niech ten miły stan trwa długo, długo...

Mówiąc to Edward nie odwracał oczu od Anieli.

— Tak bardzo ją kochałeś?—wyrzekła z boleścią.

— O! widzisz, dla niej mituję to konanie, dla niej śmierci szukałem...

— Śmierci!

— Tak... bo ja ją zabiłem... Nieprawdaż, mój ty śnie luby, że ja ją zabiłem? Ach! z ust twoich powiało na mnie, lżej mi oddychać... księżycowe światło odbija się we łzach twoich; jak ci z tém pięknie, jak cudownie... O! niech dla mego szczęścia jaknajdłużej trwa to kowanie. Niech nie znika mi z przed oczu ta złuda, ta zmyślona postać...

— Edwardzie!

— Wołasz mnie?

— Tak, wołam.

— Ach! ileż razy, o mój ty śnie ukochany, ta którą ty mi przedstawiasz, prawdziwa Aniela, musiała żałośnie na mnie wołać błędząc po morskiem pobrzeżu!... ile razy!... a ja w dzikiem szaleństwie zabiłem ją!...

— Ależ nie, nie, ona żyje!

— Ha! żyć bez szczęścia...

— Owszem; ona szczęśliwa, bo jój daném jest ciebie wybawić od śmierci.

— Al! prawda... prawda, teraz sobie przypominam.

— Co sobie przypominasz?

— Owę noc... ach! straszna noc...

— Co mówisz?

— Jaka trwoga, rozpacz... okropność...

— Ach! znów mu się coś marzy!

— Więzienie jak grób ciemne, duszne...

— Przestań, przestań!

— Kat stanął przedemną w ciemnościach...

— O! mój Boże! Edwardzie, dość tego...

— Miałem śmierć ponieść... bo i ja... ja zabiłem człowieka...

— Nie, nie zabiłeś.

— Chciałem zabić. Przestępstwo leży w zamiarach... powinienem był zostać straconym... i dlatego kat był już tam...

— Do czego te przypomnienia!

— Już noc wieczysta zapadała nademną...

— Edwardzie!

— Miałem umierać, a wtém ona się zjawiła... taka piękna jak światło jutrzeńki... dzisiejsze złudzenie... dawniej moje ukochanie, a zawsze moja opatrność.

— Odsuń od siebie te myśli! ty tak cierpisz!

— Te myśli w chwilach śmierci są całém mojem życiem. Bóg zażąda odemnie z nich rachunku. Powie mi: ja ci od siebie z nieba posłałem anioła; coś ty nieszczęsny uczynił z tym aniołem? Gdzie on jest, gdzie?

— Uspokój w sobie te uniesienia! Bóg w nieprzebraném miłosierdziu swoim ma wyrozumienie dla ludzkich słabości i wybacza im.

— O! moja słabość tak była wielką, że nie da się uniewinnić.

— Bóg przebacza nawet zbrodni.

— Ale nie zbrodnię tak potworną, żeby z anioła zedrzyć koronę,

poobrywać mu skrzydła, napoić go zółcią i piołunem, pogrzebać go w wiecznej niedoli w zamian za otrzymane szczęście.

— Ja wiem, że sercu rozkazywać nie można.

— Moja zbrodnia była tém większą. Ja kochałem ją całym sercem. W życiu mojem była ona jakby gwiazdą.

— Kochałeś ją, Edwardzie... lecz o niej zapomniałeś.

— Ha! szał mię porwał i stałem się niewolnikiem tego szału. Zmysły zabiły rozum, ciało zaćmiło do szczytu ducha. Stałem się niewolnikiem zmysłów...

— Edwardzie, trzeba myśleć o leczeniu się.

— Nie, nie... daj mi umrzeć. Ja śmierci szukałem i już ją mam. Chodź śmierci, chodź w moje objęcia. W bojowym zgiełku wzywałem cię na pomoc. Kiedy najpierwszą ucułem ranę, uniosłem się radością jakby kochanek dotknął pierwszy raz ust swojej lubiej.

— O! nieszczęście!

— Bo ja nie mogę, nie powinienem żyć. Dusza moja jest jak ten krzew jadowity, który śmierć zadaje każdemu co przyjdzie chronić się pod jego cieniem. Niechże więc umrę.

— Oh, nie! żyj, żyj!

— Dla kogo?

— Żyj dla siebie.

— Ten co tylko dla siebie samego potrzebny, to stworzenie bezpożyteczne.

— Żyj dla Boga.

— O! Bogu lepić się służy po śmierci, tam, po wyzwoleniu się z tego więzienia, z tych kajdan.

— Żyj dla twojej żony, dla Margarity.

— Cóżes wyrzekła? Z jakim to odzywasz się słowem? Chcesz mię dobić... Ty, ukochany cieniu, wywołujesz złego ducha... Moja żona zasztyletowana... Nieślawo!... Śmierć... Niegodno!... przez ciebie... przez ciebie...

Edward który wśród gorączkowych marzeń zachował był dotąd dziwny rodzaj intuicyi i jasności pojęcia, odszedł zupełnie od przytomności i zaczął bredzić w malignie; lecz myśl jego błąkała się zawsze w jedném kole wyobrażeń.

— Widzę górę najeżoną cierniami. Anioł zstępuje z nieba, nie sie dla mnie w dłoni kwiat rajski i gwiazdę. Na ustach ma uśmiech niebiańskiej szczęśliwości. Pójdź, pójdź za mną, ja cię zaprowadzę do nieba, do Boga... A ja go porzuciłem... dla pocałunku, dla chwili marniej rozkoszy jaką mi obiecywał obrzydliwy kościotrup ciałem oblezony, pogrążyłem się w pieczarę okropną, czarną, która mię strachem mrozi, która mię zabija... biada mi! biada!... Lepiej żebym się nie był urodził!... Żegnaj cię życie... Żegnaj cię świecie. O! zgromiła mię przejmujesz!... Cały świat cuchnie jak trup zczerniały i zgniły.

— O, biedny Edward!

— Ja tam w głębi tej pieczary wyszukam kościotrupa, który mię

uwiodł, który mię oddalił od nieba... bo myślałem, że on piękny... biada mi! cóż uczyniłem? To kupa czarnych i spróchniałych kości... cha, cha, cha!

Śmiech okropny, szydery, wstrząsał całym jego ciałem.

— A ja od tych kości żądałem i spodziewałem się życia... Niestety! one mi dały tylko jakąś zgniliznę dziwną, straszną, bladą, fosforyczną, która mi brukała ręce i źrenice moje sinym blaskiem olśniewała... a kiedy ręce o mur obcierałem chcąc się pozbyć tego blasku, wypisywały się na nim te tylko słowa: przekleństwo! przekleństwo!

Aniela ukryła twarz w dłoniach i gorzkimi zalewała się łzami.

— A kiedy chciałem uciekać, te kości szkieletu gonily za mną jak sępy za trupem. Uciekałem, uciekałem... ale chrzęst tych kości na ziemi przejmował mię zimnem, zgrozą, strachem... ach! to niby brzęk kajdan, jakby mara, jakby żywe uosobienie wyrzutów mego sumienia.

— Edwardzie, Edwardzie! upamiętaj się, uspokój!

— Wyrzuty sumienia... Ty nie wiesz, obrazie mojej ukochanej! ty nie wiesz co to jest wyrzut sumienia. Daj Boże abyś się nigdy nie dowiedziała!... To gadzina co się wpija we wnętrzości i gryzie straszliwie raz poraz a nie zabija.

— Nie myśl o tém.

— Gdyby wyrzut sumienia zabijał, tobym ja nie potrzebował iść na pole bitwy aby tam szukać śmierci...

— Nie mów o śmierci, jesteś tak młody!

— Otóż pewnego dnia ujrzałem ten szkielet, okryty ciałem, osłonięty błękitną gazą, uwieńczony kwiatami, z pomalowaną twarzą, z błyszczącymi oczyma i powiedział mi: „będziesz moim mężem.” Ja go usłuchałem, gdyż byłem jego niewolnikiem, i wszędzie za nim szedłem, i oddałem mu moją duszę, a szkielet chciał mię pożreć i zabrać mi niebo, światło, powietrze życie, przerabiając mię na to samo czém on był; zrobił się więc zemnie trup chodzący, liść zeschnięty, trujący cień, nie... tak, nie... śmierć w całej okropności, występki w całej swój szkaradzie...

— O, nieszczęsna dolo!—wykrzyknęła Aniela.

— O! tak, nieszczęsna!... Wicher wydarł mi kwiat moich złudzeń, zagasił płomień mego serca, zdławił mi w gardle hymn niebieski, nadzieję lepszego żywota, powlókł mię po ziemi jak suchą gałąź, zaniósł do przepaści i w tej przepaści jestem zawieszony jako obrzydliwa pajęczyna i zabrudzam ziemię, z kąd Bóg musi mię zabrać, aby przynajmniej z plugastwa oczyścić swoje precudowne dzieło.

— Edwardzie, a skrucha, a za!...

— A! Ja już w nic nie wierzyłem po takim życiu tak nędznym... a kiedyś miałem taką wiarę!.. Miłość moja ku Bogu zagasta tak, jak rozżarzony węgiel kiedy wpadnie w wodę. Miłość bliźniego rozwiąta się jak dym. Moje żarliwe zabiegi o wolność ludów, o świętą sprawę narodowości, także się skończyły. Już nie kochałem ani ludzkości, ani ojczyzny. Stałem się jakby machiną. I za to, za to... będę

tam... będę przeklętym!... Przeklnij mię, o mój Boże! niech wiekuistą, nieskończoną męką odpokutuję za ogrom mojej ohydnej zbrodni... tak Boże, sędzio sprawiedliwy, tak...

Wielkie wysilenie, jakie Edward czynił, tak bezwiednie, mówiąc przy swoim osłabieniu, to wszystko, co wypowiedział, znużyło go do tego stopnia, iż po tych ostatnich słowach został jakby omdlały, a raczej jakby martwy.

Aniela z tą bohaterską rezygnacją, która była główną zaletą pomiędzy wszystkimi jej zaletami, dokładała starań, aby w nim ożywić gasnące siły. Nie życzyła sobie, aby w tym stanie gorączkowego rozmarzenia został przeniesionym do swego namiotu, w obawie, że się wyda ze swojemi dla niej uczuciami i że złośliwość ludzka mogłaby sobie na złe tłómaczyć jej poświęcenie i jej heroizm. Lecz widząc się samą jedną z rannym tak niebezpiecznie, jak nim był Edward, odłożyła na bok wszelkie tego rodzaju obawy i postanowiła wołać o ratunek.

Jakoż ujrzała w dali jakby procesyę, oświeconą pochodniami. Przeszło pięćdziesiąt światła taką jasność w okół rozsiewało, że nawet zdaleka równało się promienistym blaskom księżyca w pełni.

Co się tyczy ludzi postępujących tak procesjonalnie, ci wszyscy bez wyjątku byli smutni. Rzekłbyś, że zwycięstwo zostało przy nieprzyjacielu. Orszak ten, w którym widać było najpierwsze znakomitości z chrześcijańskiego wojska, szedł szukać mężnego Włocha, co chrześcijańską chorągiew odebrał nieprzyjacielowi, ocalając tém samém honor tej wyborowej armii. Więść rozbiegła się po obozie i powszechną znalazła wiadomość, iż dzielny oficer poległ wpośród zabiegów o chwastę i tryumf swojego oddziału. Na wszystkich smutne wrażenie wywarł ten zgon przedczesny i poszli w tym zamiarze, aby odszukać jego zwłoki, uczcić je pogrzebem i oddać honory należne dowiedzionemu bohaterstwu. Towarzysze broni w dwójnasób dotknięci zostali tą stratą, która im miłego sercu wydarła przyjaciela, wojsko zaś pozbawiła walecznego żołnierza.

Idąc, można powiedzieć na los szczęścia, usłyszeli głos na nich wołający, a zwróciwszy w tę stronę swoje kroki, znaleźli Edwarda nie dającego znaku życia i Aniela klęczącą przy nim, z dłonią opartą na piersiach tego, który się wydawał martwym trupem.

— Panowie, panowie—mówiła widząc ich już blisko—pomóście, proszę, zanieść tego rannego do obozu.

— My tu szukamy—odrzekł któryś z nich—zwłok tego kapitana Włocha, który naszą chorągiew wydarł z rąk nieprzyjaciela.

— Otóż to właśnie on sam, tylko że nie zwłoki jego, ale żywy.

— Żywy?—pytali zdziwieni.

— Tak jest. Opatrzyłam jego rany i chociaż są one głębokie i niebezpieczne, jednakże nie tracę nadziei, że może być uleczonym.

— O, dzięki Bogu!—zawołali wszyscy jednogłośnie—może go zdołamy zachować przy życiu.

Lekarz znajdujący się w towarzystwie, które szukało zwłok Edwarda, wzięwszy rannego za puls, rzekł:

— Macie słuszną, Siostrze, jeszcze żyje.

— I może żyć będzie, może wyzdrowieje?

— Nie wiem, jakie ma rany.

— O ile ja się znam na tém—odrzekła Aniela—jedna tylko dosyć głęboka, którą ma w piersi, może obudzać niejaki obawy.

— O Boże! gdyby można było go uratować, jakżebyśmy się cieszyli!—mówił jeden wojskowy, przyjaciel Edwarda.

— Tak mężnie walczył pod naszymi sztandarami!—dodali inni.

Lekarz nachylił się dla obejrzenia rany w piersi, lecz Aniela powstrzymała go, mówiąc:

— Zważ, doktorze, iż już bardzo późna pora. Noc zaczyna być chłodną pomimo wielkiego upału, jakiego dziś doświadczyliśmy. A to może bardzo zaszkodzić rannemu.

— W samą rzecz, lepiej będzie zabrać go ztąd.

Zaraz żołnierze podnieśli go i położyli na noszach.

— Ponieważ wam, Siostrze, trafiło się szczęśliwie odnaleźć tego Włocha i ze względu, iż jego leczenie wymaga szczególniejszej pieczołowitości, przeto wy go będziecie mieli pod swoją wyłączną opieką.

— Dobrze, panie doktorze—odrzekła Aniela.—Lecz starania około niego nie mogą mi przeszkadzać w pielęgnowaniu innych, którzy zarówno mnie potrzebują: gdyż życie wszystkich ludzi powinno jednakową mieć cenę w naszych oczach.

— Uczynicie, Siostrze, jak wam się będzie zdawało—odrzekł lekarz.

— No, a teraz odprowadźmy go do jego namiotu, abyś pan mógł copędzej opatrzyć jego rany.

Przez drogę lekarz wypytywał Anielę, jak znalazła rannego i co w nim zauważyła.

— Jęknął i to mię sprowadziło do miejsca, gdzie leżał.

— Czy miał wtenczas zupełną przytomność?

— Nie.

— To źle.

— Widać, że mu utkwiła w pamięci jedna myśl i wszystko, co mówił, było w najściślejszym związku z tą myślą—odrzekła Aniela—lecz w błędnem spojrzeniu, w mowie przerywaną, znać było gorączkowe majaczenie.

— Jakiegoż to rodzaju ta myśl, którą ma nabitą głowę?

— Wielka namiętność.

— Sława? ambicya?

— O, nie.

— Może miłość?

— Tak.

— To źle—mówił lekarz.

— Czyż i to ma mieć wpływ na jego uzdrowienie?

— Właśnie to może mieć bardzo wielki wpływ.
 — Ależ to mężczyzna zdrow, silny...
 — Jednakże znać było po nim jakiś smutek, znękanie.
 — A! ja mam nadzieję w Bogu, że go pan ulecysz.
 — No, i ja nadziei nie tracę.
 — Choćby już tylko dla jego biednej żony—wyrzekła Aniela smutnie.

— To on ma żonę?

— Ma.

— I dzieci?

— Nie, dzieci nie ma.

— Siostra go znasz?

— Jestem rodem z Włoch, tak samo jak on.

— A prawda. W samą rzecz, potrzeba koniecznie starać się go uzdrowić, a głównie dlatego, że taki tegi z niego wojak.

Daléj idąc, rozpytywał się jeszcze lekarz o wszelkie szczegóły stanu rannego, aż doszli do namiotu, gdzie Edward miał być opatrywany i leczonym przy pomocy Anieli.

XXIX.

Bezwłocznie przystąpiono do jak najspieszniejszego opatrzenia Edwarda. Rany jego były głębokie i lekarze mało robili nadziei zachowania go przy życiu. Oddech ciężki i chrapliwy, gorączka w najwyższym stopniu, gwałtowne pulsacye w sercu, majaczenie ciągłe, bez przerwy: oto jaki był stan tego wojownika, który na polach bitwy nie sławy szukał, lecz śmierci.

Lekarze uznali za rzecz konieczną, ażeby Aniela ani na chwilę nie odstępowała od łóżka chorego, ufając najwięcej jéj staranności w tak ciężkim razie. Ją niewymownie bolało położenie jedynego człowieka, jakiego ukochała na ziemi; lecz o ile było w jéj mocy, taita się ze swym zalem. Usiłowała i do pewnego stopnia potrafiła nie dać tego poznać, iż tu, na łożu boleści, prawie dogorywa nietylko jéj bliźni, lecz jéj najdroższy. Miłość Anieli przytłumiona, gdy Edward był w pomyślności, wzrastała teraz do niepojętych rozmiarów. Widziéć go rannym, bezsilnym, blizkim śmierci i nieszczęśliwym i nie kochać go, było to rzeczą niemożliwą dla tego serca, uposażonego z przyrodzenia w skarby cnót naidealniejszych.

Lecz ponieważ miłość ta nie mogła mieć żadnej już nadziei tu na ziemi, dlatego chroniła się do swego naturalnego siedliska w niebie. Miasto być jedną z tych namiętności, co to wzburzają zmysły i serce niepokoją, była przeczystem uczuciem niebiańskim; była jakby w jéj duszy duszą, jakby jéj życia skrytym pierwiastkiem.

Pozostawszy w obozowym namiocie sama z chorym, Aniela przybliżyła światło do jego łóżka i stanęła przy niém. Zdawało się, jakoby spał. Silna gorączka zarumieniła lekko jego policzki. Na czole

miał pogodę, jak gdyby myśl jego, spracowana przez długie chwile, odpoczywała w spokoju. Oddychał bardzo źle; jednakże znać było, iż to dyszenie, aczkolwiek dowodziło wielkiego bólu fizycznego, bynajmniej nie męczyło jego serca, które zdawało się spokojne, a przynajmniej dotknięte tylko materyalnem cierpieniem, które nie dosięga ducha.

Stojąc przy łóżku Edwarda, zrozumiała Aniela, co znaczy ta sprzeczność pomiędzy cierpieniem ciała a pogodą duszy i z boleścią mówiła w myśli:

— Znalazłeś to, czego szukałeś: śmierć. Nie mogłeś znieść walk twego serca i poszedłeś szukać innej walki, straszniejszej. Nieszczęsny! Do ran duszy przydałeś rany ciała. Lecz ten chrzest boleści odradza cię: on cię zbawia. Przez żal i skrucę stałeś się męczennikiem. Zawiniłeś względem siebie, zawiniłeś względem mnie; namiętność powiodła cię do upadku; lecz prosisz Boga o wielką boleść, o wielką karę i to otrzymałeś. Zdaje mi się, że z tych okropnych ran otwartych widzę wychodzącą niby woń nieśmiertelną, twoją duszę ugodnioną, tak, już godną mojej miłości... Miłości! czy mi w gorączce ta myśl się jawi? Mnie jednego człowieka kochać nie wolno; ja powinnam kochać całą ludzkość. Nie dla mojego serca stworzone to uczucie lubie i słodkie, które cały żywot przywiązuje do jednej istoty. To uczucie musi zamrzeć w tej duszy rozdartej i smutnej. Nie, nie stawajcie mi przed oczy, wy dni tak błogie, w których mój świat kończył się tam, gdzie się kończył mój horyzont, kiedy moja myśl i moje wspomnienia wciąż goniły za drogim mi Edwardem. Te dni powinny zniknąć z mojej pamięci, jak gdyby były przekleństwem. Tak, precz, precz odemnie miłe wspomnienia, uciszcie się uczucia serca. Teraz powinnam tylko myśleć o tém, aby go uratować, aby śmierci wydrzeć tę pastwę. Lecz gdy go uratuję, on nie powinien myśleć o mnie; powinien przypomnieć sobie, że na świecie ma żonę; a ja go mam powrócić jego rodzinie, jego ojczyźnie... Żona!.. ach! serce mi pęka. Czuję, że nie mam dość siły na tak ciężką próbę. Ja, ja, która go tak kochałam, która nie umiałam żyć bez niego, która nie znałam innej myśli, jak o Edwardzie, bez Edwarda nie dbałam o życie, ja mam go oddać innej! nie, nie, tego nie przeżyję! Ale kimże ja jestem? Czyż zapominam, kim jestem? Ja jestem Siostrą miłosierdzia, poślubioną Bogu. Ja nie należę do siebie, należę do biednych, do chorych... Lecz choćbym nawet miała wielkie serce, czyż mogę panować nad tą miłością, która z jego głębi podnosi się jak burza? Panie, Twojej potrzebuję pomocy! Twojej siły mi potrzeba, o Boże!... Odejdę od niego. Tak, najlepiej uciec ztąd. Nie ufam sobie. Nie będę mogła ukryć przed nim, że go kocham, że tu w mojem sercu on jest zawsze, że w niem na wieki pozostanie i poza światy go poniosę... Alboż to miłość ma być zbrodnią? To uczucie, które Bóg wlał we wszystkie twory natury, ten pociąg, który wszystko ożywia, zaczawszy od kwiatu aż do gwiazdy, tylko w tém jednem sercu ma być czémś ztém i zgubnóm? Dlaczegoż kiedy przychodził tam do me-

go zdroju, wtenczas ta miłość była cnotą, a dziś, ach! dziś jest zbrodnią?... O, Boże! Tak, jest zbrodnią; to uczucie, które powinno być stłumioném na samém dnie myśli, to wąż, który się ukrywa w kielichu mojej duszy, to trucizna, która po kropelce ścieka w krew mego serca. Pomiędzy mną a tym człowiekiem przegrodą stoi przysięga miłości, którą on ślubował innej kobiécie i przysięga miłości, którą ja ślubowałam Bogu i całej ludzkości. Człowiek ten powinien razem ze swoją żoną żyć tu na ziemi, razem z nią iść do nieba. Węzła, który ich łączy, nic rozerwać nie może, ani nawet śmierć. Jedno należy do drugiego na wieki. Ja stając im na drodze, kochając go szaloną miłością, jestem jakby cień na lazurze nieba, jak zły duch wśród chóru aniołów. Nie, nie, ja pokonam moje serce w tój nowój próbie; tak, muszę je przewyciężyć... Biédna istoto! kochałaś tak, jak nikt nie kocha na świecie, wszystkie twoje marzenia, nadzieje, wszystkie uczucia poświęciłaś jednemu, żyłaś jego życiem, jego sercem czułaś, myślałaś jego myślą i kiedy ci się zdawało, że już szczęście masz w ręku, kiedy najbardziej sądziłaś się kochaną, on cię odstąpił, znikł ci z przed oczu, zostawiając w tobie miłość okropną, bo miłość nieszcześliwą, bez dzieci... Al ta miłość musi być stłumioną, musi być pokonaną, choćbym to życiem przyplacił miała. Ty, Edwardzie, ty będziesz żył z swoją żoną. Ja cię z łoża śmierci podźwignę i wrócę cię w domowe progi. Wydrę cię z grobu, aby cię oddać w objęcia żony, jedynój kobiety, jaką powinienes kochać na świecie. Milcz, milcz, serce moje! Niech tylko powinność głos podnosi. A gdyby dla spełnienia powinności śmierć ponieść trzeba było i owszem, niech umrę, a Bóg który ludzkie sądzi sumienia, zobaczy mojej duszy nieskażoną czystość.

Po długiej z sobą walce, Aniela otarła z łez powieki. Promień pogodnego światła błysnął na jój czole, słodki uśmiech na ustach. Bo walka ta ciemną pomroką zasępiała tę duszę tak czystą. Aniela przy smutku nieodłącznym od miłości bez nadziei, nie wyobrażała sobie jednak, aby to uczucie w danych chwilach tak nadzwyczajną miało moc i siłę. Była to ciężka zawada, którą napotykała na swojej drodze, lecz tę zawadę obiecywała sobie pokonać z świętą niebios pomocą.

Najprzód tedy uporządkowała wszystkie leki, przyrzadziła napoje, przygotowała wszystko, co mogło być potrzebném dla chorego. Następnie usiadła przy łóżku i śledząc wzrokiem każdy ruch rannego, każde tchnienie, przepędziła tak resztę nocy. Zdawało się jój, że usta jego skurezone od bólu, często wymawiały jedno imię i że imię to było „Aniela, Aniela.” To zwiększało jój uczucie dla nieszczęsnego młodzieńca i podniecało ją do wytrwania z tém większą usilnością w trudnej walce pomiędzy miłością a obowiązkiem.

Za zbliżaniem się dnia, u Edwarda wzmagała się gorączka. Oczy obłąkane na wierzch wychodziły, wargi drgały konwulsyjnie, czoło pętało, jak gdyby wewnątrz czaszki znajdował się pożar. Gorączkowe marzenia nie ustępowały ani na chwilę, owszem, tak się zwiększały, że tysiące wyrazów bez związku potokami z ust jego wybiegały. Pomimo,

że nie mówił nic w jednym ciągu; pomimo, że dwóch myśli nie dawało się powiązać i pogodzić z sobą, jednakże łatwo było poznać, że wyobrażenie tkwiące w jego umyśle, uczucie w jego sercu, myśl, która go dręczyła, myśl jedyna, była to Aniela.

W takim stanie zastał go jeden z lekarzy, który wszedłszy z rana, dowiadywał się najprzód z ust Anieli o wszelkich symptomatach, pojawiających się u chorego.

— W tym młodym człowieku—rzekł w końcu—jest choroba, na którą my nie mamy lekarstwa.

— Doprawdy?—mówiła Aniela z pozornym spokojem, choć w sobie zadrżała.

— Nie umorzą go rany ciała; ale on ma głębokie rany w duszy i te go mogą zabić.

— Tak pan sądzisz?

— Tak sądzę, takie mam silne przekonanie.

— Na czém je pan opierasz?

— Mogę to wnioskować z całego jego postępowania.

— Czy tak?

— Często na niego zwracałem uwagę. Jeszcze nim był rannym, w mowie jego znać było jakieś rozmarzenie, a waleczność, jakiej dawał dowody, zakrawała na szal gorączkowy.

— Co pan mówisz?

— Tak, młodzieńca tego musi trapić jakaś wielka namiętność, jakaś miłość bez nadziei.

— Ach!

— Oto najlepiej, niech Siostra posłucha, co on bredzi.

W istocie Edward mówił: „Ja cię kochałem. Pamiętam, żeś mi się wydawała kwiatem. Tyś anioł. Ach! a ja cię porzuciłem dla innój, tak, dla kobiety... porzuciłem... biada mi!...”

— A co? a co?—mówił lekarz.

Aniela zalała się łzami.

— Cóżto? Siostra płacze?

— Żal mi go niewymownie, widać jak nieszczęśliwy...

— To prawda, że godzien jest pożałowania.

— I niema nadziei zachowania go przy życiu?

— Nadzieja... jest, można wiele liczyć na młodość.

Lekarz zajął się pilnie chorym, badał stopień gorączki, żywość pulsu, ciężkość oddechu, kurcze muszkułów w twarzy, a nareszcie po długim namyśle wyrzekł:

— Al bardzo być może, iż z niego nic nie będzie.

Słyszając te wyrazy, Aniela drgnęła, jak gdyby grom padł u jej stóp.

— Te marzenia zgubią go!—zawołał lekarz, wyraźnie tracąc nadzieję.

Pomimo tych bezustannych marzeń, gorączka ustąpiła i stan Edwarda widocznie się polepszał. Do tak pomyślnego obrotu rzeczy nie-

mało się przyczyniła niezrównana pieczołowitość Anieli, gotowej zawsze do wszelkich poświęceń.

Lecz dla serca jój nie dosyć było wydrzczyć Edwarda ze szponów śmierci; ona chciała nadto przywrócić mu wszelkie warunki prawdziwego bytu, doprowadzić go do cnoty, do nieba. Skoro więc tylko zaczął wychodzić z obłędu, Aniela oddaliła się od łóżka chorego, ażeby jój nie poznał, i jakkolwiek było to dla niej bolesném, z rezygnacją poddała się téj konieczności; lękała się bowiem, ażeby jój obecność nie poburzyła na nowo w sercu Edwarda dawnych uczuć i wspomnień.

Niemniej wszakże jedyną jój myślą było zapewnienie szczęścia człowiekowi, którego kochała niepokalaną, nadziemską miłością. Za jedynie właściwe narzędzie do tego szczęścia uważała Margaritę, już odrodzoną przez żal i skrucę. Życie bez ideału jest jakby ciągłą śmiercią i dlatego Aniela w sercu Margarity chciała znaleźć nowy źródło życia dla Edwarda, nowe szczęście dla jego serca.

Z tą przeczornością, która jest jój płci wrodzonym przymiotem, Aniela tak wszystko urządziła, ażeby Margarity mogła stanąć przed Edwardem w chwili, kiedy silne wzruszenia już nie będą mogły szkodliwie nań oddziaływać. W istocie, dzięki troskliwym zabiegom Anieli, młoda kobieta przybyła potajemnie z Neapolu na miejsce, gdzie mąż jój walczył i był rannym.

Serce Margarity, wolne już zupełnie od owych wielkich i zjadliwych namiętności, które je kaziły i zatrwały, oczyszczało się boleścią i zarazem oczyszczało się nadzieją. Widząc, iż Bóg jój nie opuścił, iż z toni brudnego kału raczył ją podnieść ku niebu, że zesał jój tę właśnie, którą ona miała w nienawiści, aby ją wtajemniczyła w nieznaną jój cnot praktykę, Margarity uznając w tém wszystkiém sprawę Opatrzności, umiławszy piękno dobra, zrzuciła z siebie grubą powłokę dawniejszego swego bytu, dawniejszego trybu życia i oczyszczona podążała ku szlachetniejszemu istnieniu, a na czole jój zabłysnął promień ideału.

Lecz chcąc połączyć Margaritę z jój małżonkiem, potrzeba było przygotować do tego serce Edwarda, to serce jak wosk miękkie i skierować do jednego celu jego uczucia zmienne, jak powiew wiatru.

Pewnego dnia, gdy Edward przychodził już do zupełnego zdrowia, Aniela weszła nagle do jego namiotu. Ujrawszy ją, młody człowiek stanął jak w zachwycie, jakby w radosném uniesieniu. Bynajmniej nie zdziwiło go to zjawisko, uważał je jako urzeczywistnienie marzeń, jakie w sobie nosił oddawna.

Aniela okazywała się jak zawsze pełna surowej powagi, Edward jak zawsze ubóstwiający tę którą porzucił i łaknący tego szczęścia które od siebie odtrącił. Probował wybaknąć jakieś niewyraźne słowa o swojej miłości, lecz surowość jój wejrzenia, poważna godność w postawie i blask cnoty promieniejący na jój obliczu, nakazały mu milczenie.

Dała mu do zrozumienia że tu nie może być mowy o tém co da-

wniej było, tylko o jego przyszłości, i przypomniła mu iż na świecie istnieje kobieta z którą on się związał świętą przysięgą w obliczu Boga i ludzi.

Na to przypomnienie Edward oburzył się i odrzekł, iż ta kobieta nie jest godną jego serca; zdawało się jakby go srodze ubodło to, iż Aniela bez zazdrości mówiła o swojej rywalce.

Słyszac w jaki sposób o jęj przyjaciółce wyrażał się własny tężże małżonek, zapytała go, azali w jego mniemaniu on także był tym samym Edwardem co dawniej, owym płochym i wietrznym elegantem neapolitańskich salonów.

Edward zaprzeczył temu stanowczo, dodając, iż cierpienie jego, zapał w bojach, krew przelana, świadczyły jako się przeobraziła dawniejsza jego słaba natura, i serce skażone nawróciło się ku prawym i zacnym dążnościom.

— Otóż—odrzekła Aniela —i Margarita również ciężki bój stoczyła, sroższy jeszcze chociaż mniej głośnie: walkę z swoim sercem, z namiętnościami, z pojęciami, z nałogami dawniejszego swego życia, i bohatersko zdołała przewyciężyć i pokonać tylu wrogów sprzysiężonych na jęj zgubę.

Edward opierał się; lecz Aniela żarliwą swoją wymową wykazała mu jego obowiązek, konieczność przebaczenia, jeżeli chce ażeby Bóg jemu przebaczył, szczęście jakie sobie może obiecywać w życiu domowym teraz kiedy tak świetne wawrzyny skroń mu ozdobiły, nadewszystko cześć jaką powinien oddawać cnocie, cześć jedynie godną człowieka i zarazem godną Boga.

Mimowolnie Edward dał się porwać tym słowom prostym, jasnym, z serca płynącym, a w chwili kiedy najmocniej był przejętym, nagle Aniela uchyliła płócienną firankę zastaniającą wejście do namiotu i w progu ukazała się Margarita.

Młoda kobieta nieśmiało postąpiła kilka kroków naprzód, lecz nogi się pod nią zachwiały i upadła na kolana w pośrodku namiotu.

A wtenczas Edward wzruszył się aż do głębi serca, słodkie łzy napłynęły mu pod powieki. Wstał, pochylił się nad klęczącą żoną i przycisnął ją do piersi.

Długie milczenie przerwał głos jakby bolesnym łkaniem stłumiony:

— Bądźcie tak szczęśliwi, jak tego pragnie moje serce!

Wyrzekłszy te słowa Aniela wyszła śpiesznie z namiotu. Co się w jęj sercu działo, niełatwo przysłoby opisać. Widziała osiągnięty cel najgorętszych swoich pragnień i zabiegów, a serce miała boleścią rozdarte.

Natychmiast kazała sobie przyprowadzić wielbłąda, który ją przewiózł nad brzeg morski, gdzie już wiedziała że zastanie okręt odpływający do Azji. Tam, położwszy granicę szerokich mórz i lądów pomiędzy sobą a tym swoim najpierwszym i jedynym którego pozostawiała w objęciach innej kobiety, będzie mogła w uczynkach miłosier-

nych wylewać na cierpiącą ludzkość te zbyt obfite źródła miłości, której zaciasno było w jej duszy.

E P I L O G .

Margarita i Edward, duchowo odrodzeni, zakosztowali w dalszém cichém pożyciu błęgiego szczęścia, jakiego nie zaznali dawniej wśród zgiełkliwych uciech, na łonie bogactw i wielkości. Nigdy nie zatarało się w ich pamięci, komu zawdzięczali to wielkie dobro i dlatego to, po imieniu Boga, imię Anieli było zawsze u obojga małżonków w największej czci i poszanowaniu; albowiem życie jej nie tylko ją samą uświęcało i godną czyniło uwielbienia, lecz wielki jego przykład zwrócił zbłąkanych z dróg fałszywych i wiodących do zguby, jak słońce oświecił sumienia, ciepłem swém ogrzał ich serca i szlachetnym tylko ideałom hołdować je nauczył.

K O N I E C .

RZUT OKA
NA STOSUNKI EKONOMICZNO-SPÓŁECZNE
W W. KSIEŻTWIE POZNAŃSKIEM.

PRZEZ

Ludwika Żychlińskiego.

Udział pielgrzymów poznańskich w pielgrzymce do Rzymu na uroczystość ŚŚ. Cyryla i Metodego.—Ogólna charakterystyka sytuacji W. Ks. Poznańskiego.—Przemysł cukrowniczy.—Statystyka posiadłości ziemskiej większej i mniejszej; statystyka ludności, szkół, z uwzględnieniem stosunku żywiołu polskiego do niemieckiego i żydowskiego. Smutne położenie urzędników polaków, mianowicie nauczycieli gimnazjalnych i elementarnych, sądownictwa i duchowieństwa.—Statystyka analfabetów.—Statystyka kryminalna.—Pogląd na zadanie przyszłego sejmu cesarstwa niemieckiego i rzut oka na czynności przedwyborcze. — Nowy zwrot w walce państwa przeciw Kościołowi. — Ostrzeżenie protestanckie prof. Gneista.—Ruch naukowy i literacki.—Towarzystwo Przyjaciół Nauk.—Wspomnienia pośmiertne ś. p. Wannowskiego, ks. Grawdke'go, Anastazego Radońskiego.—Apostrofa z powodu zbyt surowego zdania J. I. Kraszewskiego o W. Ks. Poznańskim.

Uczestnictwo Poznańczyków w pielgrzymce słowiańskiej do Rzymu powitały z wzniesioném sercem wszystkie odcienia opinii naszych, jako tysiącletnią rocznicę apostołów słowiańskich ŚŚ. Cyryla i Metodego. Zebrało się tysiąc czterysta osób ze świata słowiańskiego, wśród których 130 od nas, aby podążyć na oddanie hołdu pamięci braciom Soluńskim, apostołom Czechów, Morawian, Bułgarów i tych z pośród rodziny słowiańskich ludów, które pośrednio od ich uczniów usłyszały „dobrą nowinę.“ Zasiw niemiecki, podjęty w imię przewagi politycznej nad Słowianami, byłby zachodnią i południową Słowiańszczyznę zadławił i zniszczył, gdyby nie praca ŚŚ. Cyryla i Metodego. Jeżeli

przy tém nadmienimy, że apostołowie ci wytworzyli alfabet, wyrażający dokładniej dźwięki słowiańskie od greckiego lub łacińskiego, a tłómacząc biblią, dla liturgii w języku słowiańskim, położyli podwaliny literatur słowiańskich, to bez wahania się uważać ich możemy za pierwszych utwierdzcicieli rozwoju ludów słowiańskich zachodnich i południowych. Równocześnie stają nam żywo przed oczyma owe czasy, w których papież Adryan II i Jan VIII umożebnili, poteranym przez biskupów niemieckich, słowiańskim apostołom ich pracę, obsypując ich korzystnemi przywilejami i porównywały mimowoli po dziesięciu wiekach, dzisiejszą walną pomoc papieża, Leona XIII, i dzisiejsze niebezpieczeństwo z ówczesnóm, porównywały twardą dolę obecną z uciśkiem i prześladowaniem, jakie znosili przodkowie przed dziesięciu stuleciami.

Potrzeba nam było bardzo takiego posilenia duchowego wśród posuchy, jaka nas kurczy. Sądząc z ogólnego stanowiska, położenie narodowości polskiej w W. Ks. Poznańskim, przyznać musimy, że wygląda u nas niepokieszająco. Uwaga ta dotyczy nie tylko ciągle wzrastającego ubytku ziemi, ale i przywar rodzinnego ogniska, wśród którego coraz więcej rzeczy nie przypada nam do serca. Wiemy, czego nam niedostaje, silimy się pracować, wzmacniać, a przecież słabniemy i z zapasów z życiem wychodzimy ze znużeniem, bez potrzebnej i koniecznej silnej wiary „w lepsze.“ Rzadka podobno u nas dusza, co zachowała całą swą jasność, dlatego téż iskry stronicznych namiętności wydobywają się z łatwością na wierzch. Spozstrzegamy wprawdzie pewną ruchliwość, ale robi ona wrażenie raczej nerwowości podrażnionej, niż tego jędrnego życia, które płynie samorzutnie z wnętrza.

Prusaczyna chciałaby jaknajprędzej wniknąć we wszystkie nasze organa życiowe: nie udało jej się to wprawdzie jeszcze do tej chwili, ale gdyby, niech Bóg broni, raz dobrała się do naszych wyobrażeń i opinii, szłaby wtenczas zagłada właściwości naszych, w zastraszającej proporce i byłoby z nami stokroć gorzej, niż z owym rejentem Bolestą z „Pana Tadeusza,“ który, chociaż tylko ubiór narodowy zmienił, już „potowę duszy stracił.“

Jakgdyby nie dosyć było istotnych groźnych zamachów, straszymy sobie bezustannie. „Oto ten blizki bankructwa, ów niby dobrze się ma, ale gra na giełdzie; tamten znów, Bóg jedyny wie, jak się dotąd jeszcze trzyma i tak ta litania złowrogich wiadomości przebiega z ust do ust. Zkądinąd znów przesadzonymi kołyszają się niektórzy nadziejami i co tchu pędzą do zakładania cukrowni, które złote przynieść mają plony i zastąpić liche dochody, jakie przynosiła ziemia ostatnimi czasami. Zbudowana przed 4 laty cukrownia „Kujawy,“ w powiecie Inowrocławskim, tak wielkie przyniosła zyski, iż niebawem 3 inne tamże założono, dziś zaś piąta wznosi się w Kruszwicy, legendą narodową słynną, a zarazem budują po całym Księstwie fabryki cukru, jako to: w Kościanie, Środzie, Wschowie, Nakle, a proponowane są, najnowszemi czasami, w Wrześni, Gnieźnie, Opalenicy. Do cukrowni w Kruszwi-

cy, Kościanie, Środzie, należą, jako akcyonariusze, i ziemianie nasi; w proponowanej w Wrześni fabryce, przeważny także udział chcieli brać Polacy, ale słyszymy, że zamiar ostatecznie nie przyszedł do skutku. Pierwsza owa cukrownia „Kujawy“ przerobiła w roku zeszłym 514,000 cent. buraków i przyniosła czystego dochodu 250.000 talarów, czyli 750,000 marek. Czyni to 125% kapitału, z czego 90% rozdzielono jako dywidendę. Trzy inne w pow. Inowrocławskim czynne cukrownie, wyrobiły: 470,000, 260,000 i 200,000 cent. buraków, a ziemia pod plantacją tych 4-ch cukrowni użyta, wynosi milę kwadratową.

O skali naszego materialnego położenia powiadają nietylko takie oznaki, jak ubytek coraz znaczniejszy ziemi, ale i taki jak np. wybór wód, do których, potrzebujący poratowania zdrowia Poznańczycy, a raczej Poznanianki, w tym roku podążyły. Są to wody szląskie, o których uprzednio wielu ani słyszeć nie chciało. Chociaż zaznaczamy chętnie pewną w tym kierunku poprawę, to wyznać jednak musimy, że nie umiemy jeszcze oszczędzać, a przynajmniej nie umiemy oszczędzać stosownie. Za oznakę tego niech posłuży chociażby suma złożona w kasach oszczędności. Z zestawienia statystycznego dowiadujemy się, że podczas, gdy np. Pomorze miało złożonych w r. 1880 62,871,678 marek w kasach oszczędności; Prusy wschodnie 17,865,000 marek; Prusy zachodnie 15,700,000 marek, nasze Księstwo miało tylko 11,866,000 marek. Nie wspominamy już o takim Szlązku, saskiej prowincyi, lub wcale Westfalii, która miała 306,454,000 marek w kasach oszczędności. Uwzględnić wprawdzie trzeba różnicę między prowincjami poszczególnymi, ale zawsze uderzać musi, gdy Księstwo ostatni w szeregu oszczędności zajmuje szczebel.

Mieliśmy sposobność przejrzeć dane statystyczne, z r. 1880, jakie zawierają w sobie podręczniki z ramienia rządu wydane, tak co się tyczy ludności, jak frekwencji szkół wyższych, jak posiadłości ziemskich większych i włościańskich, i pośpieszamy podzielić się temi datami z czytelnikiem.

Ludność naszego Księstwa wynosiła w roku zeszłym, mimo emigracyi, 1,702,000 mieszkańców. Z téj liczby przypadało na katolików 1,000,000, na Polaków 950,000, t. j. $\frac{4}{7}$ całej ludności. Summa gruntów w Księstwie wynosi 3,027,579 hektarów. Z téj sumy przypada na posiadłości większe 1,626,954 hekt., na posiadłości włościańskie 1,400,625 hektarów. Z większych posiadłości było w ręku Polaków 732,235 hekt., u Niemców 894,700 hekt. (wliczywszy królewsczyzny). „Handbuch des Grundbesitzes im deutschen Reich,” powiadomia nas według powiatów o rozległości własności większej, posiadanej przez Polaków i przez Niemców, oraz o liczbie właścicieli nieruchomości w każdym powiecie. Zestawiając te interesujące dane, wykażemy zarazem, ile od końca r. 1880 postradaliśmy znów większej własności aż do chwili obecnej.

Powiat.	Ilość posiadzicieli polskich i obszar ich posiadłości.		Ilość posiadzicieli niemieckich i obszar ich posiadłości	
Babimostki	6	13298 hekt.	23	20979 hekt.
Bukowski	16	23635 "	15	22634 "
Bydgoski	5	9422 "	40	26494 "
Chodzieski	3	9134 "	44	31132 "
Czarnkowski	11	7759 "	42	31137 "
Gnieźnieński	60	36337 "	59	27126 "
Inowrocławski	75	72649 "	99	36270 "
Kościański	37	44077 "	27	13699 "
Krobski	33	38294 "	30	17427 "
Krotoszyński	18	16951 "	12	6228 "
Międzychodzki	4	5154 "	32	38151 "
Międzyrzecki	5	2440 "	22	36939 "
Mogilnicki	28	13346 "	69	29463 "
Odolanowski	17	37747 "	12	5046 "
Obornicki	20	22593 "	43	23427 "
Ostrzeszowski	23	25744 "	36	17437 "
Pleszewski	44	41321 "	38	30012 "
Poznański	22	24160 "	57	37612 "
Szamotulski	30	50561 "	17	13194 "
Sremski	44	47500 "	19	9404 "
Średzki	51	44838 "	34	16315 "
Szubiński	29	33453 "	52	26779 "
Wschowski	23	32804 "	31	19737 "
Wrzesiński	41	28490 "	20	9837 "
Wągrowiecki	62	54749 "	61	30740 "
Wyrzyski	11	16900 "	46	39162 "

718 posiadało 732234 hekt. 980 posiadało 573000 hekt.

Doliczywszy królewsczyny i posiadłości książąt obcych, mieli Niemcy 894,718 hekt. Od początku bieżącego roku do 20 lipca wyszło już znów z rąk polskich 13,738 hekt.; mają więc obecnie Polacy tylko 717,496 hekt., a Niemcy 908,456 hekt. Według powiatów utraciły najwięcej w r. b. powiaty: 1) Krobski 3,425 hekt., przez sprzedaż dóbr Chocieszewickich przez księcia Wilh. Radziwiłła, ożenionego z hr. Rzewuską i 2) powiat Szamotulski, przez sprzedaż dóbr Wronkowskich, 4,500 hekt. obszaru obejmujących, a należących do p. Ignacego Grabowskiego.

Przejdźmy teraz do obszaru własności włościańskiej.

Tutaj mamy tylko dane ryczałtowe, ale z kądnad ważne. Powołane powyżej źródło urzędowe wymienia, ile było w Księstwie w roku 1823, a więc w czasie regulacji chłopskiej, gospodarstw ze sprzężajem, a wiele ich jest dzisiaj. Otóż ubyło ich 8,679, było bowiem przed 58 laty 48,068, a jest ich obecnie tylko 39,389. Ubyło w ogóle

37,250 hektarów gospodarstw sprzężajowych ¹⁾. Gospodarstw bez sprzężaju przybyło natomiast 10,510, podczas gdy obszar ziemi, przez tych bezsprzężajowych gospodarzy posiadany, wzrósł z 74,500 hekt. do 138,150 hekt. Świadczy to o niepomiernym upadku samodzielnych gospodarstw chłopskich. Wyzwolony włościanin nie umiał się zrazu rządzić, ale jakotako się jeszcze trzymał. Dopiero, gdy parcie ekonomicznych stosunków się zwiększyło, a lichwę zniosły prawa, zaczęła ludność samodzielna wiejska upadać. Ustawa, obowiązująca od chwili uregulowania stosunków włościańskich, a pozwalająca dzielić grunta włościańskie, dopomogła swoją drogą do umniejszania ciągłego ludowych sił samodzielnych. Jak donosilem, wprowadziło się z naszego Księstwa w ostatnich 8-iu latach aż 55,000 ludzi do Ameryki. W pewnej części byli między nimi gospodarze, nie posiadający sprzężaju. Wiele przyczyn składa się na tę emigrację chłopską. Im więcej rozpatrujemy się w stosunkach, tém głębszego nabieramy dziś przekonania, że Księstwo nasze na przeludnienie cierpiało. Wszelako wychodzimy tutaj z przypuszczenia, że absolutnej miary pod tym względem niema, że kraj ten lub ów nie jest jeszcze przeludniony dlatego, że taka a taka ilość mieszkańców przypada na miłę kwadratową. Pojęcie wyrazu: przeludnienie, da się tylko względnie zastosować, i to mając przeważny wzgląd na stosunki ekonomiczne. Kraj zaczyna być przeludnionym, gdy liczba ludności przez pewien szereg lat szybciej wzrosła, niżeli dochód i bogactwo krajowe i gdy, w skutek tej dysproporcji, przeciętny dochód jednostek umniejsza się, gdy ekonomicznie najważniejsze gałęzie przemysłu nie dają sposobności dostatecznego zarobku, a zasilanie się produktami zagranicznymi wymaga ekwiwalentu zamiennego, którego wyprodukowanie połączone jest z coraz większemi trudnościami. Niemieccy ekonomiści obliczyli, że państwo Niemieckie, w porównaniu z r. 1871, potrzebuje dziś więcej do konsumpcji 15,000,000 cetn. zboża, 2,000,000 cetn. mięsa, 1½ miliarda litrów mleka, 2¼ miliarda jaj i t. d., i dowodzą, że gospodarze w żaden sposób dotrzymać kroku nie mogą z tak szybkim wzrostem popytu o żywność. Mutatis mutandis, da się to i do naszego Księstwa zastosować, które i związane jest ekonomicznie z państwem, 42,700,000 mieszkańców liczącem, i potrzebuje równie w pewnej mierze dowozu. Gospodarstwo rolne Księstwa naszego podlega fluktuacyom i konkurencyi targu powszechnego, cały obrót gospodarczy staje się mniej pewnym; próby i sztuczne pomoce wchodzą na porządek dzienny. W zamian za dowóz artykułów żywności, potrzebaby wywozić artykuły przemysłu, a więc walczyć z dotyczącą konkurencyą zagraniczną. Wzrost ludności zmusza do przyspieszania rozwoju przemysłu i handlu, skoro samo gospodarstwo rolne nie podoła zatrudnić stosownie ludności roboczej w tej proporcji, w jakiej ona wzrasta.

¹⁾ Fakt ten powinien być nauką dla wszystkich pseudo-postępowych apostołów parcelacji u nas.

Dzieje się więc, że przewyżka ludności roboczej dąży do miast, przepenia je i wywołuje, w skutek nacisku sił roboczych, niżenie płacy i to w o tyle większej mierze, im bardziej maszyny umniejszają potrzebę sił roboczych ludzkich. Ta przewyżka ludności roboczej, która szuka zatrudnienia w przemyśle i w handlu, rośnie tymczasem z roku na rok, ponieważ pokolenia, które dorastają i znów przyplývają do miasta, coraz bardziej licznie się wzmagają. Ale ten szybki przyrost biednej klasy nie może znaleźć zatrudnienia w tych gałęziach przemysłu, które się trudnią dostarczaniem zbytłownych mniej lub więcej potrzeb, bo przemysł krajowy nie rozszerza się w proporcji przyrostu ludności. Przyczém zauważyć należy, że przemysł i handel rozwijają się, nietylko wedle miary istniejących sił roboczych, ale i wedle miary kapitałów. Jedną z błędnych teorii ekonomii politycznej jest twierdzenie, jakoby przemysł i handel mógł się rozwijać w nieskończoność i że dlatego każdy przyrost ludności stanowi szczęście kraju. Jakimże sposobem, pytamy, ma przemysł i handel nietylko przyrost swój wewnętrzny zatrudnić, ale nadto, zatrudnić i nawał robotników wiejskich? Nie jest-ci handel i przemysł ograniczonym na pewien dany areał, to racya, ale zkadınad jest on także skrepowanym. Zależy bowiem od popytu, od łatwości konsumcyi, od potrzeby i to zależy bardziej jeszcze od tych wszystkich względów, niż gospodarstwo rolne. Są to stare prawdy; ale nowoczesna lekkomyślna zagorzałość niedoświadczonych postępówców, co do ufności w rozwój nieskończony procederów, traktująca rolników po macoszemu, zamyka oczy na tę powszednią wprawdzie prawdę, ale bądźcobadź niewzruszoną prawdę.

Przejdźmy teraz do statystyki szkół wyższych w Księżtwie. Zaczynamy od miasta Poznania. Na czele wymieniamy gimnazjum Ś. Maryi Magdaleny. Rok 1873, w którym obchodzono 300 letnią rocznicę jego fundacyi, stanowi zwrot ku gorszemu tój zasłużonej krajowi instytucyi. Od tego bowiem roku począwszy, nie słyhać już tutaj publicznie języka ojczystego. Deklamacye polskie usunięto z programu, tak samo usunięto i mowy polskie abiturjentów. Złączony aż do r. 1873 z uroczystością szkolną, obchód religijny, usunął postępówy duch bezwyznaniowości rządowej oficjalnej. W r. 1878 było abiturjentów 47, wśród których 38 Polaków. W dwa lata później było jeszcze abiturjentów 38; obecnie słyhamy tylko o 4-ch, z których Polaków 2-ch i tyleż żydów. W r. 1873 było nauczycieli 28, z których 23 Polaków, a 5 Niemców; obecnie pozostała wprawdzie liczba nauczycieli ta sama, ale Polaków między nimi jest tylko 8, Niemców katolików 13, a protestantów 7. Uczniów uczęszczało wówczas 666, z których 612 Polaków, 27 Niemców katolików, 7 Niemców protestantów i 20 żydów. Dziś liczy szkoła 574 uczniów, z których 314 Polaków, 260 Niemców (między nimi 115 protestantów), oraz 119 żydów. Uwzięto się więc, jak z danych przytoczonych widać, zsymultanizować gimnazjum Ś. Maryi Magdaleny i to symultanizowanie stanowi główny cel. W języku zaś urzędowym czytamy, „iż pomysłniejsze niż dawniej zmieszanie

składu nauczycieli i uczniów, sprowadzać też będzie widoczniejsze postępy.“ To „zmieszanie“ przywodzi na pamięć osławione Fryderyka W. meliren. Król ten krzesać chciał żywioł polski, obsadzając szkółki wiejskie nauczycielami, branemi z szeregów podoficerskich armii swój. Mieli oni diesen slavischen Leuten Raison und Zucht beibringen. Język polski przestał być w gimnazyum obowiązkowym, zresztą przeznaczono dlań 2 godziny tygodniowo. Polskie ćwiczenia, im klasa wyższa, tém mniej ich zadawano; deklamacye polskie są rzeczą dowolną. Biblioteka gimnazyalna, dawniej głównie polskiemu zasilana książkami, obecnie tylko wypadkowo takowe otrzymuje. W czterech klasach niższych niema nauki religii wcale, w wyższych obu 2 godziny tygodniowo, ale po niemiecku.

Drugie gimnazyum poznańskie, t. zw. Fryderyka Wilhelma, miało w półroczu zimowém 638 uczniów. Polaków było między nimi i Niemców katolików razem 64, ewangelików 294, a żydów aż 280. Z samego Poznania było uczniów 502. Z 25 nauczycieli było 2 Polaków. W nauce języka polskiego brało udział 72 Niemców. Abiturystencki egzamin złożyło na Ś. Michał r. z. 11-stu uczniów, na Wielkanoc r. b. 7; z pomiędzy nich jeden Polak.

Do szkoły realnej uczęszczało 473 uczniów (katolików 131, ewangelików 204, żydów 138). Znani z zdatności i gorliwości profesorów téj szkoły, Polacy, pomijani są zawsze, gdy chodzi o dyrektoryat. Magistrat miasta nie chce Polaka na téj posadzie, a argumenta zawsze się znajdują.

Gimnazyum w Gnieźnie liczyło w półroczu ubiegłym 305 uczniów (katolików 118, ewangel. 116, żydów 71). Abiturjentów w obu terminach, Ś-to Michalskim i Wielkanocnym było 8, z których 2 Polaków.

Gimnazyum w Lesznie liczyło w ubiegłym półroczu 242 uczniów (katol. 38, ewangel. 124, żydów 80). Nauczyciel tylko jeden Polak, prof. matematyki, który zarazem literaturę polską wyklada w wyższych klasach. Egzamin dojrzałości złożyło 5 uczniów (1 kat., 2 ewan., 2 żydów).

Do gimnazyum w Rogoźnie uczęszczało 265 uczniów (49 katol., 138 ewan., 78 żydów). Na Ś. Michał r. z. złożyło egzamin 4 uczniów, w ubiegłym półroczu 5, z których jeden Polak.

Gimnazyum w Śremie miało w półroczu ubiegłym uczniów 185 (78 katol., 54 ewang., 52 żydów). Abiturjentów 5-ciu; nauki religii katol. wcale nie dawano, język polski wykładano w 6 godzinach tygodniowo.

Gimnazyum w Ostrowie liczyło 432 uczniów (200 katol., 117 ewang., 115 żydów). Samo miasto dostarczyło 232 uczniów. W terminie Ś-to Michalskim r. z. i Wielkanocnym r. b. złożyło egzamin 18 uczniów, z których 5 Polaków.

Gimnazyum w Wągrówcu liczyło 223 uczniów (84 Pol., 73 ew., 66 żydów). Miasto dostarczyło 104 uczniów. Egzamin dojrzałości złożyło w dwóch terminach 9 uczniów, z których 3 Polaków.

Gimnazyum w Krotoszynie miało 255 uczniów (42 kat., 120 ew.,

93 żydów). Miasto dostarczyło 153 uczniów. Egzamin złożyło w obu terminach 16 uczniów, z których jeden Polak.

Gimnazjum w Pile liczyło 277 uczniów (22 katol., 177 ewangel., 60 żydów). Egzamin dojrzałości złożyło 7-iu. Miasto dostarczyło 144 uczniów.

Gimnazjum w Inowrocławiu liczyło 276 uczniów (63 katolików, 140 ewangel., 73 żydów); 192 uczniów dostarczyło miasto. Egzamin złożyło 11 uczniów, z których 2 Polaków.

Gimnazjum w Nakle 262 uczniów (19 katol., 161 ew., 81 żydów). Miasto dostarczyło 121 uczniów; egzamin złożyło 3 uczniów.

Progimnazjum w Trzemesznie 111 uczniów (56 katol., 26 ew., 29 żydów). Miasto dostarczyło 50 uczniów.

Progimnazjum w Kępnie 155 uczniów (33 katol., 49 ewangel., 73 żydów). Miasto dostarczyło 103 uczniów.

Progimnazjum w Skwierzynie 105 uczniów (6 Pol., 86 Niemców, 27 żydów).

Szkoła realna w Wschowie 130 uczniów (16 katol., 99 ewang., 15 żydów). Miasto dostarczyło 74 uczniów.

Szkoła realna w Bydgoszczy 587 uczniów (35 kat., 453 ewang., 99 żydów).

Szkoła realna w Rawiczu 246 uczniów (38 kat., 115 ew., 88 żydów).

Szkoła realno-agronomiczna w Szamotułach 90 uczniów (34 Pol., 22 ew., 33 żydów). Polacy pobierają w 3-ch kursach po 2 lekcje języka polskiego, oraz mają pozwolenie założenia polskiej biblioteki.

Przypatrzwszy się spisowi temu, a mianowicie frekwencji uczniów polskich, a niemieckich i żydowskich, uderza, mała stosunkowo do licznej narodowości, liczba uczniów polskich. Jest nas 950,000, a uczniów, jakich szkołom wyższym polska dostarcza ludność, widzimy tylko 1,443, podczas gdy Niemcy katolicy, których jest m. w. 50,000, dostarczyli 182, Niemcy ewangelicy, których jest m. w. 640,000 dostarczyli 2,742; a żydzi, których jest m. w. 64,000, dostarczyli 1,625! Jest nas $\frac{1}{7}$ całej ludności, o ileż więc w tyle pozostaje frekwencya uczniów polskich, w porównaniu z frekwencyą uczniów niepolskich, a mianowicie żydowskich, chociaż i uwzględnimy tę okoliczność arcyważną, że nasza ludność głównie jest rolnicza, a dalej i tę, że po za granicami Księztwa, w Wrocławiu, Saganie, Głupczycach, uczęszcza do szkół wyższych kilkudziesięciu Polaków z Księztwa, gdyż rodzice przekonani są, iż mniej pono trudności napotkają synowie poza Księstwem niż w Księstwie. Zkądinąd przecież łatwo pojąć, że upośledzenie Polaków odstraszać ich musi od garnięcia się gorliwego do szkół wyższych, których przeznaczeniem przygotowanie do zawodów sądowych, administracyjnych i t. p.

Uprzytomnijmy sobie specjalnie położenie tutejsze i zacznijmy od nauczycieli gimnazyalnych i realnych. Potrzeba na studyum filologii $4\frac{1}{2}$ roku, rok trwa próba, nauczycielstwo t. zw. pomocnicze trwa

aż do lat 6. Potrzeba więc 7 lat, niezawodnie, aby uzyskać stałe miejsce po złożeniu egzaminu państwowego, przyczém znów od władzy zwykle zależy, czy nauczyciel rok, dwa lub wcale 10 na jednej ostanie się posadzie. Ta dobra lub zła wola władzy utrudnia mocno służbę polskiego nauczyciela, ile że przesadzanie Polaków z Księstwa do prowincyi innych, staje się regułą. Można sobie łatwo wystawić, jakie pobudki zwykle kierują tém postępowaniem władzy; w języku urzędowym brzmi jednostajnie jeden tylko powód przesiedlania nauczycieli Polaków, t. zw. „dobra służby.“ Dla takiej, niczém nieusprawiedliwionój, wandalskiój tyranii, przesiedlono od lat 6-ciu połowę Polaków nauczycieli wyższych zakładów z Księstwa do pomorskich, brandenburskich i szlązkich gimnazjów.

A nauczyciele elementarni? Stan ich materyalnie polepszony został, ale moralnie cięży na nim zmora wymagań różnorodnych, mających systematycznie na celu zamienienie go w narzędzie potulne germanizacyi i wyziębienie w nim poczuc narodowych. Seminaria nauczycielskie przepełnione są Niemcami, których protegują i nauczyciele i władza. W r. 1878 było posad nieobsadzonych 241, nie mogło więc się uczyć 3000 m. w. dzieci. Któż, co nie musi, garnąć się będzie do stanu, z którym rodzaj moralnej, a wyrafinowanej aplikowanej niewoli, jest połączony? Toż świeżo co dowiedzieliśmy się, że nawet do Towarzystwa Naukowej pomocy, zakazano należéc nauczycielom elementarnym, aby patriotyzm pruski, w który ich wprawiają, nie doznał plamy... „W interesie służby,“ brzmi tymczasem i ten raz powód...

A zawód prawniczy? Wiemy już dawno, że żaden Polak, chociażby i najzdutniejszy był i najdłużej w służbie wytrwał, posady stosownej, dyrygenta lub dyrektora, nie otrzyma, nie mówiąc już o posadach w ministerjum sprawiedliwości. Wolna adwokatura, która, wedle nowych praw zaprowadzoną została, skłoni zapewne naszych prawników do popróbowania w tym kierunku swych sił. Nie będą przynajmniej narażeni, jak teraz, na przesiedlanie w interesie tego Molocha, który nosi nazwę służby. Księstwo Poznańskie ma dotąd tylko 16 adwokatów Polaków, braknie więc w niejednym, tak ziemiańskim, jak i okręgowym sądzie, adwokata Polaka.

Liczba duchowieństwa, którego seminaria dziś zamknięte, które więc nie rekrutuje się już z pomiędzy tutejszych zakładów, umniejsza się coraz bardziej. Brak nam 142 proboszczy i 50 wikarych. Liczba kleryków, którzy dziś tylko zagranicą kształceni być mogą, nie wyrównywa ani w $\frac{1}{6}$ tej części dawniejszój liczbie kleryków, kształconych w Poznaniu i Gnieźnie.

O karyerze administracyjnej dla nas i mowy być nie może; karyera wojskowa ogranicza się chyba na rangę kapitana, z widokiem na tytuł majora. Jesteśmy rarissimi nantes na tej wszechwładnej fali żywota pruskiego.

Koleje, poczty, telegrafy, cła i t. p., obsadzone zwykle Niemcami. Moglibyśmy wprowadzić bardziej się garnąć do tych zatrudnień,

gdybyśmy krzywe na nas patrzeć filozoficzniej znośić umieli. Ale nie umiemy, więc też z rzadka w tych dykasteryach spotkać się można z Polakiem, a jeśli się go spotka, rad być się zdaje, gdy go w przytomności innych urzędników Niemców nie wyszczególniamy, chociaż to czynimy dlatego, że w ojczystym możemy porozumieć się z nim języku.

Do zawodu lekarskiego garnie się coraz więcej osób i słusznie. „Medicinal Calender von Börner” na r. b. wykazuje, że z wszystkich prowincyi najmniej lekarzy posiada Poznańskie, bo na każde 5426 głów tylko jednego, podczas gdy np. w Szlązku przypada jeden lekarz na 3930 głów, a nad Renem jeden na 2720. Mamy obecnie w Księstwie 103 Polaków lekarzy, podczas gdy Niemców i żydów lekarzy jest 193. Na 950,000 Polaków może być jeszcze z jakie 40 lekarzy Polaków więcej. Poznań, liczący 34000 katolików, 19000 ewangelików, a 7000 żydów, ma 17 polskich lekarzy, podczas gdy niemieckich i żydowskich jest 35-ciu.

Inny wolny zawód, aptekarstwo, zbyt zaniedbujemy. Ile wiemy bowiem, bodaj kilkunastu Polaków jest aptekarzami, chociaż aptek w Księstwie jest sto kilkanaście.

Do przemysłu wyższego, do handlu, rzadko który zdatniejszy i sumienniejszy garnie się Polak. Rzemiosła zbyt często w nieudolnych rękach. Mamy albo wyborowe firmy, albo mniejszych lub większych partaczy i to bez liku.

O technicznych zawodach wreszcie powiedzieć należy, że i one dotąd mało nęciły naszą młodzież. Za oznakę naszego twierdzenia niech posłuży fakt, że do zakładających się kilku, chociaż w znacznej części polskimi siłami, cukrowni, nie słyszemy, aby powołano jakiego dyrygenta Polaka.

Obraz niniejszy możemy uzupełnić jeszcze innemi danemi, wyjętymi z „Statistisches Jahrbuch für 1881.” Czytamy tam, że liczba analfabetów (nie umiejących czytać) wynosiła w Rzeszy niemieckiej: w r. 1879/80 1,57%, w Prusiech w tymże roku 2,27%, a w poszczególnych prowincjach pruskich wedle następującej skali:

w Szlezwigu.	0,20%	w Pomeranii.	0,62
w Saskiej prowincyi	0,26	w Szlązku	2,25
w Hanowerze	0,34	w Prusach Wschodnich	5,38
w Westfalii	0,34	w Prusach Zachodnich	8,22
w prowincyi Reńskijskiej.	0,36	w Ks. Poznańskim	10,96
w Brandeburgii.	0,52		

Mieliśmy sposobność dowiedzieć się porównawczo o liczbie analfabetów w Szlązku, a w Księstwie naszym i to przez przeciąg lat 4-ch ubiegłych i dzielimy się z wami tą wiadomością. Otóż było analfabetów:

w Szlązku		w Księstwie Poznańskim	
w roku 1876/7	2,45%	w roku 1876/7	12,93
„ 1877/8	2,18	„ 1877/8	11,16
„ 1878/9	2,04	„ 1878/9	11,10
„ 1879/80	2,25	„ 1879/80	10,96

Dane, dotyczące naszego Księstwa, wykazują wprawdzie, że wykształcenie ludu zaniedbane jest, w porównaniu z innymi prowincjami; ale wskazuje zarazem, jak fałszywą musi być metoda, którą do nas gwątkiem stosują Prusacy, skoro z miejsca zaledwie od lat 5-ciu ruszyć mogą. Dane te smutno wyglądają, smutniejsze są przecież te, które dochodzą uszu naszych. Nie tajno bowiem, że niemała liczba, czytać umiejących dzieci, czyta jak papugi, odwyknawszy od wszelkiego ćwiczenia myśli w szkole elementarnej. Uczą tam dzieci i śpiewów, przeważnie niemieckich, o których znaczeniu i treści albo wyobrażenia żadnego nie wynoszą, albo całkiem dowolne. Między różnymi przykładami, stwierdzającemi to, przytoczę chociaż jeden, jako ilustracją. W pewnym domu polskim przyjęto młodą 15-letnią dziewczynę wiejską do dziecka. W parę dni, wieczorem, słyszy pani domu śpiew niemiecki w pokoju dziecinnym i z wielkiem swém zadziwieniem poznaje melodyą: „Wacht am Rheine.” Biegnie do pokoju i spostrzegłszy, że to śpiewa owa wiejska niańka, zaczyna ją wypytwać, z kąd jęj przyszło do głowy śpiewać podobne rzeczy. Dziewczyna opowiedziała, że to śpiewano w szkole i że ona myślała, iż to jaka pieśń nabożna... Można by zawołać: o sancta simplicitas!

Może ośmiela się wyrzucać nam ze zwykłym cynizmem barbarzyństwo, za które przed potomnością historii odpowiadać będzie ich tyrania krzyżacka, niesprawiedliwość niemiecka i przewrotność pruska, używająca ze szkodą narodu szkół za narzędzia swojej barbarzyńskiej, nieludzkiej polityki.”

Wreszcie dostarczyło nam i sprawozdanie drukowane ministerjum sprawiedliwości: „o działalności sądów przysięgłych w Prusiech,” danych, dotyczących statystyki moralności w państwie, a więc i w Księstwie naszym. Liczba zbrodni wzrasta ciągle w Państwie Pruskiem. Podczas gdy suma ogólna oskarżonych o zbrodnie wynosiła w r. 1877 12807, urosła w roku następnym do 14022, a więc o blisko 10%. Cofnąwszy się do r. 1873, t. j. do początku Kulturkampfu, taki nam się w liczbach przedstawia obraz:

było oskarżonych o zbrodnie:	osób	było oskarżonych o zbrodnie:	osób
w roku 1872	8100	w roku 1876	11222
„ 1873	8546	„ 1877	12807
„ 1874	9444	„ 1878	14022
„ 1875	10268		

a więc w lat 6 przyrost, wynoszący przeszło 70%.

Przypada, wedle ludności, wynoszącej w r. 1878 26,6 milionów, na każde 1900 mieszkańców jedna zbrodnia, podczas gdy przed r. 1873 stosunek zbrodni do mieszkańców miał się jak 1 : 2930. Wedle pojedynczych prowincyi tak się przedstawia kryminalistyka:

przypada 1 zbrodnia na:		przypada 1 zbrodnia na:	
w Szlezwigu	4039	w Nadreńskiej prowincyi	1992
w Hannowerze	3219	w Pruskiej prowincyi	1902
w Pomeranii	3122	w Ks. Poznańskim	1733
w Hessyi i Nassau	2694	w Szlązku	1673
w Westfalii i Hohenzollern	2355	w Brandenburgii (wraz z Berlinem)	1579
w Saskiej prowincyi	2195		

Chcąc mieć dokładny obraz, potrzebaby dla naszego Księstwa, dla Prus i dla Szlązka, innego ułożenia statystycznego, w którembym jasno przedstawiał się udział w zbrodniach polskiej, niemieckiej i żydowskiej ludności. Tymczasem statystyka powyższa mówi tylko o prowincyach i dlatego pozostawia w znaczniejszej części domyślnym rozdzielenie dotyczących dat kryminalnych. W końcu znajdujemy wprawdzie pogląd porównawczy na udział w zbrodniach, wedle wyznań religijnych, ale w ogóle, a nie wedle poszczególnych prowincyi. Dowiadujemy się natomiast, że najwięcej zbrodni przypada na żywioł żydowski, że zbrodnie i zamiary zbrodni w ciągu ostatnich lat pięciu urosły: u ewangelików o 37⁰/₁₀₀, u katolików o 47⁰/₁₀₀, u żydów zaś o 80⁰/₁₀₀. Ze u nas oznaki zdziczenia, i to wśród ludu, zwiększyły się od lat 7-u, trudnoby było zaprzecć, a chociaż wiele bardzo przyczyniło się do tego zdziczenia prześladowanie Kościoła przez państwo, to wpływały na ten stan zarazem i naprężone stosunki ekonomiczne, które powodowały klasy robocze do częstszego, niż wprzód, szukania zapomnienia w trunku. Wiadomo zaś, że lud nasz, czy miejski, czy wiejski, przestępstwa z kategorii okaleczeń, gwałtu, zabójstwa, popełnia zwykle w stanie napitym. Z wszystkich bowiem prowincyi Państwa pruskiego przypadała w ostatnich latach największa konsumpcya wódki na osobę na Księstwo Poznańskie. W ostatnim roku np. przypadało sposobem porównawczym na jedną osobę w Prusach Zachodnich 20 litrów wódki, w Pomeranii 21, na Szlązku 15, a w Księstwie naszym 35. Z piwem rzecz się natomiast miała odwrotnie, bo pito go na osobę: w Prusach 30 litrów, w Pomeranii 31, w Szlązku 48, podczas gdy w Księstwie Poznańskim tylko 20.

Na tém kończymy obraz statystyczny naszej sytuacji w W. Ks. Poznańskim. Jesteśmy znużeni, a i skwaszeni potrosze, ale chociażby to znużenie i to skwaszenie wzmagać się jeszcze miało, tuszymy, iż nas nie ogarnie żadne przytępienie duchowe. Ruszać się dalej i silić będziemy i aby tylko nauka szła z tą ruchliwością w parze, a wiara „w lepsze” jej przyświecała, możemy zawsze jeszcze przywtarzać jednemu z ludzi ubiegłego wieku, który powiedział, że społeczeństwo nigdy dać za wygraną nie powinno, bo inaczej zgnuśnieje i stępieje, straci zdolność wszelką rządzenia się, pojęcie nawet własnego dobra i nie wiedząc wreszcie co począć, samo zatratę sobie zgotuje.

Zbliżające się za dwa miesiące wybory do sejmu Cesarstwa, zaczęły już od drugiej połowy lipca nas zatrudniać. Dotychczasowi posłowie od nas, zdają sprawę z odbytej czynności, a powiatowe komitety zaczynają obmyślać kandydatów na poselstwo. Rozbicie stronnictwa na sejmach, tak jaskrawo na wierzch wybijające, otwiera naszym głosom możliwość decydowania, co wielką ich stanowi ważność. Co do zapowiedzianych reform, nie podpada wątpliwości, że reforma podatków ponownie sejm zatrudniać będzie. Fakt ten, że pełne arogancyi jak najwszechstronniejszej Cesarstwo niemieckie dało się wyprzedzić innym krajom pod względem urządzenia jak najkorzystniejszego swego systemu podatków, pobudzał Bismarka do przedsięwzięcia jak najspieszniejszej reformy. Postanowione przez sejm w r. 1879 prawo „o taryfie celnój i o podatku tytoniowym,” nie zabezpieczyło bynajmniej jeszcze finansów Cesarstwa, ale zrobiono przez to pierwszy już krok w kierunku rozszerzenia zasady podatków pośrednich. Korzyści podatków pośrednich, niestałych leżą nietylko w sposobie ich pobierania, ale i w sprawiedliwszemu ustosunkowaniu sił płacących podatki. Co do pierwszego, widoczna jest korzyść pod tym względem, że ani egzekutor nie gra tu żadnej roli, ani brutalne fantowanie nie budzi nienawiści mas do władzy wykonawczej, ponieważ przeciętnie rzecz biorąc, podatkujący oznacza sam czas i miarę ciężaru, który decyduje się ponieść. Co do drugiego, to zwracamy na tę okoliczność uwagę czytelnika, że skala większego lub mniejszego podatku jest przy podatkach pośrednich ruchomą, stosuje się do stosunków lokalnych i koniunktur handlowych, rozdziela się na wszystkie te indywidua, które w danej chwili i w danym miejscu interesowane są pod względem produkcji i konsumpcji, dowozu i wywozu i t. p. Przy podatkach zaś bezpośrednich, stałych wychodzi się z zasady, że indywiduum winno płacić bezpośrednio pewną kwotę państwu, w stosunku do swojej mienności. Zasada słuszna, ani słowa, ale praktyka coraz bardziej wykazuje, że możliwość płacenia nie zawsze da się wyrazić przez dochód podatkującego, przyczem mieć trzeba na względzie i tę okoliczność, że trudno jest wymiarkować dokładnie i sprawiedliwie, choćby nawet w przybliżeniu, właściwy dochód. Czy familia podatkującego liczną jest, czy nie, tego ten system nie uwzględnia wcale. Stan zdrowia opodatkowanego obywatela, lokalne wreszcie i inne stosunki, żaden z tych względów nie wchodzi wcale w rachubę w opodatkowaniu bezpośrednim, a są to przecież fakta, które ogromne nieraz wywołują różnice w położeniu i kondycji, napozór pod względem majątkowym równiej, jednakićj. Już kilkakrotnie nadmieniałem dawniej, jak wyciągniętą jest u nas struna podatkowa i to nie tyle może pod względem podatków bezpośrednich państwowych, jak co się tyczy podatków bezpośrednich gminnych i że powitamy z zadowoleniem wszelkie środki, przynoszące ulgę w przeciążeniu nas podatkami takimi, jak dzisiejszy podatek na ubogich, a przedewszystkiem na szkoły. Dotąd państwo kładzie te ciężary na gminy, a kładzie je często zbyt nielitościwie, jak gdyby ubodzy i szko-

ły były li sprawą gmin, a nie państwa także; chociaż zkądinąd wiadomo, jak absolutnie Prusy bronią tej zasady wcale niepedagogicznej, która uważa szkoły wyłącznie za sprawę państwową, wyłącznie za sferę troskliwości i opieki rządowej, odpychając wpływ Kościoła, boby to było barbarzyństwem, wpływ rodziny i społeczeństwa, boby to prowadziło do ciemnoty. Wobec takich interesów nabiera kwestya wyborów nowych posłów do parlamentu niemieckiego przez głosowanie powszechne wielkiego znaczenia, a mianowicie tam, gdzie ludność polska pomieszana jest bardziej z niemiecką. W takich okręgach potrzeba zawczasu mnogich i wytrwałych przygotowań, aby umozębnić wybór polskiego kandydata.

* * * Zabiegi przygotowawcze inteligencji poznańskiej do wyboru nowych posłów rozpoczęły się już pod koniec miesiąca lipca, tak że sejmiki przedwyborcze, przypominające w pewnej mierze i dawne sejmiki relacyjne, zaprzętały umysły naszej społeczności prawie przez cały sierpień, z mniejszym lub większym zapałem po różnych miastach, których szeregować tu nie będziemy. Gdyby dawni sejmikowicze wielkopolscy powstałi z grobu z żywą pamięcią gwaru sejmików relacyjnych, zadumaliby się zapewne nie mało nad spokojem i nad poważną dyskusją wśród licznych dosyć zastępów ludności wszystkich stanów. Porządek dzienny tego rodzaju zebrań jest mniej więcej jednaki. Dawniejsi posłowie zdają zwykle sprawę z ubiegłej kadencji prac sejmowych, roztrząsają ważniejsze podnoszone lub załatwione interesa, obznajmiając masy ludności z zasadami postępowania, którego się podczas obrad sejmowych trzyma „koło polskie” wśród swarzących się między sobą stronnictw „rzeszy niemieckiej.” Tego rodzaju relacje mają dwojakie znaczenie: z jednej strony przyniatają umysł i intencje obywatelskie, krępowane bezwzględną, nieludzką, krzyżacką preemocą liberałów-bezwyznaniowców i konserwatystów-pietystów niemieckich; z drugiej zaś zawierają cokolwiek nauki. Pokażny zastęp mas ludności uczy się od swoich reprezentantów oceniać sprawiedliwie ważniejsze propozycje rządowe i poznaje mniej lub więcej legalne postępowanie wyższych i niższych organów administracyjnych, szkolnych i t. p. Po wysłuchaniu takiej relacji i przeprowadzeniu dyskusyi nad kwestyami ogólniejszego społecznego interesu, przystępuje się zwykle do wyboru kilku kandydatów z każdego koła wyborczego. Z pomiędzy tych projektowanych kandydatów, przedstawianych komitetowi centralnemu w W. Księstwie i w Prusach, naznacza dopiero komitet centralny ostatecznie desygnowanych kandydatów w takiej liczbie, jaka na powiat przypada, ponieważ tylko w ten sposób można zapobiedz rozstrzeleniu się głosów na zbyt wielką liczbę ulubionych mężów stanu w powiecie ¹⁾. * * * W Poznaniu np. stawilo się około 800 wyborców na taki sejmik. Poseł poznański Hipolit Turno, zdając sprawę z czynności „koła polskiego” w parlamencie, zwrócił uwagę na podsta-

¹⁾ Red.

wę, na jakiej postawie Polacy się opierają, nadmieniając, że w obec przemocy nieprzyjaznej nam par principe większości niemieckiej, czynność nasza parlamentarna ogranicza się na tych tylko sprawach, które kraj nasz obchodzą, a więc na sprawach interesów narodowych, religijnych i ekonomicznych, o ile one na nasz byt moralny i materialny wpływają. Potem przystąpiło zgromadzenie do wyboru sześciu kandydatów, wreszcie rozbiegano kwestyą zmiany regulaminu wyborczego, która dziś nas bardzo żywo zajmuje. Chodzi tutaj: 1) o oparcie agitacji wyborczej na okręgach wyborczych, a nie jak dotąd na powiatach, skoro prawo wyborcze do parlamentu opiera się na okręgach, które składają się z dwóch a i z trzech powiatów; 2) o sposób ostatecznego wyboru kandydatów. Dotąd powiaty poszczególne miały ważny głos. Proponowana zmiana polega na tém, że ostateczny wybór kandydatów przysługiwać ma walnemu zgromadzeniu delegatów powiatowych, łącznie z komitetem prowincjonalnym. Zmiany proponowane przechodzą wielką większością.

* * Dla zupełności obrazu zabiegów przedwyborczych inteligencji poznańskiej zaznaczyć jeszcze wypada, że na zgromadzeniu przedwyborczém w Krobi (dnia 24 lipca r. b.), wystąpił Stanisław hr. Czarnecki z Pakosławia z wnioskiem szerszego znaczenia, mianowicie, aby poznański komitet prowincjonalny połączył się z komitetami Szlązka, Warmii i Prus Zachodnich, w celu stworzenia na sejmie większej łączności niż dziś między Polakami w państwie pruskiém. Zebranie przyjęło ten wniosek i poleciło delegatowi swemu przedstawić go walnemu zebraniu delegatów w Poznaniu. Sejmiki przedwyborcze na Szlązku i w Prusach zgadzały się ochoczo na takie postąpienie; lecz pomiędzy poznańskimi sejmikami przeważała opinia nieuznająca chwili obecnej za stosowną dla tej nowej procedury przedwyborczej (Chodzież, Wągrowiec, Kościan, Opalenica), chociaż nie brakło i takich zebrań, które wnioszek hr. Czarneckiego gorąco popierały (Leszno, Inowrocław, Ostrzeszów, Bydgoszcz) ¹⁾. * *

Myliłby się jednak, ktoby patrząc na to, jak zgromadzenia wyborcze gromadnie odbywają się i jak skwapliwie dzienniki je zalecają i con amore opisują, ktoby sądził, że społeczeństwo nasze zaprzęta się niemi zbyt gorliwie. Tak nie jest. Lud właściwy idzie wprawdzie, jak zowie, na głoski, ale uprzednio nie troszczy się wcale o czynny współdziałanie w organizacyi wyborczej. Mozoł i starania przypadają w udziale pewnej tylko liczbie inteligentniejszych i gorliwszych obywateli, tak wiejskich, jak miejskich, tak duchownych jak świeckich. Póki trwała era zaciętej walki państwa przeciw Kościołowi, walki jaknajfalszywiej „kulturkampfem” (wojną o zdobycze cywilizacyi) zwaną, znachodziło się zawsze jeszcze u nas dosyć energii i przed walką i wśród walki wyborczej. Masy łatwiej było prowadzić, bo przygotowane już były widokiem klęski moralnej, która ich bezustannie doty-

¹⁾ Red.

kała, i do pewnego solidaryzowania się z inteligencją przynaglała. Dziś trwa wprawdzie ciągle jeszcze, mianowicie u nas ta „krzyżacka wojna,” ale przybrała ona cokolwiek łagodniejsze formy, które pragnęlibyśmy widzieć choćby w tej okoliczności, że księża tak zwani majowi, to jest wyświęceni podczas kolizyi państwa z Kościołem i niedopuszczani przez rząd do funkcyi kapłańskich, obecnie obowiązki kapłańskie sprawować mogą, nie podlegając już, tak jak dotąd, karom pieniężnym, więzieniu, lub wcale wygnaniu. Nie śmiemy przesądzać, ale obawiamy się, żeby wyborom obecnym nie brakło dawniejszej chwalebnej energii i solidarności.

Co się tyczy walki państwa przeciw Kościołowi, możnaby wprawdzie dopatrzeć się oznaków, zwiastujących niejaki zwolnienie rządu w swojej zarliwości bezwyznaniowej, ale o odstąpieniu od zasady praw majowych mowy nie ma wcale. Prusacyzna, wzrosłszy w potęgę przy pomocy bezwyznaniowego liberalizmu, dąży ostatecznie do urzeczywistnienia prędej czy późniejszej, doktryny protestanckiej o kapłaństwie powszechnym świeckich ludzi. Idea ta pracować nie przestanie nad poniżeniem Kościoła, przynajmniej w granicach stosunków, mających z państwem bezpośrednią styczność. Modus vivendi może być choćby jaknajlepiej na razie ułożony i zaakceptowany, ale bodaj coś nad to. Prusacyzna widzi w zawarciu trwałego pokoju między rządem a Kościołem, to jest pokoju takiego, któryby zapewnił Kościołowi wolność w szerszych rozmiarach i powrócił mu odebrane prawa, największe niebezpieczeństwo dla protestanckiej doktryny. I nie chodzi tu o prąd konserwatywny lub liberalny, bo każdy z nich o to samo, chociaż innemi drogami, dobijać się będzie. Pierwszą kwestyą w danej chwili jest: czy złożeni wyrokiem państwowym z urzędów biskupi, wrócą na swoje stolice lub nie. Sądzymy z wielu wskazówek że wrócą wszyscy, prócz jednego naszego arcybiskupa. Jeśli wypadki zaprzeczają temu złowieszczemu przewidywaniu, pierwsi cieszyć się z tego będziemy, tymczasem zaś żywimy to smutne przeświadczenie, że jakeśmy na więcej ucierpieli przez ten liberalny wandalizm, tak najmniej pociechy z chwilowego załatwienia tej namiętnej walki odniesiemy. Jak się zresztą sam episkopat na swoje położenie zapatruje, wskazują słowa nowego biskupa Trewiru, wyrzeczone przy pożegnaniu jego parafian sztrasburskich z kazalnicy. „Prosiłem, mówił on, Ojca Ś., żeby mię uwolnił od tego ciężaru, bo widziałem całą mękę, jaka mnie czeka. Nadaremnie. Kiedym się gotował na konsekracyą, kzy mi się puściły z oczu i byłem przygnębiony na myśl tego, co mi przejść wypadnie.”

W tej chwili nawija mi się rozprawa słynnego nacyonal-liberała prof. d-ra Gneista, który z naukowego stanowiska chce reprezentować ową, wyżej wskazaną doktrynę protestancką i który opinią swoją o stosunkach kościelno-państwowych w Niemczech z wielkim zapałem i niemniejszym namaszczaniem wykłada w jednym z najbardziej czytanych pism niemieckich, mianowicie w „Gegenwart.” W Niemczech,

powiada Gneist, wynikają z istnienia dwóch Kościołów olbrzymie trudności, które usunąć może tylko wyraźna zasadnicza państwowa polityka. Państwo musi stać przy jednolitym (!) prawie małżeńskim oraz familijném, musi stać przy jednolitym (!) systemie państwowego wychowania ¹⁾, musi szkołę w zupełnej mieć mocy i niepozwoić żadnemu innemu czynnikowi mieszać się do niej. Chodzi tu, kończy Gneist, o samo istnienie protestantyzmu, a z nim i Niemców.

Z dziedziny umysłowej nie wiele mamy do zapisania. Posucha, jaka życie nasze kurczy, udziela się i sferze duchowej. Pism i pismek, aktualnością się trudniących, jest dosyć; ale ta strawa codzienna jest w ogóle prostém odbiciem sytuacji, nie dostarcza promienia, sięgającego do ogniska dodatniej przyszłości. Z rzeczy historycznych zasługuje na szerszy rozbiór: „Liber beneficiorum Łaskiego.” Wydał dzieło to, z poręki Tow. Przyjaciół Nauk, podług rękopiśmiennych kodeksów, będących w archiwum Gniezna i Kalisza, ksiądz dr. Łukowski, uwagami zaś i żywotem Łaskiego uzupełnił je ksiądz licencyat Korytkowski. Tom II zawiera historyczną krytykę, dotyczącą badań nad początkiem księgi, wykazuje jej znaczenie prawne i językowe. Monetom, wagom i miarom poświęcił uczony ks. Korytkowski osobne gruntowne studia. Poczém opisane są cztery archidyakonaty archidiecezyi Gnieźnieńskiej, t. j. kaliski, wieluński, łowicki i łęczycki. Pod koniec tomu następuje wykaz imion własnych, miejscowości i nazw technicznych, oraz dodana jest mapa archidiecezyi Gnieźnieńskiej, sporządzona własnoręcznie przez ks. Korytkowskiego, a rytowana przez Dmóchowskiego. Archidyakonaty łowicki i łęczycki, liczyły razem 142 kościoły (7 klasztornych), archidyakonaty kaliski 89 kościołów (7 klasztornych), archidyakonaty wieluński 42 kościoły (3 klasztorne).

Nakładem Tow. Przyj. Nauk wyszła niedawno, przeznaczona dla uczącej się młodzieży, książka St. Karwowskiego p. t.: „Wiek XVI, czyli dzieje odkryć, przeobrażeń politycznych i reformacji.” Autor, z Księstwa rodem, jest nauczycielem gimnazjalnym „dla dobra służby” w Saganie, na Szlązku. P. Karwowski drukował już poprzednio rozprawę historyczną o Lesznie, o której wzmiankowaliśmy swego czasu i rozprawę o Infantach polskich.

Zapowiadane od miesiąca „Pisma zbiorowe ś. p. ks. prałata Koźmiana,” dotąd jeszcze nie wyszły; ale mieliśmy sposobność przejrzeć spis rzeczy. Są to już drukowane przed laty, przeważnie w „Przeglądzie poznańskim,” rozprawy i inne prace ś. p. prałata. O ile dzisiaj czytane będą, nie przesadzamy; ale tyle pewna, że odczytywać je będą dawni znajomi ś. p. ks. Jana, odświeżając sobie w pamięci dni ubiegłe, w których rozpoczęła się walka formującej się falangi t. z. ultramon-

¹⁾ Określenia te nie są dosyć jasne, zwiły tekst niemiecki z właściwą sobie nomenklaturą literalnie przetłumaczony, nie przedstawia dokładnie całego poglądu autora.

tanów w W. Ks. Poznańskim, przeciw zbytniej luźności przekonań religijnych, przeciw indyferentyzmowi religijnemu, jaki około r. 1840—1848 wśród młodzieży uniwersyteckiej panował. Dużo podniosłych myśli przypomni się uczestnikom walki, zobaczą dużo konsekwencyi przeczuwanych, a niekoniciecznie dobrych dla spójności społecznej i nie raz przyjdzie, w tym jak gdyby herbaryuszu, spojrzeć na pojedyncze typy objawów, które dziś widzimy przed sobą w pełnej akcji.

Ot i wszystko, co z dziedziny piśmiennictwa zanotować przyszło. Pragnęłaby dusza nasza zaczerpnąć z wysokiego nieba jakiś promienną, skrzydlatą myśl, wznieść się ku przybytkom jakiś harmonii, odetchnąć całą piersią gdzieś, wśród wyżyn, sięgających błękitu, a tymczasem przytłacza ją ciężka atmosfera. Tuż, tuż dosięga każdego z nas wymierzona fala powietrza i ścieśniający się zakres przestrzeni; trzeba szamotać się bezustannie z interesami materyalnemi, aby nas grubiańska ich siła nie przygniottała. Walka na małej przestrzeni przybiera coraz jaskrawsze formy eksterminacyjnego najazdu i przy dzisiejszych szybkich tętnach życia, wszystkie zasoby wpadają w wir tych sfer wzajemnie się ograniczających, wszystkich oddech coraz bardziej przyspieszony.

Przebudowanie frontowej kamienicy, która należy do Tow. Prz. Nauk, już rozpoczęte. Zważywszy, że środki Towarzystwa ograniczone, byłaby robota ta ryzykowną, gdyby nie pomoc zamożniejszych obywateli, z których jedni cegłę, drudzy belki, trzeci deski dostarczają, podczas gdy innych wielu z pieniężnemi śpieszy datkami. Doszły one dziś do 4000 marek, a czytamy ciągle o nowych składkujących. O rozprawach, czytanych na posiedzeniach Tow. Przyj. Nauk, nie będę dzisiaj pisał, zostawiając sprawozdanie o nich na koniec roku, aby jednym rzutem objąć te strony działalności Towarzystwa i zwrócić zarazem uwagę, jak obręb jego czynnych członków szczupleje, głównie wskutek przeszkód mniej lub więcej wyraźnie stawianych rozwojowi całej tej instytucji, opartej na pracy umysłowej przez rząd, który na czele cywilizacji europejskiej chętnie się stawia.

Praca, praca, na każdym kroku, o każdym czasie, powtarzamy sobie; ale, jak powiedział poeta: „nie dość jest na rozkazie, daj siłę z rozkazem.” Ta siła z wewnątrz wprawdzie przedewszystkiem płynąć i wyrabiać się musi, ale i zewnątrz nie sprzyjać muszą jej wyrabianiu pewne nieodzowne warunki. Gdy te nie dopisują, duch albo się rozprasza, albo tak się więzi w samym sobie, że wypaczyć się gotów i wyrodzić w pewien rodzaj rezygnacji, zakrawającej na pesymizm z dewizą: *après nous le déluge*. Tak daleko nie doszliśmy, dzięki Bogu, ale... nie trzeba w żaden sposób łudzić siebie i drugih i wmawiać w siebie, jak to czynią niektórzy z pośród nas, że im gorzej, tém lepiej, bo tém bliższem jest „lepsze.”

I znów odbiegliśmy od naszego kronikarskiego zadania. Przypiszcie digresye te nie czemu innemu, tylko niepodobieństwu utrzymania

się na linii wyznaczonéj, gdy chodzi o najżywotniejsze interesa, których zagrożenie porusza i kronikarskie pióro, skoro niém władza ręka żywego członka społeczności.

Od czasu ostatniej méj z kwietnia kroniki, zaszło znów kilka wypadków śmierci, które zapisać wypada. A nasamprzód zmarł, po 40-letniej działalności, były profesor gimnazjum Ś. Maryi Magdaleny Wannowski. Wspominając o nim, wrywam poniekąd kartę z własnego pamiętnika. Kochał on młodzież i był przez nią kochany dla swéj wielkiej bezstronności, idącej w parze z wielkiem zamiłowaniem wykładanego przedmiotu, jakim były języki starożytne. Cóżto on nie nabiadał się, jak gdyby nad nieszczęściem, gdy uczeń źle użył „oratio obliqua,” lub gdy wcale „ut” napisał „cum indicativo!” Rok cały gotów był pamiętać podobne błędy. Dziwnym zbiegiem okoliczności, dano mu redagować jedyną, do r. 1845 wychodzącą u nas gazetę: „Gazetę W. Ks. Poznańskiego.” Był to bezbarwny, suchy zbiór wiadomości politycznych, a zacny profesor w niczém się nie przyczynił do jéj ożywienia, bo i nie było to zaiste pole dlań stosowne. Jego obchodziły języki starożytne i postęp uczniów w władaniu nimi i w zrozumieniu ich, a nie żadne inne postępy, lub spory o nie. Pochodził ś. p. Wannowski z dawnéj litewskiej familii. Syn fizyka powiatowego w Białostoku, urodzony w początku wieku bieżącego, zwiedzał tameczne gimnazyum, poczem uczęszczał na uniwersytet Królewiecki, będąc tamże na funduszu Radziwiłłów. W r. 1824 uzyskał stopień doktorski i uczył w gimnazyum Królewieckim języków starożytnych. Od r. 1829 przeniesiony do Poznania, urzędował w gimnazyum Ś. Maryi Magdaleny przez lat 40. W środku września pomienionego roku wziął dymisją, na której odgłos zjechali się z całego Księstwa byli jego uczniowie wszelkiego wieku i stanu, aby go uczcić pożegnalną ucztą i wręczyć mu album, do którego każdy uczeń dał swą fotografią, wraz z datami szkolnemi, a nieraz i predykatem z łaciny i grecczyzny. Ś. p. profesor miał dwóch braci: Leopolda i Felicjana, z których jeden był prefektem, a drugi profesorem i superintendentem kalwińskim, jeden był, do niedawna jeszcze, kalwińskim księdzem w Słucku, drugi jest obecnie ministrem wojny imperium rosyjskiego.

W tym samym, co ś. p. Wannowski, miesiącu, umarł i kanonik Grandke, mąż wielkiej skromności, a długoletni podskarbi Towarzystwa pomocy naukowej. Sprawował on urząd ten bezpłatny z wzorową gorliwością i zamiłowaniem. Przez śmierć ś. p. kanonika Grandkego zesłała kapituła poznańska do liczby 4-eh kanoników. Czterech umarło od r. 1874, dwóch zmuszonych jest siedzieć poza granicami Pruskiego państwa (biskup sufragan Janiszewski i kanonik Kurowski).

Dnia 16-go sierpnia umarł po dłuższém niedomaganiu Anastazy Radoński, ostatni z ośmiu braci-weteranów, w 69 roku życia. Zmarły nigdy pracy ani trudu się nie lękał. Cały żywot jego był usługą publiczną oddany. Ś. p. Anastazy pojmował obowiązek życia, jako słu-

zbę obywatelską na każdym polu. Porucznik oddziału Karola Różyckiego, powróciwszy z więzienia w Austrii, osiadł w Krześlicach i przez 50 lat brał czynny udział we wszystkich sprawach naszego Księstwa. Przedewszystkiém wspomnieć należy o długoletniém ucześnictwie zmarłego w sejmie prowincjonalnym. Piastował on urząd ten poselski z wielką gorliwością, a będąc członkiem komisji różnych, oraz przewodniczącym wydziałów, miał sobie za obowiązek popierać rodaków na posady przy instytucjach prowincjonalnych; czynił to jednak z taką przezornością, że gdy przed paru laty z powodu słabości złożył tę godność, członkowie sejmu prowincjonalnego, aczkolwiek większość ich stanowili Niemcy, złożyli w osobnym adresie hołd jego zasługom. Ś. p. A. Radoński postował pewien czas i w Berlinie, w ostatnich zaś czasach stał na czele komitetu prowincjonalnego wyborczego. Było to stanowisko tém trudniejsze, im bardziej społeczeństwo nasze rozbijało się na koterye. Zmarły potrafił zachować nawet w tém położeniu bezstronność i stać się tym sposobem nader użytecznym sprawie. Ś. p. Anastazy zostawił po sobie nietylko znaczny majątek, dobrze zagospodarowany, dla potrzeb dobra powszechnego zawsze otwarty; ale i zaszczytną pamięć i przykład godnego, brzydzącego się samolubstwem i hipokryzją obywatela. Pełen prawdziwego poświęcenia, umiał sprawiedliwie sądzić tych, co je dla zachowania pozorów kłamali.

A teraz pozwólcie mi na zakończenie następującej uwagi. W dotychczasowych korespondencyach starałem się zawsze pisać prawdę, nie upiększając, ale też i nie szpecąc rzeczy i spraw tutejszych, mam więc, jak tuszę, pewne prawo odezwać się w obec zbyt surowego zarzutu, jaki wymierzył przeciwko W. Ks. Poznańskiemu szanowny Jubilat Kraszewski. Gdyby to odnosiło się do ogółu, co p. Kraszewski napisał świeżo w „Kłosach”: „że nietylko ziemię sprzedajemy Niemcom, ale że i dawna uczciwość, dawny wstyd i obawa opinii, nikną w pogromie,” w takim razie nie warto jużby było nami się zajmować. Nie tajno nikomu, że społeczeństwo nasze dotknęły zawody sromotne; wiadomo powszechnie, że chromieją nasze instytucye, wysiłkami wielkimi wzniezione, a przez egoistów burzone; wiadomo, że rozbija się do pewnego stopnia społeczność nasza bezustanną kłótnią koteryi i nanoszeniem do polemiki motywów napozór religijnych; ale nie wyrzekliśmy się dlatego jeszcze przyszłości, chociaż gwiazdę jój przewodnią zalegają zbyt często tumany kurzawy, jaka powstaje z rozbijania gmachu nietylko przez siłę zewnętrzną, ale i przez samolubny pesymizm z jednej i grzeszny optymizm z drugiej strony między nami samymi. Ktoby jednak z czystém sumieniem ze stanowiska cnoty obywatelskiej chciał nas dokładnie osądzić, ten musiałby nietylko patrzeć z perspektywy, chociażby ona była jaknajznamienitszą; ale ten powinienby żyć wśród nas i z nami i to przez dłuższe lata prześladowań i przemocy buty krzyżackiej, pracującą nad zniweczeniem indywidualności naszój!

O POLSKICH PRZEKŁADACH

TRAGEDYI SOFOKLESOWYCH *).

NAPISAŁ

Roman Zawiliński.

W oceniu przekładów Kaszewskiego zarzuca mu p. Węclewski, że w chórach szczególnie niewypełnione i niezaokrąglone przez Sofoklesa myśli, wypełnia bez jakiegokolwiek wskazówki. Rzeczywiście, trudno jest być wiernym co do słowa w przekładzie chórów, posiadających, obok trudności dykcji, tę trudność drugą, że nadwreżone w tekście zębem czasu w wielu miejscach, zupełne luki mieć się zdają. Ale czyż należy znowu czynić zarzuty tłumaczowi, że jedném lub drugiem słowem stara się to w przekładzie zaokrąglić i w ten sposób dać czytelnikom postać chóru jaśniejszą i zrozumialszą, zwłaszcza, jeżeli to uczynione w sposób mało dostrzegalny, w sposób, który nie psuje ani myśli, ani dykcji oryginału?

W staraniu o wniknięcie w uczucie i myśl poety i w oddaniu ich artystycznie pięknym językiem, w pochodzie za natchnieniem i siłą dykcji Sofoklesa, nakoniec w oddawaniu poważnych i wspaniałych postaci tragedji greckiej, okazał się p. Kaszewski niezrównanym, co w połączeniu z dykcją jasną i w wielu miejscach nawet starożytną (choć to się rzadko zdarza i ujemną stronę dykcji stanowi) daje najlepsze świadectwo tłumaczowi. Dążył on do przekładu artystycznego i uzyskał go bezsprzecznie, a jeżeli w niejednym miejscu ścisły filolog łatwoby mu mógł wykazać zbyt wolne postępowanie z tekstem, ogół polski zawsze dotąd oddaje mu w przekładach palmę pierwszeństwa.

Cośmy powiedzieli o Antygonie, to się da mniej więcej zastosować do wszystkich następnych tragedji, pojawiających się w małych przerwach tuż po sobie. „Edypa w Kolonie“¹⁾, zaopatrzył p. Kasze-

*) Dokończenie — patrz zeszyt za wrzesień r. b.

¹⁾ „Edyp w Kolonie.” Tragedya Sofoklesa: tłumaczył z greckiego Kazimierz Kaszewski. Warszawa, 1854.

wski również wstępem, odnoszącym się ściśle do wyttómaczenia mytu przedstawionego w tragedji i do skreślenia charakteru działających osób. W dyalogu użył tłómacz dłuższego od wiersza oryginału, wiersza 13-to zgłoskowego żeńskiego, mającego w sobie więcej od jedenastozgłoskowego powagi. W chórach pozostał p. Kaszewski, co do wewnętrznej strony, takim samym, jak w Antygonie, co do zewnętrznej zaś, to tylko chór ostatni zachował miarę i ilość wierszy równą, poprzednie zmieniają się ciągle.

W dykcji napotkaliśmy usterki: na str. 7 użył p. Kaszewski wyrazu „ziemotrząś“ w znaczeniu trzęsienia ziemi. Wprawdzie wyraz taki, ze zmianą końcowej spółgłoski na twardą, istnieje w języku polskim i użył go L. Siemieński w przekładzie Odyssei, ale u niego „ziemotrząś“=hom. *ἐννοσίγαιος* jako epiteton Posejdona. Na str. 10 nie wiemy, co może znaczyć wyraz „hydź się“ w wierszu:

I czcij i hydź się równo z drugimi.

Drobizgi te przecie nie wpływają na charakter całości, w której podnieść należy przedewszystkiém I śpiew chórowy, przełożony bardzo gładko, a po nim III niewiele od poprzedniego gorszy.

W rok po „Edypie w Kolonie,“ ukazał się tego samego tłómacza przekład „Edypa króla“¹⁾. Niema ten przekład żadnych wybitnych cech ani właściwości, któreby go od poprzednich wyróżniały, bo wykonany prawie równocześnie z tamtymi, dzieli ich zalety w zupełności. Z chórów najpiękniejszy ostatni, a we wszystkich jest znowu ta niejednostajność w formie co do równości wierszy strofy i antistrofy, o której już mówiliśmy, tylko że w tym przekładzie jeszcze w większym stopniu. Miałożeby powodzenie, uzyskane przez poprzednie przekłady, wpływać na tłómacza tak niekorzystnie, że w pośpiechu mniej baczną zwracał na chóry uwagę? Podniesione zalety spostrzegliśmy tylko w I chóru drugiej strofie i antistrofie i cokolwiek w chórze V. Z usterek językowych przytoczyć wypada wyrażenie na str. 263 „kadzidł woni“ dla rytmu zepsute; na str. 443 „panowi (miła)“ zam. ogól. pol. formy „panu”²⁾. Za niestosowne uważamy téż przełożenie greckiego wyrazu *αυαξ* przez wyraz „król“ (str. 272 i 273) w odniesieniu do Teirezyasa (nie Tirezjasza ani Tirezego) wieszczka i kapłana, albo subst. *χιρῶς* przez nasz wyraz „woźny“ (str. 430 i 432); pierwsze nie zgadza się z naszymi pojęciami o królu i możeby lepiej było zastąpić je wyrazem „władzcą“ lub „książę“ (wszak i u Słowian książę a kapłan mieli wspólną nazwę KNIAŻ), w drugim lepiej było zachować ten wyraz keryx, jak to uczynił L. Siemieński w Odyssei, bo

1) „Edyp król.“ Tragedya Sofoklesa: tłómaczył z greckiego K. Kaszewski. „Bibl. Warsz.“ 1855 r., t. III; str. 250—285 i 426—456.

2) P. Zawiliński zapomina o tém, że jest tu mowa o bożku „Pan,“ a nie o rzeczowniku „pan.“ *Red.*

nasz „woźny“ nie da należytego publiczności o godności Keryxa wyobrażenia a ujmie jęj tylko powagi i znaczenia.

„Edypa króla“ poprzedza rozprawa wstępna. Po uwagach o znaczeniu i o potrzebie przekładów klasycznych, po dotknięciu kwestyi walki romantyzmu ze źle zrozumianym, przez winę Francuzów, klasycyzmem, czuł p. Kaszewski potrzebę wypowiedzenia swoich zapatrywań na stosunek tłumacza do oryginalnego poety, zwłaszcza teraz, kiedy trzecim z rzędu przekładem Sofoklesowym zamykał w tym dziesiątku lat seryą swoich przekładów. Jeżeli z jednej strony podobne niejako usprawiedliwienie się w obec czytelników było nadto zbyteczne, bo same przekłady świadczyły o tém, jak p. Kaszewski zadanie swoje, jako tłumacza, pojmował; to z drugiej strony, to otwarte wyjawienie zasad, posłużyć tylko może do przekonania się bliższego, jak dalece odpowiedział p. Kaszewski stawianym sobie wymaganiom. Wiemy już, jak się starał o formę zewnętrzną, co do wewnętrznej zaś, to w ten sposób odzywa się p. Kaszewski:

„Pod względem formy wewnętrznej, trzy rzeczy winniśmy byli przedstawić w języku: siłę, prostotę i koloryt wieku. O ile znajomość języka własnego dozwalała nam, o tyle staraliśmy się unikać w wyrazach i wyrażeniach wszelkiej wykwintności i anachronizmów, któreby trzy poprzednie warunki nadweryżyły. Z pokorą wszakże wyznać musimy, że nie wszędzie udało nam się zachować zamierzoną dokładność. A lubo religijnie poniekąd pragnęliśmy w całej czystości oddać każdą po szczególe myśl oryginału, to wszakże albo dziwaczność wyrażenia, na które języki w ogóle nowożytnie, nie mają takiej samej formy, albo mechaniczna jakaś niezwalczona przeszkoda, sprowadziły nas gdzieniegdzie z zamierzonej drogi.”

To, co sobie tu tłumacz postawił za zadanie i do czego się „z pokorą” przyznaje, jako do niespełnienia zamiaru, chcielibyśmy odnieść przedewszystkiem do trzeciej z owych rzeczy, które chciał tłumacz przedstawić w języku, do kolorytu wieku. Że ma siłę dykcyi, o tém już wspomnieliśmy, i tęg mu nikt nie zaprzeczy, iż potrafi być prostym a nawet naiwnym, gdzie tego rzecz wymaga, o tém się łatwo przekonać z ustępów rzewniejszych a nawet z niektórych śpiewów chórowych; ale brak mu „owej starożytnęj śniedzi,” o której wspomina L. Siemieński, brak mu zdolności utrzymania nas zawsze wyobraźnią w wiekach przedhistorycznych. Trudno atoli robić z tego zarzut samemu p. Kaszewskiemu; jestto rzecz, którą się czuje, ale której wyrazić trudno a nawet określić, a takich delikatnych odcieni szukać w przekładzie, jestto stawiać wymagania nawet ponad miarę oryginału.

„I tak, łamiąc się z trudnościami, w ciągu blisko lat dwóch, dokonał p. Kaszewski przekładu trzech tragedyi Sofoklesowych, któreśmy poznali. Długi czas potém, bo lat dziesięć, nic w tym rodzaju nie wydał, chociaż trudno było uwierzyć, że zaprzestął tak pożytecznej a wdzięcznej pracy. Dopiero w r. 1865, jakby dla przypomnienia się umieścił przekład „Trachinek“ Sofoklesowych w „Bibliotece Warsza-

wskiej ¹⁾. Na wstępie uderzyć musi każdego, nie zastosowywany przez p. Kaszewskiego w poprzednich przekładach podział tragedji greckiej na sceny. Całe „Trachinki“ składają się z XIII scen tak, jak gdyby cała tragedia odpowiadała naszemu jednostkowemu dramatowi. A przecież tak nie jest. „Trachinki“ równie, jak poprzednie, i wszystkie w ogóle tragedje Sofoklesa zawierają prolog, epejsodya (5) parodos, stasimony (4) i exodos ze śpiewem *ἀπὸ σκηνῆς*, a nadto jeszcze śpiew hyporchematyczny przy końcu pierwszego epejsodyon, są więc tak samo zbudowane jak wszystkie. Możnaż te pojedyncze części tragedji nazywać scenami? możnaż je podawać jako takie w przekładzie, który nam ma nawet zewnętrzną formą dać o ile możności, wyobrażenie o klasycznej tragedji greckiej? Nie wiemy, z jakiego powodu uczynił to p. Kaszewski, bo w przedmowie nic o tém nie wspomina; w każdym razie za zaletę tego uważać nie możemy, ani za postęp w zawodzie tłumacza. Musimy za to podnieść tę okoliczność, że tłumacz zachował tu czystość i piękność dykcji w całej rozciągłości; z pieśni chórowych uwidatnia się szczególniej pieśń 3 (str. 30 i 31), w której mamy nawet pożądane zalety zewnętrzne, a nadto epodos chóru II (str. 27), śliczny ustęp liryczny, przypominający niejedną z naszych wdzięcznych piosnek ludowych:

W jeden, w drugi tura róg
 Cięcie, strzała pada,
 A tych gęstych ciosów huk
 Na polach osiada.
 To się zwiną w jeden splot,
 Tłuką czołem w czoło;
 Ryk z ich piersi, jakby grzmot
 Rozlega się wkoło.
 A nad cichym brzegiem wód,
 Na wzgórzu, zdaleka,
 Siedzi dziewczę, wdzięków cud
 I na męża czeka.
 Jak jałówką odstąpiona,
 Z matczynego domu,
 Za zwyciężczą poszła ona:
 W nagrodę pogromu.
 Takie wypadki zaszyły tam,
 Które z matczynej wieści znam.

I oto wszystko, cobyśmy w szczególności, bez powtarzania ogólnych zalet, o przekładzie „Trachinek“ powiedzieć mogli, i tém też zamykamy przegląd przekładów p. Kaszewskiego. Trudno przypuścić, aby tłumacz na tych przekładach poprzestał; wielostronna jego działalność i zasługi, położone około przekładów w ogóle, a w szczególności

¹⁾ „Bibl. Warsz.“ z r. 1865. Tom II, str. 1—50.

ści mile przez publiczność przyjęty przekład czterech tragedyi Sofoklesa, nie zraziły go chyba od przedsięwzięcia, aby, mając już większą połowę, nie dokonać reszty i nie wzbogacić naszej literatury przekładem wszystkich pozostałych Sofoklesa tragedyi, przekładem prawdziwie artystycznym i przystępnym dla szerszego publiczności koła ¹⁾. Ma bowiem p. Kaszewski ten dar, za pomocą którego (jak mówi p. L. Siemieński), umie wygrać obcy utwór na swoim instrumencie tak mistrzowsko, że każdy wziętyby przekład za jego własność. za oryginał; ma dar poezyi, który mu pozwala odczuć i wcielić się w myśli poety, aby je potem tém swobodniej i piękniej przedstawić. Dar to wielki i cenny, który bodaj wszyscy mogli posiadać tłumacze.

Widocznie dawała się czuć potrzeba zaznajomienia publiczności polskiej z tragikami starożytną Hellady. Prof. Węclewski, filolog z powołania, chciał uczynić zadosyć potrzebie i wypełnić ten brak w naszej literaturze, który był coraz dotkliwszym i postanowił systematycznie obdarzać nas przekładami trzech największych tragików greckich. Sporadycznie pojawiły się przekłady Choeforów i Agamemnona Aischylesowego, „Trachinek“ i „Ajasa Sofoklesowego“, a wśród tego rosła całość, którą dopiero w r. 1873 i 1875 wydał jako publikacją dwutomową p. t.: „Tragiccy greccy.“ Zawarł w I tomie wszystkie pozostałe całe tragedye Aischylesa, w II Sofoklesa.

Kiedy się pojawił przekład „Aischylesowego Agamemnona“, pisze o nim L. Siemieński ²⁾:

„Najświeżej ogłoszone tłumaczenie „Eschylesowego Agamemnona“ przez Węclewskiego, ma już wybitniejsze zalety; wiersz biały, nie bez szczęśliwych zwrotów i trafnych wyrażeń, pozwala czytelnikowi dopatrzeć tych piękności, jakie się mieszczą w „Eschylu“, lubo nie powiem, żeby sposób oddania myśli i obrazów, nie już do życzenia nie pozostawiał; brakuje tych dotknięć mistrzowskich, co jednem słowem, jednym zwrotem ożywiają cały obraz, a przecież w „Orestei“, a szczególnie w „Agamemnonie“ pełno jest miejsc porywających poezią.”

Przytoczywszy jedno z takich miejsc, pisze dalej:

„Zawsze mniemam, że to miejsce, jak tyle innych tej tragedyi, obfitujące w pierwszego rzędu myśli, sytuacje, obrazy, mogłoby lepiej być oddane; twierdzę nawet, że rymowy przekład nieby nie uronił, a jeszcze ożywił i podniósł, bo to pewna, że rym tak niezbędnym w naszej poezyi, mimo wszelkich prób unikających go, nie jest zawadą w rękę mistrza a zawsze dzielnym środkiem w artystycznie skończonym odwzorowaniu oryginału. Ci, co narzekają na te więzy, kępujące swobodę i wierność tłumacza, czemuż nigdzie nas nie przekonali, aby przekłady prozą lub wierszem białym nie pozostawiały nic do życzenia? Jeżeli to ma być koniecznym ułatwieniem, niechże pociągniętą będzie granica między przekładami li gramatycznymi, jakie służyć

¹⁾ P. K. tłumaczył jeszcze 5-tą tragedją „Filoktet“ w „Ateneum“
Warsz. Red.

²⁾ „Czas“, dodatek miesięczny; tom V z r. 1857, str. 431—434.

mogą uczącym się starożytnych języków z przekładami, mającemi się przyczynić do wzbogacenia naszej literatury. Środek, łączący te dwa zadania, a nie odpowiadający całkowicie żadnemu, musi wydawać niesmaczne plody.“

„Wracając do „Agamemnona“ p. Węclewskiego, mam jeszcze dołożyć, że tłumacz w chórach, których Eschylosowe tragedye mają najwięcej i to olbrzymich lirycznych piękności, widział potrzebę uciec się do rymu, jakby tej samej potrzeby nie było i w części czysto dramatycznej? Wszakże tak w wierszu, jaki obraz, jak w rymach, które rozprószył, niepodobna dopatrzeć się ani muzykalnej harmonii, bez której niema poezji lirycznej, ani jasnego sensu (sic!), bez którego znowu nic być nie powinno. Prawda, że chóry Eschylosowe są ciemne teksty poszarpane tysiącami lat, przeskokami gwałtowne, metafory niespodziane, ale dlatego w przepolszczeniu wypadało nadać temu szyk zrozumialszy, oddać przystępniejszym tokiem. Wezmę tę strofę, opisującą zamordowanie Ifigenii, śliczną jak płaskorzeźba z naczołka jakiej świątyni” (przytoczywszy): „Obrałem najszcześniejszą strofę, a nie mogę powiedzieć, żeby przekład odpowiadał duchowi tego obrazu, z jakim go Eschylos nakreślił, a choć z tak słabem rymowaniem nie oddał przecież tłumacz tego miejsca, jak w oryginale, gdzie Ifigenia na ofiarników rzuca z oka strzały, wzywające politowania βέγει φιλοίκτω. Ta właśnie plastyka stanowi jedną z głównych właściwości greckiej poezji i tylko poezją można jej podołać.”

Uwagi te, płynące z żywej przychylności dla tłumacza, zmierzają do tego, aby go pobudzić do nadania najwyższej doskonałości przekładom, które zapewne dokona, uzupełniając nam całą trylogią Oresteii. Główna tu rzecz tak opanować myśl oryginału, aby w przepolszczeniu nie odstąpić od rzeczy i to samo powiedzieć, tylko w tonie nie rażącym naszego ucha, ani naszego pojęcia.

Dłuższy ten ustęp przytoczyliśmy umyślnie, raz z powodu znakomitych ogólnych uwag tłumacza „Odyssei“, a powtórę dlatego, że trudno dać trafniejszą i dokładniejszą charakterystykę przekładów prof. Węclewskiego. Co powiedziano o przekładzie Agamemnona, to nie tylko jest charakterystyką Ajschylosa, ale nawet Sofoklesa; zmieńmy tylko w miejscach, gdzie się znajduje słowo Agamemnon, Oresteja i t. p. wyrazy i podłożmy odpowiednie z Sofoklesa, a charakterystyka pozostanie i tu doskonałą. Wszystko, co L. Siemieński powiedział o dykcji prof. Węclewskiego, o braku mistrzowskich dotknięć, o słabych poetycznie miejscach, porywających poezją w oryginale, o rymie i jego użyciu w chórach, wszystko to najzupełniej odnosi się i do przekładów Sofoklesa. Znać wpłynęły te uwagi tłumacza „Odyssei“ na prof. Węclewskiego, przynajmniej pod jednym względem, skoro ogłaszając we dwa lata potem przekład „Trachińskich dziewic“ Sofoklesa w tym samym dodatku do „Czasu“¹⁾, użył w nim rymu i w dy-

¹⁾ Rok 1859, tom XIV, str. 94—113, 260—276, 447—472.

alogowej części tragedyi. Przekład ten (że od niego zaczniemy) nie jest bez zalet, a uderza w nim ta chociaż ułudna swoboda w przekładaniu, która i lekturę miłszą czyni. Rym nie sprawiał znowu prof. Węclewskiemu takiej trudności, o jakiej z przekładu Agamemnona mieliśmy wyobrażenie, chociaż wyznać trzeba, że w kilku miejscach poświęcił dla jasności myśli, a nawet trafności wyrażenia np. na str. 101:

Ze hańbą się okryjesz, synu mój, nie do cieć,
gdzie na wędrowce bawi od tak dawna ociec.

albo na str. 106:

Na wygonie pastewnym Lichas poseł jawnie
ogłaszał w obec wielu. Ja słysząc nie bawnie
przybiegłem....

str. 262:

DEJANIRA. Pójdę, bo pójsz za radą dorzeczną nie wadzi.
GONIEC. My żali poczekamy? lub co czynić radziéj (?).

na str. 264:

Jakiéś więc winien uledez, skoro się pokaże
Żeś nieprawnie postąpił względem pani, karze?

gdzie przedmiot zdania pierwszego położony dla rymu aż po zdaniu drugim.

Niezbyt szczęśliwe są téż zwroty: „troskę z głowy wywabię ci“ (str. 105) „fałsz mówisz z pouki owego“ (str. 266), obok tych, które dzieli z późniejszym przekładem nierymowym, umieszczonych w zbiorze ogólnym: „upad do upadku“ (str. 102 w. 83) mytne ¹⁾ wojsko (str. 109 w. 244); „czy z grodozierców domu“ (str. 111 w. 300) „won“ (str. 450 w. 801) zam. pol. „precz!“

Co do ogólnego zbioru, nie rozumiemy, dlaczego prof. Węclewski nie umieścił w nim pierwszego rymowego przekładu, ale podał nowy wierszem białym, w którym widocznie i starannie unika rymu. Miałooby to być w celu poprawienia kilku wymienionych usterek, lub dla harmonii z innymi przekładami dokonany wierszem miarowym?

Zupełnie podobnie ma się rzecz z „Ajase“, którego przekład pierwszy pojawił się w „Bibl. Warszawskiej“ ²⁾, drugi w zbiorowém

¹⁾ Tłómacz w tém miejscu popełnił herezyj językową. Zamiast utartego wyrazu polskiego „najemny“ utworzył od niemieckiego czasownika *nehmen* (najmować) przymiotnik, może na wzór ogólnie w Poznańskim używanych galicyzmo-germanizmów np. *szykny* lub *latinizmo-germanizmu*: *obskurny*. Wyraz „mytny“ istnieje wprawdzie w języku polskim, ale w znaczeniu „od cła, od myta“ (*ross. mytnyj, mytennyj*) np. u Klonowicza *Flis. C. 1*:

my tne duńskie grody,
gdzie musisz płacić morskie cło od wody.

ale i w tém znaczeniu nie mógł go tu użyć tłómacz.

²⁾ „Bibl. Warsz.“ 1865 r.; t. I, str. 23—54, 400—423.

wydaniu tragedyi Sofoklesowych, tylko że tu czuje się prawdziwy żal do tłumacza, dlaczego pierwotnego przekładu nie zachował i dla ogólnego zbioru, dlaczego, jakby umyślnie, zepsuł wiele pięknych miejsc, zmazał wiele obrazów, które się w pierwszym przekładzie rymowym podobać musiały. Jednym z takich jest ustęp w I Epejsodion w. 396—492, przypominający pożegnanie Hektora z Andromachą, a następnie w Epejsodion IV, przy końcu, ustęp od w. 1077—1093 (str. 414), gdzie przez dwie przypowieści krótkie Menelaos z Teukrosem spór wiodą.

MENELAOS. Znałem męża, co gębą szermował zuchwale,
Zmuszając do wyjazdu wśród burzy żeglarzy,
A nie pisał, gdy wichur uniósł go w nawale,
Lecz cały zagrzebany w odzienie, z wioślarzy
Każdemu dał po sobie deptać według chęci.
Tak i krzyki twój gęby, która bez pamięci
Zuchwali się, gwałtowna niebawem przytłumi
Nawałnica, co z chmurki wypadłszy zaszumi.

TEUKROS. A ja widziałem człeka: głupi co się zowie,
Zwykł był w dumę się wzbijać w niedoli współbraci;
Wtém ktoś go zoczył, do mnie podobny z postaci
I równy duchem mi, i tak do niego powié:
„Nie znieważaj umarłych, bo gdy w tэм przewinisz,
Człowieku, sam do własnej biédy się przyczynisz.“
W żywe oczy chudzinie to mąż ów przekładał,
Wždy oglądam ją teraz, i jest nią tak sądzę
Nikt inny jeno ty sam. Czym zagadkę zadał?

Niemniej piękny jest téż ustęp od w. 382—393, w którym Ajas pragnąc śmierci i gotując się na nią, żegna otaczającą go naturę. W recenzji swojej porównywa p. F. Jezierski ustęp ten bardzo trafnie z monologiem Dziewicy Orleańskiej Schillera.

W ogóle język tłumacza zyskał od przekładu „Trachinek“ wiele na piękności i jędrności, zwroty stały się więcéj okrągłemi a nie rzadko spotkać można rzewne tony, stosownie do sytuacji. W dýkcyi tylko uderza wyrażenie, jak w. 279: „prowadząc psów, pasterzy,“ następnie archaizmy: „władarz,“ „szatry,“ „kawąc“ (wcale niezrozumiałe), które tłumacz w ogólnym tylko zbiorze popełnił. Przekład „Ajasa“ pierwotny tak co do formy, jak co do istoty przekładu, uważamy za najpiękniejszy z przekładów prof. Węclewskiego i żal nam tylko, że nie takim samym jest przekład w ogólnym zbiorze, ale że umyślnie pozbawiony artystycznój szaty, oddał pierwszeństwo naukowości nad sztuką.

„Filoktet,“ „Antygona,“ „Król Edyp,“ „Edyp w Kolonos“ i „Elektra,“ oto następnie szereg tragedyi w tym porządku po sobie następujących i obejmujących całość. Jestto może rzeczą mniejszój wagi, w jakim porządku po sobie umieścimy rzeczy niemające ze sobą związku, ale nie można zaprzeczyć, że, co do siebie należy, razem po-

winno być przedstawione. „Edyp król,“ „Edyp w Kolonos“ i „Antygona“ w tym porządku idą po sobie, jako ogniwa łańcucha mytu tebańskiego; wiedział to pewnie sz. tłumacz, a jednak w takim porządku nie podaje ich w przekładzie. Zwyczaj w zbiorowych edycjach, przez niemieckich filologów przyjęty porządek jest: „Ajas,“ „Elektra,“ „Edyp król,“ „Edyp w Kolonie,“ „Antygona,“ „Trachinki“ i „Filoktet;“ prof. Węclewski nie idzie za tym podziałem, ale też i nie zachowuje prawdopodobnego chronologicznego układu. Sam bowiem w przedmowie „O dziełach Sofoklesa“ str. XIX mówi, że najstarszym jest „Ajas,“ po którym następują z rzędu: „Elektra,“ „Antygona“ lub Antygona (Elektra), „Król Edyp,“ „Trachińskie dziewice,“ „Filoktet“ i „Edyp w Kolonos, a czegoż przynajmniej tego uzasadnionego nie trzyma się porządku? Jeżeli, jak przypuszczamy, tłumacz w tym porządku układa tragedye, w jakim jedną po drugiej przekładał, to jest to w ogólnym zbiorze małej wagi i nie powinno brać góry nad innym ważniejszym względem.

Chcąc mówić o każdej tragedyi z osobna, musielibyśmy powtarzać to samo o zaletach wiernego przekładu, mogącego zastąpić poniekąd oryginał, też samą podnosić w wielu miejscach wspaniałą dykcję i też samą w nastroju powagę. W szczególności powiemy tylko tyle, że z przełożonych wierszem miarowym, tylko „Elektra“ najwięcej się nam podobała, nadto że nas w „Antygonie“ uderzyły wyrażenia jak „dzienny“ w w. 751:

Z bóstw ci i z ludzi dziennych ujsć nie zdoła
Nikt...

odpowiadający gr. *φύσιμος* (qui effugit) pol. krótkotrwały (Kaszewski i „rad wszystkim“ gr. *παγκοινος* w w. 1057:

masz pieczę ciąglą nad rademi

Wszystkim świątami świętej Eleuzyiny (?).

w „Edypie królu“ mała ale rażąca niegramatyczność w. 334. Nie winienżeś powiedzieć mi to co się wyda? w w. 353: „przeznac“ użyte w znaczeniu: pojąć, zrozumieć; w. 115 „w potężnej Ciebie,“ podczas gdy przywykliśmy mówić i pisać „w Tebach“ (*Θηβαι, -ων*).

w „Edypie w Kolonie:“ w. 60 „zaszczepca“ =gr. *αρχηγος* i często używanie wyrazu „witez“ zam. znanego witez; w. 195 „wywiadać“ zam. wywiadywać; w. 524 „wiązarek“ (*δωρον*) wyraz utworzony podobną analogii wyrazu: podarek.

w w. 554 niegramatyczność:

nie mam prawa

pretensye rościć większo do jutra od ciebie.

Ukulecniwszy przegląd przekładów samych, niepodobna przemilczeć o tém, co je poprzedza i co po nich następuje. Na czele przekładów stoi wstęp, zaznajamiający czytelnika z życiem Sofoklesa i jego

dziełami, na czele zaś każdej tragedyi rozprawka wstępna, rozwijająca przed oczyma czytelnika cały zewnętrzny i wewnętrzny układ tragedyi, wykazujący pojedyncze motywa, kreślący charaktery na tle mytu za osnowę tragedyi służącego. Nie dosyć na tém. Każda tragedia ma „uwagi i objaśnienia“ na końcu tomu, rozsiewające szczegóły mytologiczne, estetyczne, a nie rzadko nawet krytyczne, i te dopiero zamykają tom cały.

O wartości wstępów i uwag, trudno tu wiele mówić; imię prof. Węclewskiego, najwięcej zasłużonego u nas na polu literatury filologicznej, daje dostateczną w tym względzie rękojmię, że zaś są lepsze od samego przekładu, który najlepszy pod względem filologicznym, artystycznym warunkom odpowiadać w zupełności nie może, o tém zda się sam szanowny tłumacz jest przekonany.

Niewielce przystępny dla szerszej publiczności przekład prof. Węclewskiego, zawsze rzetelne przynosić będzie korzyści dla cierpliwego czytelnika, a przyszły tłumacz wszystkich dzieł Sofoklesa, musi się z nim rachować, jako z dziełem prawie naukowym, owocem pracy kilkunastoletniej i badań sumiennych i ścisłych.

W rok, po ukazaniu się wszystkich dzieł Sofoklesa w przekładzie prof. Węclewskiego, wydał przekład „Edypa w Kolonie“ p. Jan Czubek ¹⁾. Przekład ten dziwne na nas sprawił wrażenie. Nie ma tłumacz ani siły dykcji i wierności Węclewskiego, ani wdzięku Kaszewskiego, a jednak jest w nim coś, co go pod pewnym względem od poprzednich wyróżnia, a nawet poniekąd nad nich wynosi: to swoboda w wierszu i potoczności, która nie znuży ani na chwilę, a naturalnością każe nieraz zapomnieć, iż to przekład i ludzi prawdą obrazowania. Dyalog żywy, płynący wierszem jedenastozgłoskowym żeńskim, ma przecie w niektórych miejscach mniej powagi, niżbyśmy się spodziewali. Chór przełożony dwa razy, z początku miarą greckiego wiersza, wcale szczęśliwie, chociaż zbytecznie, reszta zwykłym wierszem ośmizgłoskowym, który nie zawsze odpowiada nastrojowi uczuć poważnego starców chóru. Piękną jest prośba Antygony w I chórze (w. 241—262):

Przyjaciele, o czcigodni,
Skoroście mego rodzica
Nielitośnie odtrącili,
Na wieść jego strasznych zbrodni,
Oto ja, młoda dziewczica,
Stawam przed wami w téj chwili

¹⁾ Sprawozdanie dyrekcji c. k. gimnazjum w Tarnowie za rok szkolny 1876 i w osobnej odbitce: „Edyp w Kolonie.“ Tragedya Sofoklesa, przekładał J. Czubek. Tarnów u Styrny 1876. P. Jan Czubek jest obecnie profesorem filologii klasycznej i języka polskiego przy gimnazjum Nowodworskiem Św. Anny w Krakowie.

I za rodzicem jedynym
 Błagam opuszczona, biędna.
 O! patrzcie, starcy téj ziemi,
 Ja nie splamiona złym czynem,
 Oczyma patrzę własnymi,
 Jako z córek waszych jedna.
 Zlitujcie się, litościwi,
 Nad rodzica dolą srogą,
 Na was bowiem nieszczęśliwi,
 Polegamy jak na bogu!
 Niech waszych uszu doleci
 Ust mych wołanie serdeczne;
 Błagam was na Boga wieczne,
 Na dobytek, żony, dzieci:
 O! bo uciec nikt nie może,
 Kogo ściga ramię Boze.

Piękny następnie chór Stasimonu III (w. 1253—1294), ale słabe są wszystkie w ogóle w porównaniu z siłą wyrazów Sofoklesowych i nie uroczyste, choć w nich nieraz usłyszeliśmy drżącą strunę poetyczną tłumacza.

Do usterek większych zaliczylibyśmy dykcją nieraz drobiazgową i powszednią, do mniejszych opuszczenie w przekładzie w w. 332, 1125 i 1226; nadto wyrażenia, jak: „wypchli“ (w. 100) „bezwolnie“ (531) i zbyt jaskrawą zmianę wiersza 343. Nie brak też miejsc, gdzie dla zaokrąglenia zwrotu, musiał tłumacz dodać pewne wyrazy, ale to rzecz czasem niemal konieczna, a nie wpływająca na charakter całości, którą osobiwie ze względu na stronę artystyczną zewnętrzną, trzeba postawić w rzędzie dosyć удаłych przekładów. Pierwsza ta próba powinna zachęcić tłumacza do dalszej w tym kierunku pracy, której owoców oczekuje publiczność polska w nadziei, że im p. Czubek nie da czekać, aż się „jak figa ucukrują“ w tece, ale ogłosi drukiem przy najbliższej nadarzonej sposobności.

Są poeci, których nie wysokość talentu, nie siła geniuszu, stawiają przynajmniej na czas jakiś w rzędzie pierwszych, ale dziwne i niewytłumaczone szczęście i wdzięk w pozyskiwaniu sobie przyjaciół, wreszcie okoliczności przyjazne. Frańciszek Wężyk nie był wielkim poetą, ale miał wszystkie warunki aby być nim, i był jednym z tych ludzi, co w chwili pewnego zastoju umieli wlewać lub cucić ducha, umieli nawet postawić się na świeczniku narodu. Jedno tylko było nieszczęście, że epoka ich świetności prędko minęła, nastaly czasy lepsze dla naszej literatury, a starzy koryfeusze usunawszy się w zaciśze, po daremnój walce kapitulując, nie widzieli sami, jak powoli nowszemi nasiąkają wyobrażeniami. Byłto czas dla nich smutny; raz, że widzieli swoją przeszłość zgruchotaną, drugi raz, że przeżyli swą sławę. Jeszcze w latach młodości, bo w r. 1804, dokonał Fr. Wę-

żyk przekładu Sofoklesowego „Edypa króla.“ Była to prawie jedna z pierwszych jego prac literackich i sam tłumacz prawdopodobnie do niej niewielką przywiązywał wagę, skoro ją pozostawił w tece. W późnej dopiero starości, już przed samą śmiercią, grzebiąc w pamiętkach przeszłości, oczyścił rękopis z dawnego pyłu, zapewne ze łąz rozrzewnienia w oku, wziął się do jego poprawienia i jako drogiego świadka młodych lat przygotował do druku. Było to w r. 1856, po którym, w lat kilka, życie zakończył. Papiery jego leżały czas dłuższy niewydane, dopiero roku zeszłego (1878) pojawiły się, staraniem rodziny „Poezye z pośmiertnych rękopisów“ w 3 tomach, z których tom I, obok przekładu „Eneidy“ Wergiliusza, zawiera wspomniany przekład „Edypa króla.“

Nie ujmując zasługom Węzyka na inném polu, musimy wyznać szczerze, że tłumaczenie to ani jednego liścia do wieńca zasług Węzyka nie jest w stanie przyczynić. Studya szkolne autorów klasycznych nie wystarczają ani do zupełnego ich zrozumienia, ani do przejścia się niemi potrzebnego dla tłumacza; ztąd przekłady, dokonane na ławie szkolnej, niewielką mogą mieć wartość, osobiłwie pod względem wierności. Węzyk nie był filologiem, i w późnej starości poprawiając, nie poprawił rękopisu z pewnością pod tym względem, ale go raczej zewnątrznie ogładził, może nawet ze szkodą treści, jak to wskazują miejsca, zakrawające raczej na naśladowanie Sofoklesa. Nie miał też Węzyk należytego pojęcia o znaczeniu chóru u Sofoklesa i jego stanowisku. Ten jedyny wyraz subiektywności poety w dramacie greckim, ma tak mało cech wyróżniających go w przekładzie Węzyka, tak mało jest sobą, jest tém, czém być powinien, że najpiękniejsza nawet dykcya i zrozumienie treści, niezdoląby go ocalić od niemilego wrażenia, jakie sprawia. Najróżnorodniejsze metrum, bez żadnej zasady zmieniające, brak jakiegokolwiek harmonii między strofą i antistrofą: oto cecha chórów w przekładzie Węzyka, z których jeszcze Stasimon II od w. 863—910 za najlepszy uważany być może. W dyalogu nie utrzymuje tłumacz stałej miary, ale często zmienia formę wiersza, co ucho razić musi; nadto znaleźliśmy kilka wyrażen niepoprawnych, jak na str. 350: „wieco“ zam. wiec; str. 379 „niezaprzeczny;“ str. 382: „dni zamknął;“ str. 395: „Labdacydów“ zam. Labdakidów i niezrozumiały wiersz na str. 358:

Szyderstwem tobie jest moja ślepota,

Wkrótce nikt z ludzi twojéj nie wymiotą.

i nieharmonijny rytm i rym na str. 370:

O co poddani proszą cię...

O jakim mówisz przedmiocie?

Całą zaletę przekładu stanowi język i styl piękny, a w obec tego przykro jest wypowiedzieć, że życzeniu poety: „Oby ten przekład mógł odpowiedzieć warunkom, wymaganym od znawców prawdziwych;“ nie stało się zadosyć, że nie „znawcę“ już prawdziwego, ale każdego czy-

telnika, miłującego i znającego starożytność, w żaden sposób zadowolnić nie może.

I oto wszystko, czego nam dostarczyć mogła literatura polska w zakresie przekładów Sofoklesowych, wydanych z druku; sprawozdanie bowiem, z urywków umieszczonych po rozmaitych czasopismach, lub całości spoczywających w tekach, jak z jednej strony nie miałyby celu, tak z drugiej było niemożliwe.

Gdyby nas kto zapytał o rezultat uwag powyższych, wypadałoby nam wyznać najpierw otwarcie, że dobrego w zupełności przekładu dzieł Sofoklesowych nie posiadamy wcale, że atoli pod względem filologicznym, wyszczególnia się przekład prof. Węclewskiego, pod względem artystycznym i wdzięku poetycznego przekład (pięć tylko wymienionych tragedyi) p. K. Kaszewskiego. Pierwszemu najbliższym jest przekład „Elektry“ prof. Małeckiego, pod względem dykcji nawet go przewyższający, drugiemu przekład „Edypa w Kolonie“ p. J. Czubka, stojący atoli znacznie niżej co do formy artystycznej. Inne lubo mają pewne w różnym zakresie zalety, nie odznaczają się niczém wybitnie.

A z ogólnych badań i spostrzeżeń wyciągnęliśmy ten wniosek, że zadanie tłumacza w obec oryginału i różnorodnej publiczności jest bardzo trudne, zwłaszcza tłumacza dzieł świata starożytnego, i że nadto, aby przekładać ze skutkiem dzieła muzy greckiej lub rzymskiej, nie dosyć jest być filologiem, trzeba być przedewszystkiem poetą.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Dzieła uwieńczone na konkursie akademickim.—Nowa nagroda fundacyi pani Botta. — „O znaczeniu kobiety w społeczeństwie.“ — Prace o kobiecie w różnych krajach, panny Klarysy Bader.—Dzieła historyczne: „Historya Francyi podczas małoletności Ludwika XIV“ przez Cheruel.—„Richelieu i ministrowie Ludwika XIII,“ przez Bertholda Zeller. — „Życie Walentyna Conrart,“ przez Kerwiler. — „Teatr z czasów Rewolucyi od r. 1789 do 1795,“ przez Henryka Welchinger.—„Życie marszałka Fabert,“ przez komendanta Burelly. —„Historya połączenia prowincyi Franche-Comté z Francją,“ przez Piepape. „Początki taktyki francuzkiej,“ przez Hardy. — „Hrabia de Serre i jego czasy,“ przez Lacombe.—„Pogadanki Florenckie,“ przez Juliana Klaczko. — „Początki odrodzenia we Włoszech,“ przez Gebhardt'a.—„Historya teatru we Francyi — misterya i farsy średniowieczne,“ przez Jubeville'a. — „Liberalny ambasador z czasu Walezyszów,“ przez Edwarda Frenzy.— „Rafael i jego dzieła,“ przez Eugeniusza Muntz. — „Kobiety filozofki,“ przez Lesoure. — „Słownik,“ Ludwika Lalanne. — „Komentarz nad Heptameronem królowej Nawarry,“ przez Feliksa Franka. Komedya łacińska „Querolus,“ przekład Ludwika Haret.—„Infelicita,“ poezye Leopardego, przekład Aulard'a.—„Życiorys Monthion'a,“ przez Fernanda Laboud.—„Studyum nad poezyą Pindara“ profesora Croizet.—„Miasto za dawnych rządów,“ przez Rabeau. — „Historya leśniczego,“ powieść pana Chazel. Dzieła dla młodzieży: „Dziadunio,“ pana Girardin.—„Uczennice z pięciu części świata,“ Eliasza Bertin.—„Uczeń dzisiejszy,“ pana Radeau.—„Podróż po Algerze,“ pana Bourde.—„Popularne pogadanki o zwierzętach i roślinach,“ pana Pizetta. — „Johannus,“ poemat Juliusza Bretona.—„Poezye ojcowskie,“ pana Tailbaut.— „Myśli i sny,“ pana Pomoirols. — „Miette et Nore“ Jana Aicart. — Mowa pana Renana. — „Życie i obrazy Franciszka Milleta,“ pana Pawła Mautz.—„Przekład Machbeta i studyum nad Szekspirem,“ pana James Darmsteter.—„Nowe odkrycia archeologiczne w Tebach i Sakkarah,“ egiptologa Maspero.— Owacya wyprawiona Schliemanowi w Berlinie. — „Nowelle“ Ludwika Halcvy.—„Wspomnienie starego krytyka,“ pana Pont Martin.—„Pomnik Lohengrina w Kliwii.“ — „Belgowie i Batawcyki,“ pana Teofila Cailleux. — Prawo własności literackiej w Chinach.—„Projekt akademii niewieściej.

Doroczna uroczystość sierpniowa w Akademii francuzkiej, porusza zwykle cały literacki Paryż. Jestto jak wiadomo pora ogłaszania

imion uwieczonych szermierzy konkursowych. Dla jednych to chwila radości i tryumfu, dla drugich chwila zawodu i upokorzenia. Bolesny zawód spotkał w tym roku wszystkich poetów, którzy wystąpili do zapasu na ogłoszony temat o Lamartynie: z pomiędzy stu siedmiesięciu utworów poddanych pod sąd, żaden nie zasłużył na medal ani na prostą nawet pochwałę. Jak widać ze słów sprawozdawcy, dzisiejsi poeci podjęli przedmiot z nazbyt realnego stanowiska; malowali w Lamartynie, człowieka raczej niż poetę. Uwikławszy się w drobiazgowych szczegółach, nie umieli uderzyć w skrzydła i wznieść się do idealnych wyżyn, po których szybował wielki lirnik francuzki. Konkurs odłożony został na lat dwa. Sekretarz Akademii p. Kamil Doucet, powołując do turnieju nowych szermierzy przypomina mowę sławnego Cuvier'a, wyrzeczoną przed laty pięćdziesięciu, gdy uczony ten przyjmował Lamartina jako członka Akademii. Słowa te mają być programatem dla nowych współzawodników. „Można się różnić w ocenieniu pańskich doktryn, rzekł Cuvier do Lamartina, ale wszyscy jednozgodnie oceniają twój poetyczny talent. Jeżeli nie każdy zgodzi się na twe filozoficzne zasady, któż ci zaprzeczy téj siły czarodziejskiej, co nakazuje cześć, co porusza światy, wywołuje z pomroku aniołów i demonów, owę wszechwładną siłę, którą według woli czarujesz nas i przerażasz? Któż w tobie nie uznał poety?”

„Co się odwlekło to nie chybi, dodał z otuchą Doucet. W osobie Lamartina, niechaj młodzi szermierze uczczą samą poezją, tę poezją która przeniknęła go na wskroś, której tętno drga w jego wierszu i prozie, w jego życiu prywatnym i publicznym, w jego nieszczęściach i samymże upadku, równie jak w tryumfalnym blasku jego chwały.”

Inny jeszcze konkurs odłożony został na lat dwa, dla braku dzieł zasługujących na uznanie. Fundatorka jego, pani Botta z Nowego Yorku, powierzyła Akademii francuzkiej znaczną sumę, od której procent w ilości 5000 franków, ma być co lat pięć nagrodą za najlepszą pracę dotyczącą stanowiska kobiety. Program amerykańskiej filantropki zawarty był w tych słowach: „Kobieta, w jaki sposób jęj stosunki domowe mogłyby zostać zmodyfikowane w interesie wyższej cywilizacji.” Zrazu ta formuła amerykańska przerażyła akademickie grono, nieprzyjazne wszelkim przewrotom, zajmujące się raczej sprawami języka i literatury, niż reformami społecznymi. Po chwilowym wahaniu Akademia przyjęła jednak zapis, zmieniła tylko program, zgodnie z przyzwoleniem donatorki, ogłaszając konkurs na dzieło: „Sur la condition des femmes,” Poraz pierwszy w tym roku konkurs miał być sądzony. Pięciu autorów czy autorek, nadesłało swe prace. Jedna z tych prac pod tytułem: „Kobieta wolna (La femme libre) jeśli odpowiadała zupełnie programowi pani Botta, nie zgadzała się z powagą Akademii. Bezimienny autor nie poprzestając na traktowaniu rzeczy z filozoficznego i moralnego stanowiska, podjął palące pytania społeczne, czém przestraszył spokojnych akademików. „Aby polepszyć

los kobiet, woła ze zgrozą sprawozdawca, nie czynmy z nich, na Boga, mężczyzn! nie odbierajmy im tej pierwszej zasługi, która będzie zawsze ich najwyższym zaszczytem zasługi, że są kobietami!"

Książka lubo napisana z wysokim talentem, nie zjednała przecież nagrody autorowi; odroczono konkurs, część tylko premium w ilości 2000 franków, ofiarowała Akademia pannie Klarysie Bader, za prace dokonane w przeciągu lat dwudziestu, a poświęcone historii kobiet w starożytnych wiekach. Cztery znakomite dzieła panny Bader, o których mówiliśmy obszernie w swoim czasie: „Kobieta w Indyi starożytnej,” „Kobieta biblijna,” „Kobieta grecka” i „Kobieta rzymska,” cztery te dzieła powtarzamy, są tylko wstępem do olbrzymiej pracy nad historią kobiety w francuzkiem społeczeństwie, której poświęciła się autorka z godną podziwienia wytrwałością.

Wielką nagrodę Gaubert w ilości 20000 franków, przyznała Akademia panu Cheruel, za czwarty tom „Historii Francyi podczas małoletności Ludwika XIV.” Taką samą nagrodę otrzymał autor w roku zeszłym za trzy poprzednie tomy. W obecnie wydanym tomie, świeci pełnym blaskiem postać kardynała Mazariniego. Historyk pokazuje go w uporczywej walce z książętami krwi, którzy dla osobistych celów, gotowi byli rzucić Francją na łup Hiszpanii. Widzimy go, jak wygnany z kraju, odrzuca z pogardą ofiarowane mu skarby, jak pochwyciwszy znów wodze, odnosi stanowczy tryumf: z współudziałem mieszczan paryzkich ocala monarchią i młodemu królowi ściele drogę do przyszłej chwały. Drugą nagrodę Gaubert otrzymał Berthold Zeller, autor dzieła p. t.: „Richelieu i ministrowie Ludwika XIII 1621—1624.” Młody historyk sprostował wiele błędnych sądów dotyczących się tej burzliwej epoki: zrehabilitował postać Ludwika XIII, pomawianego zwykle o niedołęztwo. Król ten nie sprzyjał Richelieu'mu; wielka postać kardynała przyćmiewała go blaskiem swoim, budziła w nim niechęć i trwogę. Zawistny dwór utrzymywał go w tych uczuciach. Król jednak zrozumiał geniusz Richelieu'go, czuł że on jeden wydobędzie Francją z upadku; pokonał zatem osobisty wstręt, oddalił innych ministrów, złożył wodze rządu w ręce wielkiego męża i gorącego patrioty.

Sąd konkursowy przysądził nagrodę Halphen p. Kerwiler za obszerną biografią Walentego Conrart, uczonego lingwisty XVII wieku, którego Richelieu wezwał na sekretarza do założonej przez siebie Akademii francuzkiej. Conrart wielkie położył zasługi w uorganizowaniu naukowego ciała. Zasługi te poszły jednak w niepamięć; imię Conrarta nie doszło do potomnych. Powodem tego złośliwy Boileau, który sarkastycznym epigramatem zabił go w opinii powszechniej. Potrzeba było dwóch wieków aby imię to wygrzebane z pod rumowisk, zajęło godne miejsce w dziejach Akademii francuzkiej. Część téjże nagrody, otrzymał Henryk Welchinger, autor zajmujących „Studyów nad teatrem z czasów Rewolucyi od 1789 do 1795 roku.” Jestto historia anegdotyczna ówczesnego zwrotu umysłowego na polu dramatycznym.

W obrazach kreślonych z niepospolitą werwą, autor ukazuje dzień po dniu gwałty i szaleństwa téj epoki, i ludzi którzy brali w nich czynny udział. Obok krwawego dramatu ulicznego, daje widzieć komedję sentymentalną, wyciskającą łzy na deskach teatralnych. Słowem ciekawa ta karta historii Paryża, od chwili zburzenia Bastylli, do 18 brumaira, kiedy Bonaparte żelazną ręką pochwycił wodze, i nowy zwrot nadał umysłom we Francyi.

Z wielkim zaszczytem armii francuzkiej, jak się wyraził sprawozdawca, trzech młodych komendantów zdobyło wstępnym bojem nagrodę „Thérouanne“ przeznaczoną za dzieła historyczne. Jedną część otrzymał komendant Burelly za dwótomowy życiorys marszałka Fabert. Jestto nadzwyczaj ciekawa postać z pierwszej połowy XVII wieku. Fabert był dzieckiem ludu; walczył nasamprzód jako prosty żołnierz; postępując mozolnie z jednego szczebla na drugi, dokupując się krwią wojskowych zaszczytów doszedł w końcu do najwyższych: do łaski marszałkowskiej. Wielka to postać, nieprzyćmiona najdrobniejszą skazą. Chlubnie téż dla autora, sekretarz Akademii zalecając tę ważną publikacyą, radzi aby każdy żołnierz miał w tornistrze książkę p. Burelly i rozczytywał się w nię w chwilach wolnych od służby wojskowej.—Drugą część nagrody zdobył komendant Piepape za historyczną pracę p. t.: „Historya połączenia prowincyi Franche-Comté z Francją.“ Lud tameczny rozsiadły u stóp Jura, odznaczał się zawsze gorącym przywiązaniem do swych odwiecznych swobód. Kiedy w XVII wieku, z pod panowania Hiszpanii przeszedł pod berto Ludwika XIV, z trwogą i boleścią zmuszony był rzec się odwiecznych swych instytucyi. Pomału jednak zrósł się sercem z Francją i zarówno z Alzacczykami dawał dowody najzarliwszego patryotyzmu.—Trzeci komendant Hardy otrzymał część nagrody za strategiczne dzieło: „Początki taktyki francuzkiej.“ Jestto historyczny pogląd na najslawniejsze bitwy stoczone tak w starożytnych jak i w późniejszych czasach.

Nagroda fundacyi Guizota przysądzoną została p. Lacombe za historyczną pracę w dwóch tomach p. t.: „Hrabia de Serre i jego czasy.“ Ów minister Karola X, umiał prawością charakteru zjednać sobie szacunek u ludzi przeciwnych nawet zasad politycznych. Onto wydalil nigdy z rady stanu Royer-Collard'a z młodym podówczas Guizotem: szczególnym zbiegiem okoliczności, nagroda Guizota uwieńczyła dziś pracę, wyświetlającą zasługi jego politycznego przeciwnika.

Od historyi przejdźmy do działu czysto literackiego. Nagrodę Bordin rozdzielono między dwóch laureatów. Jednym z nich p. Julian Klaczko, autor dzieła: „Pogadanki florenckie.“ Świetna ta praca znana już u nas z przekładu prof. hr. Tarnowskiego. Zobaczmy jak ją ocenił sąd konkursowy. „W pracy p. Juliana Klaczki, rzekł sprawozdawca, w uczonej komentarzu nad geniuszem Dantego, osobistość i dzieła ojca poezyi włoskiej, jego życie prywatne i publiczne, jego wpływ na wiek współczesny i na daleką potomność, stały się przedmiotem sprawiedliwego i częstokroć nowego ocenienia. Uwagi autora nace-

chowane są piętnem oryginalności. Zmysł literacki bardzo trafny, łączy się tu z dokładnym zrozumieniem tekstów i znajomością faktów, świadcząca o głębokiej erudycji. Akademia, kończy mówca, rozporządziła nagrodą bez względu na prawa narodowości. Pan Klaczko należy do Francji, tak niezwykłym talentem pisarskim, jak wytwornością stylu, pełnego barwy i śmiałych rzutów pióra, wreszcie uczuciami stale objawiającymi się w długim szeregu prac literackich, których nikt przepomnieć nie zdołał.—Druga połowa nagrody przypadła panu Gebhardt za znakomite studium p. t.: „Początek odrodzenia we Włoszech.“ Dzieło to jest owocem dwudziestoletniej pracy. Autor długo przebywał we Włoszech, zbadał na miejscu niezliczone źródła przechowane w bibliotekach i utworzył prawdziwie oryginalne, krytycznofilozoficzne dzieło, i tu występuje olbrzymia postać Danta, ale pan Gebhardt wywołuje ją tylko na podparcie swęj tezy, gdy tymczasem p. Klaczko wkoło wielkiego Florentczyka grupuje fakta i wyświetla nowe idee kiełkujące podówczas w świecie.

Wielka liczba nagród akademickich, okazała się przecież niedostateczną w obec większej jeszcze liczby dzieł nadesłanych w tym roku na konkurs a zasługujących na wyszczególnienie. Ztąd to nagrodę „Guerin“ rozdzielono pomiędzy czterech laureatów. Pierwszą część otrzymał p. Petit de Jubeville, autor ważnej pracy w dwóch tomach p. t.: „Historja teatru we Francji.“ Jest to zaledwie początek obszernego dzieła, które obejmie trzy odrębne części: „Mysterya,“ „Teatr komiczny w średnich wiekach,“ i „Dzieje teatru w epoce odrodzenia.“ Pierwszy tom zawiera krytyczną rozprawę o mysteryach i farsach średniowiecznych, pełną erudycji, przedstawioną w żywy i zajmujący sposób. Nieraz już pisano o początkach teatru we Francji, nigdy jednak przedmiot nie był tak do gruntu wyczerpany jak w obecnej pracy młodego historyka. Tom drugi obejmuje liczne mysterya i komiczne farsy. Część drugą nagrody Akademia przyznała młodemu dyplomacie Edwardowi Frenzy, za historyczne dzieło p. t.: „Liberalny ambasador z czasów Karola IX i Henryka III“ (Walezyuszów). Tym ambasadorem, słynnym zarówno z nauki jak i z prawości charakteru, był prezydent Arnaud du Ferrier. Z wielką na te czasy odwagą cywilną, wystąpił on w parlamencie, przeciw karze śmierci za religijne przekroczenia. Śmiałość tę mógł był łatwo przypłacić gardłem, jak słynny radca parlamentu du Bourg; uszedł jednakże śmierci. Później kanclerz l'Hopital zalecił go Katarzynie Medyceuszce; ta zaś zostawszy regentką mianowała go reprezentantem Francji na koncylium trydenckiem, wraz z Markiem de Pibrac. Mianowany następnie posłem francuzkim w Wenecji, przebywał lat piętnaście w tém główném ognisku dyplomacji europejskiej, gdzie wyrobił dla Francji przeważne stanowisko i nadał jęj stanowczy głos w sprawach politycznych tęg epoki. Młody autor wielką położył zasługę, wydobywając z pomroku imię męża, który żywot cały poświęcił na pożytek i chwałę ziemi ojczystej.—Trzecią część nagrody otrzymał Eugeniusz Muntz autor wiel-

kiego dzieła p. t.: „Rafael, jego życie, jego dzieła i czasy.“ Przepyszna to księga, obejmująca reprodukcje najznakomitszych dzieł włoskiego mistrza. Rozprawa krytyczna zamieszczona w tekście, tak piękną stylą jak erudycją odpowiada zewnętrznej ozdobie, tej pomnikowej publikacji. — Ostatnią część nagrody przysądzono p. Lescure, za bardzo ciekawe dzieło p. t.: „Kobiety filozofki.“ Jestto szereg pełnych życia portretów; książka ta zasługuje na szczegółowy rozbiór: zostawiamy go do jednej z przyszłych kronik.

Z działu lingwistyki nagrodę Desperouze otrzymał uczony filolog Ludwik Lalanne, autor słownika świeżo ogłoszonego drukiem, przy ostatniem wydaniu dzieł historyka Brantoma. Wiadomo z pisarzy XVI wieku jak język francuzki niewyrobiany był w tej epoce. Brantome nie znajdując w nim form właściwych do oddania swój myśli, tworzył nowe wyrażenia i zwroty. Zresztą mowa przyjęta na dworze w owych czasach, miała właściwy sobie charakter. Pod wpływem królowych Włoszek i Hiszpanek, wcisnęło się do języka mnóstwo obcych słów, przez co mowa dworska różniła się zarówno od mowy ludu jak od języka przyjętego wówczas przez uczonych. Łatwo ztąd pojąć, o ile Brantome, który życie strawił na dworze, trudnym jest dziś do zrozumienia. Pan Lalanne glosaryuszem swoim usunął te trudności i rzeczywiście położył zasługę. Wydany przez niego ustęp, jest tylko częścią wielkiej pracy nad słownikiem z XVI wieku.

Inny jeszcze filolog Feliks Frank, otrzymał takąż nagrodę za wydanie „Heptameronu królowej Nawarry.“ Powieści słynnej Małgorzaty, siostry Franciszka I, której dwór w Pau, u podnóża Pirenejów, tak wielkim przyświecał blaskiem w XVI wieku, znane były od dawna we Francyi, ale dotąd brakło klucza do ich dokładnego zrozumienia. P. Frank wynalazł ten klucz, zdjął zasłonę z oblicza osób wprowadzonych do powieści, przez co nadał im znaczenie historyczne i rozjaśnił wiele szczegółów niedopatrzonych w dziejach.

Nagroda Langlois za najlepsze tłumaczenia, rozdzieloną została między dwóch laureatów. Jeden z nich młody filolog Ludwik Havet, wy dobył z niepamięci starożytną komedię łacińską p. t.: „Querolus,“ czyli kłótnik. Humorystyczna ta komedia należy do ostatnich czasów chwiejącego się państwa rzymskiego, do czasów kiedy wpływ podbitej Galii silnie oddziaływał na łacińską literaturę, wprowadzając do niej swobodną werwę galską. Bezimienny autor komedii przebywał na dworze możnego patrycyusza, tworzył komedyc aby zabawiać gości podczas uczy. Jedna z nich tylko pozostała: sceny w niej pełne życia i sarkazmu, wybornie malują rozprzegające się społeczeństwo w przeddzień najazdu północnych barbarzyńców. Druga połowa nagrody Langlois przypadła panu Aulard tłumaczowi rozpaczliwych poezyi Leopardego pod tytułem „Infelicitá.“ Wyborny przekład zmusił niejako Akademią do uwieńczenia tłumacza, pomimo silnej protestacyi członków, dla których piękna forma nie jest całą zaletą poezyi.

Nagrodę Jouy, za utwór literacki, malujący najwierniej współ-

czesne obyczaje otrzymał p. Ohvaet, autor powieści pod tytułem: „Sergiusz Pauin.”

Za inną bardzo zajmującą powieść p. t.: „Pani Lambelle,” młody autor Gustaw Toudouze, otrzymał nagrodę „Lambert.”

Dzieła rozmaitej treści nadesłane na konkurs fundacji „Monthiona,” liczniejsze były jeszcze niż w roku zeszłym. Stosownie do wyraźnej woli fundatora, Akademia przypuszcza jedynie do tego konkursu prace wywierające dodatni wpływ na obyczaje. Nadesłano sto trzydzieści cztery dzieł: z tych uwieńczono dwanaście; wiele innych Akademia zaszczyliła pochwałą. Pierwszą nagrodę przyznał sąd najśluszniej panu Fernandowi Labour, za ciekawy życiorys samegoż Monthion’a, słynnego filantropa, zmarłego w początkach tego wieku: wzorowym rządem i oszczędnością przyszedł on do ogromnych dostatków i licznymi fundacyami unieśmiertelnił imię swoje. Zostawiamy na późniejszej szczegółowy rozbiór tej książki, tak wymownie świadczącej czego dokonać może ludzka wola, skierowana do jednego celu. Akademia francuzka szczególnie ma powody do uczczenia męża, który przekazał jój ogromne sumy do corocznego szafunku, a tém samém podniósł jój powagę i piękny dał przykład późniejszym a niemniej hojnym donatorom. Drugą nagrodę przysądziła Akademia profesorowi Croizet, za nowe „Studyum nad poezją Pindara i prawami liryzmu greckiego.” Wielki poeta żył w czasach, kiedy mądrość chodziła w parze z poezją. Opiewa on zarówno piękność, chwałę i zapał młodzieńczy, jak cnotę, pobożność i sprawiedliwość. Chłoszcze surowo wszelkie fałszy i podstępny, a wystawia ludzi czystych serc i nieskażonych obyczajów. Sam jak mówi, pragnął jedynie chadzać prostą ścieżką żywota i uczciwie imię zostawić w spadku dzieciom. Pan Albert Rabeau otrzymał trzecią nagrodę za pracę pełną erudycyi p. t.: „Miasto za dawnych rządów” (La ville sous l’ancien régime). Autor zbadał urządzenie miast we Francyi przed rokiem 1789; w starych dokumentach znalazł on dostateczne materyały do odbudowania gmachu społecznego, jakim utworzyły go długie wieki. Nie pierwsza to praca pana Rabeau; poprzedziła ją inna, niemniej ważna: „Wieś za dawnych rządów.” Jak w jednej tak w drugiej, autor umiarkowany w sądach, umiał pogodzić nowe liberalne pojęcia, z wielkiem poszanowaniem tradycyi narodowych.

Konkurs Monthion’a obejmuje także książki pisane dla młodzieży. Z tego działu, sąd wyszczególnił powieść Prospera Chasel p. t.: „Historya leśniczego.” Wyborna to książka pisana w żywy i zajmujący sposób. Młodzi czytelnicy znajdą tu obok ciekawej opowieści, mnóstwo szczegółów z dziedziny nauk przyrodniczych, skreślonych przez biegłego specjalistę. Śluszenie też uwieńczonym został p. Girardin, za wyborną powiastkę pod tytułem: „Dziadunio.” Jestto życiorys ubożego sieroty. Od lat dziecinnych okazywał on najprzewrotniejsze instynkta, które łatwo mogły doprowadzić go do występku i uczynić zbrodniarzem. Pomału jednak złe skłonności zacierają się i topnieją niejako pod zbawiennym wpływem dobrego dziadka. Cier-

piwością i słodyczą umiał zażegnać zło w zarodzie i ocalić chłopca od zguby. Wątek wysnuty z przygód codziennych, przedstawiony żywo, dziwnie pochwyca wyobraźnię i porusza serca młodzieży. Inny laureat Eliasz Bertin, w książce p. t.: „Małe uczennice z pięciu części świata,“ wyprowadza kolejno na widownię dziewczynki rozmaitych narodowości; każda z nich tworzy typową postać, każda szlachetnym ożywiona uczuciem, pełna odwagi i energii, gotowa do poświęcenia. Wkoło tych małych bohaterek, autor grupuje historyczne wypadki, pokazuje wpływy geograficzne na charakter jednostek. Książka ta łącząca pożytek z zabawą, na szczególną zasługuje uwagę. Zbliżona tytułem książka pana Vallery-Radeau: „Uczeń dzisiejszy,“ równie zaszczycona nagrodą konkursową, nie należy już do działu książek pedagogicznych. Młody autor, szczerem ożywiony zapałem, podnosi w niej najżywotniejsze zagadnienia tych czasów. Nie mogąc iść w ślad za nim, przytaczamy tylko wymowną konkluzję. Uczeń dzisiejszy tak się wyraża w liście do przyjaciela: „poraz pierwszy od lat ośmdziesięciu, będziemy więc mieli z tymi co pójdą twoim torem, młode pokolenie zdrowe na umyśle i sercu. Idź, prowadź dalej twoje dzieło: zbierz wkoło siebie wszystkich którzy mają wiarę, miłość i nadzieję! Wy jesteście młodzieżą dzisiejszą a jutrzejszą Francją! Rzecz dziwna! Sekretarz Akademii pochwalając krzepkie myśli wyrażone w książce, pełnym siły i wdzięku stylem, protestuje w imię Francji wczorajszej przeciw powyżej przytoczonym słowom; widzi w nich pogardę przeszłości i zbytnią wiarę w przyszłość. Szczęściem większość Akademii inaczej rzecz pojęła, skoro uwieńczyła idealistę, patrzącego w przyszłość z wiarą, miłością i nadzieją.

Inna nagroda Monthion przypadła p. Bourde za ciekawy opis podróży p. t.: „A travers l'Alger.“ Przed dwoma laty jesienią, podczas zawieszenia obrad parlamentarnych, cała karawana złożona z deputowanych i senatorów, odbyła podróż po Algerze, aby zbadać na miejscu potrzeby tej kolonii francuskiej. Towarzyszył jej p. Bourde, sprawozdawca z „Monitors powszechnego.“ Zdolny ten autor nie poprzestał na zewnętrznym opisie kraju, bacznym okiem sięgnął do gruntu rzeczy: pokazuje sprzeczności żywiołów miejscowych z żywiołem francuskim, odkrywa wadliwą stronę przyjętego systematu, zaleca konieczną reformę. Dzisiejsze wypadki wówczas już łatwe do przewidzenia, tém większe znaczenie nadają tej ważnej publikacji.

Z działu nauk przyrodniczych otrzymał nagrodę p. Pizetta za popularne pogadanki o zwierzętach i roślinach. Autor prowadzi za sobą czytelnika, przez lasy, pola i wybrzeża morskie, daje mu poznać wszystkie żyjątka, zioła i trawki, jakie napotyka w drodze swojej. Nie jest to bynajmniej pobieżna kompilacja; uczony przyrodnik zna dokładnie swój przedmiot, a co więcej kocha przyrodę i umie przedstawić jej cuda w żywy i zajmujący sposób.

Trzy ostatnie nagrody Monthion przypadły nakoniec poetom.

Jedną z nich otrzymał Juliusz Breton, słynny malarz, władający po mistrzowsku tak piórem jak i pędzlem. Uwieńczony jego poemat, wzięty z życia ludu p. t.: „Joanna,“ znany już czytelnikom naszym. Mówiliśmy obszernie kilka miesięcy temu, o tym ślicznym utworze, tak wymownie świadczącym, że duch poetyczny nie zamarł bynajmniej we Francji.

Drugi laureat na polu poezji, p. Tailhand, śpiewak rzewnych zwrotek, natchnionych miłością ojcowską (Poésies paternelles), staje znów jako żywe świadectwo, że uczucia rodzinne nie wygasły pomiędzy Francuzami.

Chlubnym wreszcie dowodem patriotyzmu, niechaj będą poezye trzeciego laureata, p. Pomairois, pod tyt.: „Myśli i sny.“ Trzy zwłaszcza pieśni: „Bęben,“ „Odłam bomby“ i „Lekcja francuzkiego języka,“ są gorącym wykrzykiem serca, pełnego najwznioślejszych uczuć.

Inny jeszcze poeta, Jan Aicard, otrzymał w tym roku wielką nagrodę, przeznaczoną przez fundatora Vitet, na zachętę dla najzdolniejszych literatów. Nie pierwszy raz Aicard zbiera akademickie wieńce. Zaszczyt ten obecnie zjednał mu śliczny ludowy poemacik p. t.: „Miette et Noré,“ wysnuty z życia wieśniaków prowansalskich; świeży kwiat, rozkwitły pod słońcem południowem. Wspominaliśmy już o tym pełnym wdzięku utworze; w przyszłej kronice damy dokładny jego rozbiór.

Po sprawozdaniu z dzieł uwieczonych, zabrał głos członek akademii Renan. Z właściwą sobie wymową, ogłosił zasługi tych cichych pracowników w winnicy Bożej, którzy, nie oglądając się na żadną zapłatę, nie wiedząc może o niej, wytrwałością w dobrem, poświęceniem dla bliźnich, zjednali sobie nagrody Monthion. Przytaczamy konkluzję, wymierzoną przeciw całej szkole realistycznych powieściopisarzy, szkole, która wzięła sobie za cel szukać wątku w mytach społecznych: „Rzekłby kto, mówi Renan, czytając dzieła wyobraźni dzisiejszych autorów, że samo tylko zło i brzydota są rzeczywistością! I kiedyż pisać nam będą realistyczne powieści na tle dobra i piękna? Dobro, zarówno jak zło, jest także rzeczywistością. Dokumenta, odczytane przezemnie z obowiązku, obejmują w sobie tyleż prawdy, ile jęj zawierają obrzydliwe obrazy, kreślone w powieściach, których trafności, niestety, zaprzeczyć niepodobna. Uwieńczona przez nas dziewczyna młynarska, istnieje, zarówno jak ta lub owa terema bohaterka powieści. Któż nam da kiedy, obraz dobra spełnianego cicho w Paryżu? Któż nam wypowie ciężkie walki tylu istot zagrzebanych w ubóstwie, tylu wzorowych matek, tylu sióstr pełnych poświęcenia? Jakąż to, pytam, odnosimy korzyść, z przekonywania drugich, że świat, na którym żyjemy, tak przewrotny i skażony do gruntu? Czyż nas to zaspokaja? Bynajmniej! Dzięki nocio, rozumiemy Opatrzność! Pessimizm ukaże nam kilka zaledwie istot, dla których życie nie było szczę-

ściem: cel miłości odbija w wszechświecie. Pomimo wielkich wad świat ten bądźcoбайд jest dziełem dobroci nieskończonój.

Kilka miesięcy temu, mieliśmy sposobność widzieć wystawę obrazów, przeznaczonych na sprzedaż, po zmarłym miłośniku sztuki Hartmanie. Cała ta wystawa składała się z siedmnastu ledwie obrazów, ale wśród tych były arcydzieła Franciszka Milleta, twórcy szkoły ludowej. Z nieśmiałością przystępujemy do określenia tych utworów, bo jakże tu oddać słowem to życie, tryskające z pod pędzla, tę piękność, spoczywającą nie w kształtach, ale w wyrazie oblicza i postawy? Millet, syn wieśniaka normandzkiego, malował lud wiejski z nieporównaną prawdą i prostotą. Nieprzyjaciel wszelkich konwencyonalnych teorii postawił sobie zasadę, że sztuka musi czerpać siłę z przyrody, inaczej wpada w niemoc, jak on bajeczny Anteusz, zawieszony w powietrzu, który ilekroć dotknął stopą ziemi, tém dzielniejszym polotem wzbijał się w nieskończoność. Dotykał też Millet ziemi, a nawet stąpał po niej śmiałym krokiem, ale z oczyma podniesionemi w górę. Kochał lud wiejski, bo był krwią z jego krwi i kością z jego kości, ale malując oracza lub dziewczynę wiejską, nie szło mu nigdy o dobieranie klasycznie pięknych typów. Wyżej on postawił swój ideał, bardziej go uduchowiał; jedném słowem, pokazał, że wiejski lud, przyrosły do zagonu, użyzniający go potem własnego czoła, jest prawdziwą solą ziemi, że w piersi jego tleje ten płomień, przy którym, jak mówi nasz Wincenty Pol:

Ma się znów ogrzać, co w życiu zakrzepło!

Takie wrażenie sprawiły na nas owe obrazy Milleta. Było ich ośm; każdy z nich to pieśń ludu, pełna tęsknej zadumy, cudna w prostocie swojej. Koloryt spokojny, niekiedy szary, dziwnie harmonizuje z przedmiotem. Na pierwszym, oto młoda wieśniaczka odchodzi od studni; w każdej ręce, silnie wyprężonej, trzyma kubek napełniony wodą. Idzie śmiało, nie sarka: snąc nawykła do dźwigania ciężarów. Studnia stara, omszona; liczne pokolenia czerpały już z niej wodę i niejedne czerpać ją jeszcze będą. Na drugim obrazku ciągnie się przed nami zielona, świeżo pokoszona łąka. Gromadka owiec skubie trawę; czuwa nad nią kudłaty czarny kundel; owczarz spoczywa z boku, na murawie. Nieco dalej sterczą trzy wielkie stogi siana. Trzeci wyobraża wiosnę: koto chaty pełno rozkwitłych grusz i jabłoni. Na niebie kłębi się ciemna chmura, ale łuk tęczy, zawieszony w powietrzu, zapowiada rychłą pogodę. Po wiosnie idzie lato. Ciepły promień pada na grupę dziewcząt, wiążących w snopki grykę. Na drugim planie inna gromada młóci pożęte kopki; cepy migoczą w słońcu. Pełno ruchu i życia; ramiona żeńców nie pomdlały pod skwarem południowym. Dalej obraz jesieni: trawa pożółkła na ugorze, słońce zbłądło za mgłą listopadową. Wieśniak pochyłony ku ziemi, rozrzuca widłami kupki nawozu, które wnet przyorze pługiem pod nowy posiew.

Na szóstym obrazku młoda kobieta rozwiesza chusty na płocie i obraca głowę ku dzieciątku, śpiącemu opodal w objęciu stariej babki. Siódmy obrazek ukazuje nam skalisty brzeg normandzki. W głębi widnokregu morze styka się z niebem, promień słońca muska po zielonawej fali; na pierwszym planie, za niskim zagrodzeniem, pasą się krowy: widać tylko łby wielkimi uzbrojone rogami. Ósmy, najpiękniejszy ze wszystkich, przenosi nas w głąb sadu, poza chatą. Wieśniak, w brunatnej kamizeli, w kapeluszu na głowie, szczepi młodą płonkę w pień dziczki, obciętej z gałązek. O kilka kroków stoi żona z dzieciątkiem na ręku; pilnym okiem śledzi robotę. Obrazy te wystawione na sprzedaż publiczną, rozbiegły się po zbiorach miłośników sztuki. Zapłacono za nie około 500,000 franków. Ale pięknijszym nad nie jest inny jeszcze obraz; mistrzowskie dzieło pod względem prostoty w pomyśle i harmonii w wykonaniu. Millet sam uważał go za koronę prac swoich. Arcydzieło to nosi nazwę „Angelus.“ Słońce zaszło, wieczorna zorza rumieni jeszcze widnokrąg. W oddaleniu widać wiejski kościółek, dzwon uderzył na „Anioł Pański.“ Dwoje wieśniaków: mąż z żoną, znać kopało kartofle w polu; na odgłos dzwonu podnieśli się oboje: on stoi z pochyloną głową, trzyma kapelusz; ona również pochylona, złożyła obie ręce: z głębokim skupieniem ducha modlą się za umarłych. Niepodobna oddać wrażenia, jakie sprawia ten cudny obrazek. Widzieliśmy go niedawno na wyprzedazy, po zmarłym bogaczu holenderskim Wilsonie. Belgijczyk jeden nabył go za 200,000 franków. Smutno pomyśleć! malarz, który tworzył te arcydzieła, przeżył w nędzy młodość i wiek dojrzały; przyszedł do lepszego bytu wówczas dopiero, gdy, wyczerpany z sił trzydziestoletnią pracą i niedostatkiem, widział grób otwarty przed sobą.

Mamy właśnie przed oczyma pomnikowe dzieło, poświęcone temu twórcy szkoły ludowej. Wielka ta księga obejmuje życiorys mistrza, a zarazem reprodukcją najcenniejszych jego utworów. Autorem jój był zmarły niedawno przyjaciel Milleta, Alfred Sensier. Przygotowane przezeń dzieło, dopełnił i wydał Paweł Mantz, jeden z najznakomitszych krytyków sztuki. Przypatrzmy się szczegółowo tej pomnikowej publikacji.

Syn prostego rolnika, który miał w przyszłości odrodzić sztukę malarską, wprowadzając do niej żywioł ludowy, urodził się w r. 1814, na pograniczu Normandy i Bretonii, pod ubogą strzechą wieśniaczą. Podczas, gdy rodzice pracowali w polu albo na łące, stara babka nianczyła wnuka; przędąc na kołowrotku, śpiewała mu rzewne piosenki i cudowne opowiadała bajki o wilkołakach i zaklętych królewnach. Piękna to była dusza; rankiem, gdy słońce weszło, stawała nad łóżczkiem chłopczyny.

— Obudź się Franulku — mówiła słodko — ptaszęta oddawna już śpiewają na chwałę Bożą, odmówże z niemi twój poranny paciorek. Gdy chłopczyk dobiegł lat sześciu, posyłano go do szkółki wiej-

skiej: tu ksiądz wikary szczególną otoczył go opieką, wyuczył służyć do Mszy, a poznawszy w nim wielkie zdolności, darował mu łacińską książeczkę; były tam ustępy z sielanek Wirgilego. Mały zrozumiał je wkrótce i powtarzał z pamięci. Upływały lata: chłopiec rósł, a w miarę sił, rozwijających się krzepko, pomagał ojcu w rolniczych pracach: wiosną kosił z nim siano, w lecie zagarniał sierpem zboże, zwoził je do stodoły; jesienią młócił, lub orał zagon na nowy posiew. W zimowe tylko wieczory wracał cichaczem do Wirgilego. W chwilach wolnych od pracy, siadał niekiedy w oknie, brał z komina węgiel i na świstkach papieru rysował wszystko, co mu wpadło pod oko: stajnie, ogródek, pola, nawet bydło i owce. Razu jednego, w niedzielę, zobaczył wędrownego dziada u drzwi kościelnych. Starzec, z długą brodą, pochylony na kiju, uderzył go szczególną postawą; wróciwszy do domu, narysował go węglem z pamięci; wszyscy przyznali podobieństwo. Uderzony tém ojciec, począł jakoś przemyślać; wieczorem przywołał chłopca do siebie.

— Stuchaj-no, Franku—rzekł—oddawna widzę ja, że tobie po głowie roją się jakieś dziwy; nieraz już przychodziło mi na myśl, żeby cię pokierować na malarza, boć to, jak mówią ludzie, nielada rzemiosło. Ale jam ubogi, tyś najstarszy z rodzeństwa, dotąd potrzebowałem cię do pomocy. Teraz inna rzecz: młodszy bracia już nadrastają, jeśli chcesz, zawiozę cię do Cherburga; tam powiedzą mi, czy w rzeczy samej warto, abyś porzucił pług i zagon, a szukał chleba na inném polu.

Frańciszek uściśnął nogi ojca z uczuciem niewymownej radości. Ożywiony nadzieją, zabiera się czempredź do pracy; rysuje dwa obrazki, dawno już obmyślane. Jeden przedstawiał pastuszkę w bluzie i sabotach, grającego na fujarce pod drzewem; drugi na tle nocy księżycowej ukazywał człowieka, podającego chleb drugiemu.

Ojciec z synem pośpiesza do Cherburga; tam kołacze w progi malarza Michel; młodzian składa mu swoje prace.

— Zartujesz ze mnie, chłopcze—zawołał Michel, obejrawszy pilnie rysunki—przyznaj się, sam tego nie zrobisz!

Ojciec i syn zaprzysięgają się, że nikt we wsi nie umie nakreślić prostej kreski.

— Skoro tak, ciężko zgrzeszyłeś, ojcze: godziłoż się trzymać przy sobie podrostka do lat osmnastu? Twój syn będzie wielkim malarzem: ja ci to zapowiadam.

Młodzian pozostał w Cherburgu. Pracował tam od dwóch miesięcy, kiedy dnia jednego przybiega posłaniec, oznajmia, że ojciec bardzo chory.

Na tę smutną wieść, Frańciszek rzuca pendzle, śpieszy do wioski, zastaje konającego ojca.

Po pogrzebie, oświadcza stanowczo, że pozostanie w domu: jako najstarszy z rodziny, nie ma prawa wyłamywać się od świętych obowiązków.

— Nie zostaniesz, mój Franku — rzecze babka — musisz zgodzić się z wolą Bożą. Ojciec twój mówił, że będziesz malarzem; bądź mu posłuszny: wracajże do Cherburga.

Millet powrócił. Rok cały pracował tam pod okiem najbieglejszych profesorów, malował portrety i obrazy kościelne. Prace te dały mu niejaki rozgłos; poruszone tém miasto, wyprawilo go do Paryża, przeznaczwszy mu mały zasiłek roczny.

Pośpiesza młodzian z wieścią do rodziny. W wiosce wielka radość, wyczytano bowiem w dzienniku, zaszczytnie wymienione imię Franciszka Milleta. Trwoga przejęła jednak serca biednych wieśniaków przy pożegnaniu. Babka ze łzami błogosławiła wnuka. „Pamiętaj, rzekła, dziecię moje, o cnotach twych ojców i dziadów, pamiętaj, że kiedy podawałam cię do Chrztu, wyrzekłam się za ciebie czarta i jego pychy i wszystkich spraw jego. Wolałabym widzieć cię raczej na marach, niż przeniewiercą woli Bożej.“

Słowa te utkwiły w pamięci młodziana: w późnym wieku powtarzał je często dziatwie własnej.

Przybył do Paryża wieczorem, w dzień styczniowy; śnieg pruszył, gruba mgła ciążyła nad miastem. Myśl o sieroctwie, o wątpliwój przyszłości, przejmowała go dreszczem. Nie zmrużył oka w wilgotnej izdebce na poddaszu, dokąd go zaprowadzono.

Nazajutrz biegnie do Luwru: tu dopiero pełną oddycha piersią; poetyczna dusza jego wszelką odczuwa piękność. Stare obrazy zachwycają go naiwnym wdziękiem; szkoła wielkich mistrzów włoskich uderza go prostotą i bogactwem kompozycji. Z tych wszystkich arcydzieł porywa go szczególniejsz rysunek Michała Anioła. W omdłym człowieku, mistrz ten oddał bóle całej ludzkości. Millet oczyma i duszą utonął w tym obrazie.

Inne wrażenie sprawiły na nim dzieła współczesnych malarzy, nagromadzone w Luksemburgu. Tu, gdzie rzucić okiem, figury wojskowe, strój konwencyonalny. Obrazy Delacroix tryskały tylko życiem.

Millet wszedł do pracowni Delarocha, najstynniejszej w owym czasie. Pierwsze próby jego odznaczały się nieporównaną śmiałością i siłą. Koledzy sztydził z nich, profesor kiwał głową, wstrzymując się od uwag.

— Maluj po swojemu — rzekł raz — idź swoją drogą; ja ciebie nie rozumiem: nie mam ci co powiedzieć.

I Millet poszedł swoją drogą, a nie sam tylko profesor, przesiąkły na wskrós zasadami klasycznymi, nie umiał go zrozumieć. Godzina jego nie prędko wybić miała. Współcześni malarze, oprócz kilku, nie pojmwali go wcale: widzieli w nim prostaka, wychowanego w cieniu normandzkich lasów. Ten prostak tymczasem, rozmiłowany w literaturze, cheiwy światła, pochłaniał książki w chwilach wolnych od pracy. W Cherburgu już, związany przyjaźnią z młodym księgarzem otrzymywał od niego wszystkie dawne i nowe dzieła. Z zapalem roz-

czytywał się w Homerze, Szekspir porywał go, Byron zdumiewał, Walterskot poruszał do głębi. Umiął na pamięć Beranżera; ballady niemieckie Getego, czarowały jego wyobraźnią. Liczne już dzieła Wiktora Hugo, rad był sprowadzić do dwóch albo trzech tomów, wyrzucić z nich wszystko, co trąciło przesadą. „Gdyby, mawiał, obciąć co w nim zbyteczne, mielibyśmy nowego Homera!”

Wróg wszelkiej przesady, niecierpiał jój w malarstwie. Paryż tymczasem przepadał za sielankowemi obrazkami w rodzaju Bouche-ra, Watteau i innych idyllistów XVIII-go wieku. Chłopi Milleta budzili śmiech i wzgardę: nikt kupować ich nie chciał. Zasoby tymczasem wyczerpywały się zwolna, nowe nie nadchodziły. Miasto Cherb-urg, na wieść, że stypendysta nowe toruje sobie drogi, odmówiło dalszych zasiłków. Millet z odrazą malował sielanki, aby nie umrzeć z głodu, handlarze obrazów kupowali je po dziesięć franków. Gdy to nie wystarczało, musiał malować szyldy.

W r. 1841 posłał dwa portrety na wystawę: lepszy z nich odrzucony został; przyjęto jeden wykonany według metody Delarocha. W następnych latach sąd artystów odrzucał stale jego prace. Trawiony tęsknotą malarz, zaglądał raz poraz do Normandyi, a zaczerpnąwszy sił przy domowem ognisku, wracał znów do Paryża i z nową energią siadał za stalugami.

W lat cztery po pierwszém wystąpieniu, powrócił ze zwykłej wycieczki z młodą żoną, którą poślubił w Hawrze. Poddasze jego nagle się ożywiło, ale z życiem rodzinném przyszły nowe potrzeby. Żądano mytologicznych obrazów: artysta malował je ze wstrętem.

Raz wieczorem przechodził ulicą; przed sklepem obrazów spostrzegł grupę młodych uczniów, przyglądającą się Nimfom wychodzącym z kąpeli.

— Czyj to obraz?—zapyta jeden z grona.

— Milleta—odrzecze drugi—alboż go nie poznajesz? on nic innego wymalować nie umie.

Te słowa dobodły artystę do żywego. Śpiesznym krokiem wraca do domu.

— Słuchaj mnie—rzecze do żony—jeśli zgodzisz się na to, porzucę rodzaj malarstwa, jakiemu oddaję się z konieczności. Życie trudniejszym będzie dla nas: ty przycierpisz, biedaczko, ale będę wolnym, pójdę za głosem, co popycha mnie naprzód.

— Czyń według woli twojej—odpowiē słodko żona—jam gotowa na wszystko.

Od téj chwili Millet oswobodzony w duchu, malował wyłącznie obrazy z życia wieśniaczego. Rozpoczął tę wielką epopeę ludową, której karty rozrzucone dziś po dwóch półkulach świata, stały się kamieniem węgielnym nowój szkoly malarzkiej we Francji.

Drogo artysta opłacił wolność swoją. W r. 1848 powstał na wystawę „Wieśniaka wiejącego zboże.” Kto wieć, czyby ten śliczny utwór, opłacony dziś na wagę złota, przyjęty był przez sędziów, gdyby nie

okoliczność, że skutkiem rewolucyi lutowej, sąd został usunięty; wszystkie nadesłane obrazy pomieszczono w salonie. Ale nikt w tych burzliwych czasach nie nabywał obrazów. Millet przywieziony był do ostatecznej nędzy. Słowo skargi nie wybiegło przecież z ust jego; żona cierpiała też w milczeniu. Wówczassto przyjaciel, odgadując stan rzeczy, przyniósł mu zaliczenie na nową pracę.

„Gdy wszedł do izdebki, mówi ten zacny przyjaciel, biedak siedział skulony, cały drżący od zimna; wręczyłem mu sto franków.

— Dziękuję ci—rzekł—przychodzisz w porę: nie jadłem nic od dwóch dni. Dzieci jednak nie ucierpiały głodu.

W rok potem wystawił w salonie wieśniaczkę, spoczywającą po pracy. Przeszła niespostrzeżona. Ogót zajęty wyłącznie polityką, nie myślał wtedy o obrazach. Cholera dziesiątkowała ludność: kto mógł, uciekał z zapowietrzonej stolicy. Wówczassto Millet z żoną i trojgiem dzieci wyniósł się do wioski Barbison, graniczącej z fonteneblowskim lasem. Najął ubogą chatę i maleńki ogródek: miało to być tymczasowe schronienie. Millet przemieszkał tam lat dwadzieścia siedm; tam wykonał arcydzieła swoje, tam dokonał pracowitego życia. Ten skromny dach ocieniał do końca jego głowę, z tą różnicą, że w miarę polepszającego się bytu i zwiększania rodziny, chatą rozrastała się także; przystawiano do niej coraz nowe izdebki, dla dziewięciorga dzieci.

Z tej cichéj ustroni wystąpił Millet na wystawę r. 1850 piękny obraz: „Kosiarzy grabiących w kopki siano” i drugi: „Siejącego zboże wieśniaka.” Wspaniała to postać ten rolnik z ogorzałą cerą, z kościstymi rękoma, w czerwonym, spłowiałym kaftanie i zmiętym kapeluszu. Ponad nim ulatuje chmara ptastwa, czyhająca na ziarno; w oddaleniu oracz schylony nad pługiem, pogania parę wołów. Obraz ten zwrócił uwagę publiczności, ale obok pochwalnych głosów, dały się słyszeć inne: krytycy widzieli w tym poważnym siewcy zamach na społeczny porządek; ta garść ziarna, rzucona w powietrze, wydała się w ich oczach garścią kul i kartaczów: żywą protestacją przeciwko nędzy robotnika. Było to wkrótce po krwawych dniach czerwcowych; przerażone umysły we wszystkiém widziały niebezpieczeństwo. Millet tymczasem nie myślał o przewrotach społecznych; kość z kości ludu, kochał go miłością gorącą, szanował jego pracę, widział w niej wzniosłą poezją, spełnienie słów: „będziesz spożywał chleb twój w pocie czoła.”

„Wyznam ci, pisze w liście do przyjaciela, choćby mnie posądzono o socjalizm, że strona ludzka porusza mnie najgłębiej w sztuce, cokolwiek tworze, wyrazem jest odebranego wrażenia. Otóż strona wesoła nie przedstawia się nigdy oczom moim; nie wiem gdzie jęj szukać: nigdy jęj nie widziałem. Nie znam nic miłszego nad spoczynek w zaciszy leśnej, lub na polu świeżo zaoraném. Tam najlepiej dumam, ale pojmiesz sam, że ta zaduma jakkolwiek miła, ma w sobie coś smętnego.”

Taki też charakter mają wszystkie ludowe obrazy Milleta, czyto wykonane pędzlem, czy naszkicowane kredą lub pastelami. Liczba ich

bardzo wielka; artysta odtworzył w nich wszystkie chwile życia wieśniaczego: tu ukazuje skrętną prądkę przy kołowrotku, tam kmiecia idącego do chaty z pękiem chróstu na plecach; tam znów grono kobiet zajęte strzyżką wełny, pastuchów z trzodą owiec, żniwa, kośby, pokłosisie: słowem, wszelkie roboty w polu i przy ognisku.

Pomału smak publiczny począł zwracać się ku obrazkom Milleta, ponieważ jednak trudno być prorokiem pomiędzy swymi, Amerykanie i Anglicy wyprzedzili Francuzów w ich ocenieniu. Krytycy francuzcy, przesiąknięci nawskroś konwencyonalizmem, przekładali zawsze Apolinów i Orfeuszów greckich, nad oraczy w bluzie, lub pastuchów w żabotach. Niektórzy jednak odczuli geniusz Milleta i poważyli się wbrew opinii policzyć go do mistrzów. Jeszcze Millet żadnego nie otrzymał był medalu, a już krytyk Pelloquet oświadczył stanowczo, że ten artysta wprowadza nowy żywioł do sztuki, że jest poetycznym i uczonym tłumaczem idei, dotąd nie wprowadzonej w życie; słowem, że jest pierwszym mistrzem swjej epoki, że będzie kiedyś chwałą swojego czasu. Pelloquet nie znał wcale Milleta, przyjaźń nie kierowała jego piórem.

Inny słynny krytyk Teofil Gautier, ujrzawszy na wystawie „Żniwiarzy,” zawołał z uniesieniem: „Oto mi poezya! oto lud w pełnym majestacie! Pochylam mimowoli czoło wobec tych prostaków, tych zapasników zbrojnych w kosy, tych karmicieli naszych!”

Piękne to dzieło zjednało artyście medal 2-giej klasy; przeciwnicy silnie protestowali: w oczach ich malarz ludu był krwawym demagogiem.

Promyk sławy błysnął artyście, ale był jego wcale się nie poprawił. Gdy głód zagrażał dziatkom, dobry ojciec odrzucał pędzel, chwycił za kręde, kręślił naprędce jakąś postać typową, posyłał rysunek do Paryża. Przyjaciół sprzedawał te świstki po kilkanaście franków. Na jednej z ostatnich licytacji płacono za nie po franków 6000!

Millet znosił z odwagą ubóstwo, ale serce jego pękało z bólu, gdy na wieść o chorobie babki nie mógł pośpieszyć do niej po ostatnie błogosławieństwo. Za babką poszła matka; dobry syn przykuty do miejscy, nie mógł rzucić garści ziemi na drogą trumnę.

Ledwie że matka zamknęła oczy, błogosławiąc nieobecne go syna, bogaty Amerykanin nabył obraz jego za 2000 franków. Artysta nagle wzbogacony, zabiera żonę z dziatwą, pośpiesza do Normandyi, aby powitać rodzeństwo, zapłakać na drogich grobach i odetchnąć powietrzem rodzinnej wioski.

Razu jednego wieczorem przebiegał wzdłuż i wszerz pole, gdy postęszął dzwon na Anioł Pański. Zwraca się żywo ku stronie kościółka, wchodzi w progi, widzi przed ołtarzem kłęczącego plebana z siwą głową. Po chwili starzec powstaje, zbliża się, uderza go zlekka po ramieniu.

— Tyżeśto, Franku?—zagadnie ze słodkim uśmiechem.

Był to ów wikary, pierwszy jego profesor: uściśnęli się obaj ze łzami.

— A Biblia, mój Franku, czy jój nie zapomniałeś?—spyta kapłan—a psalmy... czytasz-li je niekiedy?

— Czytam, mój Ojciec—odpowie Millet—wszystko, co wykonałem, zaczerpnięte w tym zdroju.

— Słodkie to dla mnie słowa—odrzecze kapłan—nie często słyszę je w tym czasie. Bóg ci je wynagrodzi... Dawniej lubieś Wirgilego.

— I dziś lubię go tak jak dawniej...

— To dobrze, dobrze, synu. Jakżem ja szczęśliwy! posiałem ziarno i wzeszło mi tak bujnie. Będziesz zbierał plony, moje dziecko.

Zabawił malarz cztery miesiące w rodzinnej wiosce swojej; zebrał tam niezliczoną moc typów i krajobrazów.

Z owych normandzkich szkiców Millet za powrotem do Barbisou tworzył coraz nowe obrazy, wystawiał je w salonie i coraz nowe gromy ściągał na głowę swoją. Wytworny Paryż nie mógł w nim zasmakować: okrzyczano go malarzem brzydota wiejskich."

— Brak-że na wsi dorodnej młodzieży i pięknych dziewcząt?—powtarzali krytycy.

— Tak, nie brak—odpowiadał Millet—ale piękność nie leży w samych rysach; promienieje ona z całej postaci: szukać jój przede wszystkim w prawdzie. Wasze ładne wieśniaczki dzwignęłyżby naręcz drzewa, lub wiązkę chróstu? zbierałyżby kłosa pod skwarem słońca sierpniowego? ciągnęłyżby wodę ze studni? Kiedy malować będę matkę, oddam jój piękność w uśmiechu i spojrzeniu na dziecię. Piękność, to nie kształt rysów, ale wyraz oblicza.

Mimo zawziętości krytyków, mimo chłodu publiczności paryżkiej, imię przecież Milleta coraz szerszego nabierało rozgłosu. W miarę pracy, geniusz mistrza rozwijał się potężnie, ręka jego coraz dzielniej władała pędzlem, twórcza myśl w coraz piękniejsze przybierała się formy. Wówczas powstało niezrównane arcydzieło, ów „Angelus,” nabyty dziś za 200,000 franków, wówczas zaś odstąpiony za 2000 amatorowi belgijskiemu.

I któżby przypuścił?.. w tymże samym roku 1859, sąd przysięgłych odrzucił inny obraz artysty, według bajki Lafontaine, przedstawiający „Drwala ze śmiercią.” Oburzony tym wyrokiem Aleksander Dumas (ojciec), wystąpił z silną protestacją.

„Zarzućcie, rzekł on, Milletowi, że obrazy jego smutne i żałosne, a któż wie, czyli artysta, który opowiada pędzlem, jak my opowiadamy piórem, któż wie, czyli ten artysta nie kreśli pamiątek duszy własnej; czyli nie czuje się smutnym i zbolalym, patrząc na wytrwałych pracowników, którym nie błyska nadzieja wychnienia i błogięj pociechy?

„Krytyk z poglądem zdrowym i bezstronnym, ciągnie Dumas, równie jest rzadkiem zjawiskiem, jak i wielki artysta. Jeśli taki krytyk istnieje, żaden sąd przysięgłych nie wezwie go do rady.”

Millet gorzko uczuł niesprawiedliwość, przypłacił ją długą i ciężką chorobą.

W kilka lat później, nowy oryginalny utwór: „Robotnik wsparty na motyce,” równą wywołał burzę. Pociski sypnęły się gradem na artystę: krytycy ogłosili utwór bezecną szkaradą; kilka głosów przecież postawiło go obok arcydzieł rembrantowskich. W obronie artysty, nieznanego poeta wystąpił z gorącym sonetem; dajemy go w przekładzie:

Rzuć, mistrzu, bohater, króle i najady,
 Niech w bajkach olimpijskich Kabanele toną;
 Wolę twego poczciwca z twarzą osmaloną,
 Na której pług boleści wyorał swe ślady.
 Zostaw na dnie Wenerę, z fal morskich zrodzoną,
 Odkryj nam nędzy ludzkiej bezecne szkarady;
 Nędzy, co wśród wiekowej na świecie biesiady,
 Ssie szpik z kości biédaków paszczą krwi złaknioną.
 Naznacz piętne ohydy tę potworę wścieklą,
 Twoja ręka niech łupy z gardzieli jój wydrze:
 Podzégaj zapaśników przeciw strasznej hydrze!
 Tys odmalował żeńców i niebo i piekło:
 Zostanę na wiek wieki, z promienistém czołem,
 Dantem ludu, nędzarzy Michałem Aniołem!

Walka ta mniej poruszyła artystę, niż dawniejsze pociski. Pewny siebie, szedł raz obroną drogą. Zarzut socjalizmu wywoływał uśmiech na jego ustach. „Widział-że mnie kto kiedy w klubie socyalistów? pisze do przyjaciela. Zarzucają mi, że wdzięk wsi zupełnie mi nieznany. Ja widzę tam coś więcej, niż prosty wdzięk: widzę nieskończony majestat! Jak oni, widzę drobne kwiatki, o których Chrystus powiedział: „Zaprawdę, Salomon w całym blasku chwały swojej, nie był odzianym jak jeden z nich!” Widzę aureolę jaskierków i promień słońca, wybiegający zdaleka z poza chmury, ale widzę niemniej zziąjanego oracza, jak prowadzi pług po spiekłym od słońca ugorze i siada na chwilę, by wyprostować członki i odetchnąć!

„Nie ja to wymyśliłem jęk ziemi, znany oddawna:” drudzy mówili o nim.

„Moi krytycy, pełni smaku estetycznego i nauki, ależ ja nie mogę wleźć w ich skórę. Przez całe życie widziałem tylko pola; staram się opowiedzieć to, com czuł, gdy sam uprawiał rolę.

„Odrzucam z całą siłą, pisze dalej, zarzut demokratyzmu, jak go rozumieją w języku klubowym. Chciałem tylko skierować myśl ogółu na człowieka, pracującego na chleb w czoła pocie. Ja jestem chłopem, prostym chłopem!”

Wystawa powszechna r. 1867, rozgłosiła imię artysty. Zebrał on najpiękniejsze obrazy swoje, rozrzucone po prywatnych galeryach, wystawił dziewięć wspaniałych płócien. Przypominamy sobie „Strzyż-

kę owiec, „Pasterza,“ „Zbiór kartofli,“ a szczególnie cudny „Angelus.“ „Drwal ze śmiercią,“ odrażony niedawno z salonu, znalazł tu chlubne miejsce. Artysta otrzymał złoty medal. W rok potem przyznano mu krzyż Legii honorowej. Przeciągły oklask młodych malarzy, w chwili, gdy imię jego wymówiono, świadczy, o ile to imię stało się popularnym. Miłośnicy sztuki raz po raz odwiedzali skromną jego pracownię. Bogaty przemysłowiec alzacki, Hartman, zamówił dwanaście obrazów, na które zobowiązał się zaliczać miesięcznie po 2,000 franków. Byt rodziny został zapewniony.

Nadszedł rok 1870. Prusacy zbliżali się szybkim pochodem: Millet z rodziną schronił się do Cherburga. Przebył rok w drogiej mu Normandyi, pracując bez ustanku. Ale smutne wieści, dobiegające z Paryża, dręczyły go boleśnie. Listy do przyjaciela, świadczą o gorących jego uczuciach patryotycznych: ów mniemany socjalista, bolał szczególnie nad gwałtami komunardów. „Co ci nędznicy wyprawiają w Paryżu! pisze w liście, świat nie widział takich potworów! czémże przy nich Wandale: tamci łupili tylko między obcymi!“

Z najwyższem oburzeniem wyczytał w dzienniku, że go zamianowano członkiem Federacji artystów paryzkich, pod prezydencją Courbeta. Odpowiedział na to silną protestacją.

Po skończonej wojnie, krytyk Sylvestre odwiedził go w Cherburgu. „Zastałem Milleta, mówi on, przy stole, z żoną i dziewięciorgiem dzieci i dwoma zięciami, tylko co przybyłymi z obozu. Piękny to obraz patryarchalny, jak na te czasy, hańby, mordów i poniżenia!“

„Widziałem jego krajobraz, wysłany już do Londynu: widok wybrzeży normandzkich. To nie prosta kompozycja, raczej psalm wyśpiewany z głębi duszy, pełen samodzielnej potęgi i spokoju! Przedmiot wzięty z przyrody, ale spokrewniony duchowo ze wszystkiem, co wielkie i piękne: z Biblią, z Homerem, z Dantem, z Michałem Aniołem. Obraz ten powinien nosić tytuł: „Ziemia, Morze i Niebo.“ To wierny wizerunek trzech żywiołów. Millet stanął na szczycie: stworzył wielkość z niczego. Prawda, że to nic, to on sam, człowiek, poeta, malarz!..“

Za powrotem do Barbisonu, artysta z równym pracował zapałem, ale siły często go opuszczały. W r. 1873, rząd Rzeczypospolitej postanowił ozdobić ściany Panteonu, obrazami pierwszych francuzkich mistrzów. Dyrekcyja Sztuk Pięknych wezwała Milleta do udziału w tej pomnikowej pracy. Powierzono mu ośm przedmiotów z życia Ś. Genowefy, za sumę 50,000 fr. Millet wziął się żywo do dzieła, naszkicował pierwsze zarysy, ale wkrótce pędzel wypadł z omłatej ręki mistrza. Trawiony ciągłą gorączką, przeczuwał on skon blizki: zalecał żonie, aby szczepiła zgodę i miłość wzajemną między dziećmi. Żał mu było umierać, i to w chwili, gdy zaczął jasnym okiem patrzeć w przyrodę, gdy zbadał do gruntu tajemnice sztuki. Umarł w pierwszych dniach stycznia 1875 roku.

Wieść o tym przedczesnym skonie, poruszyła głęboko świat ar-

tystyczny. Zaciegi nawet przeciwnicy, umilkli w obec grobu. Piśma francuzkie, angielskie i belgijskie, zgodnym chórem zabrzmiały na cześć mistrza. Sprzedaż pozostałych szkiców przyniosła znaczną sumę. Wówczas rząd nabył „Widok kościoła w Greville,“ i kolekcją rysunków. Jedyna to pozostałość po wielkim artyście, którym chlubi się paryzkie Muzeum. Najcenniejsze obrazy pozostały w ręku prywatnych miłośników; większa część przeszła do Belgii, Anglii i Ameryki. Francuzi pozostała tylko chwała, że z łona jój wyszedł genialny twórca ludowej szkoły w malarstwie, chwała przyćmiona nieco wyrzutem, iż nie umiała ocenić go za życia, iż w smutny sposób potwierdziła przysłowie: „Trudno być prorokiem między swymi!“

W ostatnich czasach krytycy francuzcy gorąco zajęli się Szekspirem. Profesor Stapfer wziął go za przedmiot kilkoletniego wykładu, w jednym z fakultetów literatury, znakomite studia jego, niedawno ogłoszone drukiem, dały poznać różnostronnie geniusz wielkiego dramaturga angielskiego. Profesor Mezieres poświęcił mu zeszlatoroczny wykład w Sorbonie. Pomijamy mnóstwo przekładów i rozpraw krytycznych wielkiej zarówno doniosłości. Po tém wszystkiém, co powiedziano o Szekspirze, zdawało się rzeczą niepodobną, poruszyć nieknięta jeszcze strunę, dokonał tego przecież uczony filolog James Darmsteter. Wydał on obecnie nowy przekład Makbeta i poprzedził go rozprawą, nacechowaną prawdziwie samoistnym poglądem. Pokazuje w niej geniusz Szekspira, odradzający się kilkakrotnie i wstępujący w coraz to nowe fazy. „Szekspir, mówi on, zmieniał się jako człowiek, zmieniał jako artysta, zmieniał się w myśli, zmieniał w stylu.“ Te przemiany oznaczył krytyk, ukazując arcydzieła jego, w czterech całkiem odrębnych grupach.

Historyczny rozwój geniuszu Szekspira, tworzy, zdaniem krytyka, wielki trzyaktowy dramat, poprzedzony prologiem. W prologu same próby: geniusz szuka drogi właściwej. Dramat z tych czasów (jak „Romeo i Julia“) pełen uniesień i gwałtownego szału; komedia tryska życiem, ale fantastyczna do zbytku, nie szukać w niej prawdopodobieństwa, ani głęboko zarysowanych charakterów. Poezya przemaga nad dramatycznym arcyzmem.

Akt pierwszy od roku 1593, obejmuje okres ośmioletni. Ryszard III pokazuje nowy zwrot: uczuciowość znika, miejsce jój zastępują namiętne porywy. Nuta komiczna dźwięczy wśród najtragiczniejszych sytuacji. Poeta pogodnóm jeszcze okiem patrzy na ludzkie losy; niekiedy chmura smutku przemknie mu przed oczyma; z ust jego wybiegnie gorzkie słowo, ale gorycz ta nie zaprawna trującym jadem: poza chmurą igra słoneczny promyk.

Akt drugi ciągnie się przez lat siedm, od r. 1601. Życie zawiodło poetę: widzi świat czarnym osłonięty całunem; boleść szarpie mu serce, na widok tryumfującej zbrodni: w tym rozpaczliwym stanie ducha rzuca na scenę gromady lwów i tygrysów, przedzierzgniętych

w ludzkie postaci; ukazuje pijane krwią potwory, jakich fantazyja poetów jeszcze nie wymarzyła. Do tego wielkiego okresu należy „Juliusz Cezar,” „Makbet,” „Hamlet,” „Król Lear,” „Otello,” „Koryolan.” Szał ogarnia umysły; usta śmieją się, ale sarkastycznym śmiechem, straszonym, niby syk węzów; w obec nędzy ludzkiej, pogarda przemaga nad litością.

Akt trzeci obejmuje lat pięć do roku 1613. Walka ustaje, pokój wraca; poeta ogarnia wzrokiem pogodniejszy widnokrąg. Z pobłażaniem patrzy na ludzkie błędy; żal do świata, zmienia się w cichy smutek i łagodną rezygnację. Do tego zwrotu należy „Cymbelin” i „Burza,” utwory pełne swobodnej fantazyi.

W pierwszym akcie, jak słusznie uważa krytyk, poeta trzyma się szczerze ziemi; w drugim zstępuje w otchłań piekieł; w trzecim na lotnych skrzydłach wzbija się ku niebiosom. Znakomita rozprawa Darmstetera, głęboko obnyślana, odznacza się również werwą i wdziękiem, co nie zawsze chodzi w parze z erudycją.

Słynny egiptolog Maspero, były profesor w kolegium Francuzkiem, powołany niedawno przez khedifa Egiptu, na dyrektora muzeum Bonlaeg, świetnie rozpoczął swój zawód i na samym wstępie okazał się godnym następcą zmarłego Maryetta Paszy. Maspero przybył obecnie do Paryża, gdzie na zebraniu Akademii napisów, zdawał sprawę z dokonanych pod jego kierunkiem wykopalisk, nadzwyczaj ważnych dla historii starożytnego Egiptu.

Rozpoczęto prace jednocześnie w trzech miejscach: w Aleksandryi, w Tebach i w Sakkarah. W Aleksandryi spodziewano się odkryć grób Aleksandra Wielkiego, lecz nadzieje te omylone zostały. Najświetniejszy plon przyniosły wykopaliska tebańskie. Maryette w ostatnich chwilach życia, patrzył niespokojném okiem na rozmaite przedmioty, pochodzące wyraźnie z grobów królewskich, które nabywali podróżnicy angielscy od tubylców. Zwątlone siły nie pozwoliły mu dotrzeć do gruntu rzeczy. W myśl poprzednika, Maspero udał się do Teb, z pomocą władz rządowych, wykonał śledztwo, schwycił na uczynku Araba, frymarczącego tajemnie archeologicznymi zabytkami; uwięziony Arab wydał współników swoich i wskazał nieprzebrany skarbiec, z którego czerpał wraz z nimi pełną ręką.

W głębokiej grocie, pod zwaliskami starożytnego miasta, odkrył Maspero sarkofagi i mumie trzydziestu sześciu królów i około pięciu tysięcy przedmiotów z najdawniejszych epok. Są pomiędzy nimi cztery papyruse; każdy z nich długi na metrów szesnaście; cztery stołki ukute z brązu; wielki namiot ze skóry, wyszywany w hieroglify kolorem czerwonym, żółtym i zielonym, jak niemniej piętnaście piramidalnych peruk, sztucznie utrefionych, które nosiły królowe podczas uroczystości. Drobniejsze przedmioty składają się z posążków Ozyrysa, talizmanów, klejnotów złotych i t. p. Nagromadzenie tylu skarbów z rozmaitych epok, stało się dla uczonych ciekawym problema-

tem. Przypuszczają, że jeden z ostatnich Faraonów, aby uchronić prochy przodków swoich od zniewagi, w czasach powszechnego rozprzężenia, rozkazał ukryć je w niedostępném miejscu, wraz z drogo-cennym swoim skarbcem. Wszystkie te zabytki, przeniesione do Boulaeg, wzbogaciły słynne muzeum Maryette Paszy.

W Sakkarah, p. Maspero otworzył trzy nietknięte dotąd piramidy i odkrył w nich groby królów z V i VI dynastyi. Do owéj epoki należy znaleziony tamże papyrus obejmujący 800 wierszy. Maspero odczytał z nich połowę. Jestto czysto religijny tekst, bez związku z historią; zawiera on też same formuły liturgiczne i magiczne, jak znane teksta z epoki ostatnich dynastyi. Rzecz godna niemniej uwagi, że mumie królów odkrytych w grocie tebańskiéj, przedstawiają tenże sam typ jak postacie żyjących dziś Fellachów.

Inny słynny archeolog Schlieman, wraz z małżonką swoją, otrzymał w tych czasach uroczystą owacyą w Berlinie wyprawioną przez magistrat miasta i grono uczonych niemieckich. Dr. Schlieman jak wiadomo ofiarował cesarstwu niemieckiemu skarby odkopane w zwaliskach starożytnéj Troi. Zabytki te złożone są w Berlinie, gdzie na pomieszczenie ich urządzają właśnie wspaniałe muzeum. Zarząd municypalny wywdzięczając się, nadał donatorowi tytuł honorowego obywatela miasta Berlina. Burmistrz z licznym orszakiem, wprowadził tryumfalnie państwa Schlieman do stolicy przez wielką bramę ratuszową. Pilastry ozdobione były wieńcami z wawrzynu i liści dębowych. Muzyka przygrywała marsza z Tannhäuзера. W wielkiéj sali ratuszowej, profesor Virchow zabrał głos, wystawiając patriotyzm i wytrwałość archeologa. Dr. Schlieman w odpowiedzi na to, skreślił historię życia swego i podjętych trudów. Poczém dyrektor muzeów berlińskich Schrem podziękował raz jeszcze w imię nauki; zakończył mowę zwracając się do pana Schlieman. „Ifigenia” Goetego, rzekł, domaga się ojczyzny greckiej, my zaś mamy nadzieję, że serce Greczynki, przyrośnie choć w części do miasta, gdzie skarby, które ma prawo uważać za własność, znalazły schronienie wiecznotrwałe.

Wśród nawału powieści realistycznych, o których wspominać nie warto, odznaczają się niepospolitym wdziękiem, maleńkie nowelle Ludwika Halewego, wydane w jednym tomie. Ogólny tytuł: „Małżeństwo z miłości,” wzięty od jednéj z tych powiastek. Jestto prawdziwy klejnocik, obrobiony misternie ręką biegłego psychologa. Młodzi małżonkowie, po dwóch latach najszczęśliwszego pożycia, ukazują sobie dzienniczki kreślone pod wpływem wrażeń doznanych przy pierwszém poznaniu. Notatki męża krótkie, ale żar tryska z niedopowiedzianych półsłówek. Obszerniejszy dziennik młodéj żony odkrywa najdelikatniejszą stronę dziewczyczych uczuć. Brak tu napozór wątku, żadna zapora nie staje na drodze młodéj parze: wymowny dowód, jak biegły

artysta potrafi wydobyc efekt z najzwyczajniejszych przygód życia, jeśli trzyma się zasady wielkiego poety naszego:

Miej serce i patrz w serce!

Inne nowelle zawarte w tomiku „Ambasador chiński,” „Defilada,” „Deputowany,” lubo skreślone z humorystyczną werwą, nie odpowiadają wartością pierwszją. W jednej p. t.: „Nauczyciel tańca,” znajdujemy charakterystyczną postać starego zwolennika Terpsycho-ry, który przewiduje straszny jakiś kataklizm w społeczeństwie, bo młodzież przestała tańcować. Autor opowiada w prologu rozmowę swoją ze sfanatyzowanym baletnikiem.

— Masz pan zapewne nie mało lekcji w wielkim świecie—pyta autor.

— Tak jest; mam piękną klientelę w paryżkiej arystokracji. Panienci uczą się jeszcze tańca, ale młodzież ucieka od niego jak od morowej zarazy. Gra w karty po klubach, wyścigi konne, małe teatryki: oto dziś cała ich zabawa. Wszystko to sprawa rządu!

— I w czémże tu rząd winien?

— W czém? Oto pan Juliusz Ferry ułożył nowy program uniwersyteckich nauk. Niektóre rzeczy są tam obowiązujące, jak nauka żywych języków. Nie ganię go za to; żywe języki potrzebne bezwątpienia... ależ tańce, mój panie!... ani słowa o tańcu w programie! Wypadało przecież ustanowić profesora tańca przy każdym liceum, urządzić szkołę normalną tańca, zaprowadzić egzamina i konkursowe nagrody. Uczniowie powinni komponować nowe figury w tańcu, jak komponują wersje greckie i temata łacińskie. Taniec, nie jestże także językiem, którym powinien mówić każdy człowiek dobrze wychowany? A wiesz pan co się dziś przytrafia? Ot w dyplomacji, pełno niezdarów co płaczą figury w kadrylu, a w walcu mijają się z taktem! Czują oni sami że ich edukacja niekompletna. W tych dniach naprzykład, przyszedł do mnie młodzieniec bardzo przyzwoity—cóż ztąd, kiedy nie umie tańczyć! Powołano go na sekretarza wielkiej ambasad: on nieborak nigdy nie tańczył—słyszysz pan? nigdy! Ktoby uwierzył, a przecież tak jest... Biedny chłopiec nie wie co to kadryl! Tak to p. Barthélemy St. Hilaire wybiera dyplomatów!”

Tego rodzaju nowelle wielkiej dziś używają wziętości. Są one tępem w literaturze, czém w malarstwie rodzajowe obrazki. Główną ich zaletą schwycenie charakterów. Rzecz nie łatwa w czasach obecnych: potrzeba nader badawczego oka aby dopatrzeć charakterystyczne rysy w jednostkach, dziś, gdy cechy osobistości tak się zacierają pod pokostem światowego poluru.

Składać wszystko złe na karb rządu, stało się w Paryżu modą panującą. Ten popęd schwycił Wiktoryn Sardou i uwydatnił w jednej z dowcipnych komedji swoich. Ktoś dobywa z paczki zapałkę, pociera ją o papier: ogień zająć się nie chce, próżne usiłowania. Pocziwiec

marszczy brwi, dalejże sarkać na monopol ciężący na zapałkach: „I to zowie się rządem!”—woła w gniewie, tupiąc o ziemię nogą. Takich malkontentów spotykamy co chwila między literackimi krytykami. Prześcignął ich wszystkich p. Pontmartin znany legitymista, autor sobotnich felietonów w „Gazecie francuzkiej.” Każdy artykuł rozpoczyna on jeremiadą na obecny stan rzeczy: że jednak umie zaprawiać krytyki swoje dobrą szczyptą soli atyckiej, że się nie ogląda na nic i ostrym łukiem mierzy w czoła olbrzymów takich jak Wiktor Hugo, że jest człowiekiem głębokich przekonań i rozległej nauki, pozyskał przeto popularność, zdobył mir u ludzi przeciwnego nawet obozu.

W tych dniach Pontmartin wydał książkę p. t.: „Wspomnienia starego krytyka.” Jest to zbiór luźnych artykułów, częstokroć humorystycznych o bieżącej literaturze i współczesnych literatach. Jak łatwo zgadnąć, polityka nie małą rolę odgrywa w tych studyach. Autor uosobił rząd republikański w postaci niezgrabnej „Maryanny.” Cokolwiek stało się złego, winna temu „Maryanna.” Jeśli Zola zanurzył powieść w bagniskach realizmu, jeśli szkoła jego rozsiewa zgnity miazmat, kogoż winić jeżeli nie „Maryannę?” Przechodzi wreszcie krytyk do obrazków Ludwika Halewego: z szerególném upodobaniem wspomina powiastkę p. t.: „Pani Cardinal.” Zachwyca się barwą i wonią tych świeżych kwiatów, sypie gorące pochwały autorowi: „Dzięki ci, panie, woła, stokrotne dzięki! z łaski twojej przeżyłem kilka miłych godzin; tak miłych, że pod ich urokiem zapomniałem o wszystkim co mnie dręczy: o artykule 7, o wyrokach i gwałtach, a nawet o Maryannie!

Ostateczności spotykają się z sobą: słuszność starego przysłowia widoczna dziś bardziej niż kiedykolwiek. Podczas gdy realiści, posuwając teorie swoje aż do nihilizmu, wołają chórem: „precz z przeszłością! precz z tradycją!” idealiści tymczasem aby podnieść ducha do wyższej potęgi, stawiają pomniki tak żywym jak umarłym, a uczczeniem wszelkiego rodzaju pracy i zasługi, skupiają w sercu siły do uonych ofiar. Portugalczycy uczcili niedawno Kamoensa, Hiszpanie Calderona, Niemcy Hegla, Francuzi Beaumarchais'ego i Rouget de Lisle, twórcę Marsylianki, że pominiemy tylu innych. Wszystkich jednak prześcignęli Westfalczycy: ci bowiem nie poprzestając już na uczczeniu historycznej postaci, wybrali za przedmiot owacyi bohatera z mitycznych podań narodowych. Miasto Cleve, przy napływie gości z całych północnych Niemiec, położyło kamień węgielny, na pomnik dla bajecznego Lohengrina.

Uroczystość tę uświetniła międzynarodowa wystawa przyrządów łowieckich, dotąd jeszcze otwarta. Całe miasto ozdobiono wiencami kwiatów i setkami tak prowincjonalnych jak cechowych chorągwi. Orpheony wykonywały narodowe melodye, przy fantasmagoryi fajerwerków i ogni bengalskich. Koroną uroczystości był historyczny pochód przedstawiający starożytne rody westfalskie. Występowali w nim

w pysznych średniowiecznych strojach, księżęta Kliwii, słynni w XIV wieku, z orszakiem licznych elektorów i palatynów. Potomkowie Lohengrina mieli na tarczach łabędzie z legendy niemieckiej.

Miasto Cleve było, jak utrzymuje z chlubą, rezydencją owego Lohengrina, opiewanego przez Minesengerów. Z pomiędzy nich uczył szczególnie bajecznego bohatera Wolfram z Eshembach, w słynnej trylogii, która posłużyła Wagnerowi za wątek do opery. Oto treść poematu:

Piękna księżniczka Elsam, jedyna dziedziczka Kliwijskiego domu, odmówiła ręki Tritzowi z Telramund, potężnemu wasalowi ojca swego. Dumny rycerz staje w szrankach, w obecności cesarza Henryka, wyzywa do walki zapaśników: ustąpi praw swoich temu, kto go pokona. Ale żaden współzawodnik nie wystąpił do boju; żaden nie śmie zmierzyć się z olbrzymem. Księżniczka patrzy z wieży zamkowej; uniesiona rozpaczą, gotowa rzucić się w nurty Renu. Nagle ukazuje się na rzece piękny rycerz; stoi na złocistej łodzi, ciągniony przez białego łabędzia. To Lohengrin... przybija do brzegu, wstępuje w szranki. Po gwałtowném starciu Tritz z Telramund pada trupem na ziemię. Zwycięzca zaślubia piękną Elsam, ale zastrzega sobie, że małżonka nie zapyta nigdy, kto on jest? z kąd przybywa? Po dziesięciu latach najszczęśliwszego pożycia, żona przepomniała obietnicy. Lohengrin ucieka z kódką i łabędziem. Elsam umiera z bolesti.

Legenda dodaje, że Lohengrin osłonięty głęboką tajemnicą, zakończył życie w Lyzaborik (dzisiejszym Luksemburgu). Od imienia jego pochodzi, jak mówią, nazwa Lotaryngii.

W idealizmie niemieckim, jak widzimy, dźwięczy struna patryotyczna. Pomnik zbudowany Lohengrinowi nie jestże w myśli Niemców potwierdzeniem ich praw do Lotaryngii?

Bezinteresowniejszy patryotyzm okazał historyk belgijski Teofil Cailleux; temu bowiem nie idzie o zabory, lecz tylko o chwałę narodową. W świeżo wydaném dziele p. t.: „Belgowie i Batawcyki, ich pochodzenie i wielka doniosłość w pierwotnej cywilizacji świata,” autor rzuca hipotezy, o jakich nie śniło się dotąd erudytom. Pan Cailleux utrzymuje, że Belgia była pierwotną ojczyzną Homera. Jeśli Homer śpiewał po grecku, to dlatego, że grecki język, zrodzony na brzegach Atlantyku, był za czasów jego językiem ludów zachodnich. Miasto Troja nie leżało bynajmniej tam, gdzie je ukazał dr. Schlieman; ale raczej w Anglii, w okolicy Cambridge. Morze opisane w Iliadzie i Odyssei, nie było wcale morzem Śródziemném, lecz oceanem Atlantyckim. Itaka, ojczyzna Ulissesa, nie należała do wysp Jońskich: było to miasto Kadyx. Tamulusy, rozsiane po zachodnich krajach, to grobowce bohaterów Homerowych. Słowem, cywilizacja pierwotna, wbrew przyjętemu tradycyom szła od Zachodu na Wschód, a kolebką jej była Belgia.

W następném dziele, które p. Cailleux przysposabia do druku,

zamierza on udowodnić zarówno, że Palestyna leżała także w Belgii, że Mojżesz rodowitym był Belgijczykiem.

Prawo własności literackiej, tak problematyczne jeszcze w Europie, pomimo ustaw międzynarodowych i literackich kongresów, znalazło oddawna w Chinach ścisłą realizacją, dzięki środkom bardzo przekonywającym. Prawodawstwo chińskie zapewnia autorom własność ich dzieł na wieczne czasy. Ktokolwiek dopuści się przedruku lub plagiatu, skazany na karę stu bambusów i na trzyletnie przesiedlenie. Surowe to prawo nie może jednak powstrzymać przedruków dokonywanych w Japonii, a wciskających się do Chin kontrabandą. Tanie wydawnictwa Japońskie są takąż samą klęską dla wydawców chińskich, jaką były dla francuzkich przedruki brukselskie i lipskie. W tych właśnie czasach rozpoczęły się układy między Chinami a Japonią, w celu zabezpieczenia własności literackiej.

Pani Hubertyna Aucler, jedna z najgorliwszych propagatorek emancypacji, ogłosiła projekt założenia akademii niewieściej. Grono ma się składać z dwudziestu najuczeńszych a przytém najwymowniej-szych literatek. Pomysł pani Aucler obudził już werwę złośliwych krytyków: dziwi ich to, że Muzy radykałne, usiłujące stargać istniejący porządek rzeczy, pragną naśladować instytucję tak zacofaną w pojęciach, za jaką uchodzi Akademia francuzka. Czyżby nowe ciało naukowe nie lękało się owych piorunów, któremi „Osioł” Wiktora Hugo schłostał wszystkie Akademie, dając im nazwę nieśmiertelnych oślarni?

PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„O epikureizmie,” przez dr. A. Świętochowskiego. Warszawa, 1880 r ¹⁾.

Filozofia Epikura należy do nauk, które, chociaż zapoznawane, przez złą wolę, niechęć i nieumiejętność najgorzej tłómaczone, przecież na rozwój cywilizacji potężny wpływ wywarły. Epikureizm prawie zawsze był popularny, zawsze głośny, i to zarówno przez usiłowania adeptów, jak namiętną polemikę przeciwników. Nie można też zaprzeczyć, że współczesna nauka uznaje w pełnej mierze dziejową wartość epikureizmu, owszem, uznaje ją już od czasu, kiedy Bakon usiłował, na miejsce Arystotelesa, postawić Demokryta i od czasu pamiętnej obrony epikureizmu przez Gassendi'ego. Trudno wziąć za złe d-wi Świętochowskiemu, skoro zaraz na wstępie (str. 1) bierze w obronę bohatera swój pogadanki; mniemanie jednak, jakoby opinia powszechna malowała Epikura „jaskrawością barw i potwornością rysów” uważamy w odniesieniu do naszych czasów za zupełnie bezpodstawne.

¹⁾ Są chwile, w których krytyka historyczna ze szczególnym upodobaniem zwraca się do pewnych wybitniejszych przedstawicieli danych doktryn filozoficznych z dalekiej przeszłości. W ostatnim dziesiątku lat Lukrecyusz i Epikur zwrócili na siebie większą niż dotąd uwagę myślicieli. Do ważniejszych prac na tém polu, prócz dzieł A. Lang'ego i E. Zeller'a, poświęconych: pierwsze historii materyalizmu, drugie dziejom filozofii greckiej (Por. IV-ty t. w nowém 3-ciem wydaniu, Lipsk, 1880 r., str. 363), należą tu specjalne studia: Martha: „Le poème de Lucrèce.” Paris, 1869. Veitch: „Lucretius a Atomie Theory,” London, 1875. Woltjer: „Lucretii philosophia cum fontibus comparata,” Gron., 1877. Guyan: „La morale d'Epicure,” Paris, 1878, 2-gie wydanie 1881 r. W. Wallace: „Epicureanism,” London, 1880.

Przyp. Red.

Wszak współczesna filozofia popularna jest prawie wyłącznie materyalistyczną, a przeważna większość historyków filozofii ocenia zupełnie przedmiotowo rolę, jaką nauka Epikura w historii materyalizmu odegrała.

Rozprawa zatem d-ra Świętochowskiego miała być poniekąd apologią epikureizmu; mimo to jednak obraz mędrca z Samos wyszedł z pod jego pióra niezbyt wyraźnie i przekonywająco. Nie brak mu wprawdzie barw silnych i świeżych, ale brak charakterystyki, brak ścisłych i umiejętnych rysów. Epikur d-ra Świętochowskiego jest jednym z tych licznych mędrców starożytności, którzy wszystkie strony życia ceniąc, wszystkie jego strony umieli w piękną harmonią połączyć i „złotą miarę“ szczęśliwie zachować. Nie jest jednak mędrce, który na rozwój myśli ludzkiej wielki wpływ wywarł, nie jest mężem, który jednemu z zasadniczych na świat poglądów dał trwały i, rzecz można, ostateczny wyraz. I nie mogło być inaczej, skoro autor, kreśląc Epikura, nie dość uwydatnił, albo też pominął prawie wszystkie rysy, które filozofią jego poddać mogą krytyce naukowej. Epikur dr. Świętochowskiego zyskuje na tém tyle, ile traci epikureizm, który przecież należy do historii i błędów swych wstydzić się albo wypierać nie chce i nie potrzebuje. Wszak sam autor powiada, że „wyznawać tę filozofią po 2000 lat zapóźno, bronić zmarłej nie potrzeba, ale znać należy i warto“ (str. 52). Godzimy się na to najzupełniej i dlatego żałujemy, że nam obrazu filozofii tej w całości nie roztoczył. Wszak osłonięcie lub pominięcie szkopułów epikureizmu byłoby chyba wtedy usprawiedliwioném, jeśliby autor zamierzał „wyznawać go albo bronić.”

Przechodząc do uwag szczegółowych, nadmienić wypada, że do pracy dr. Świętochowskiego, jako powstałej z publicznych i popularnych odczytów, nie można przykładać miary ścisłej i umiejętnej krytyki. W każdym jednak razie, wymagać można w materji filozoficznej więcej krytycyzmu i więcej ścisłości naukowej.

W pierwszej części rozprawy przedstawia autor żywot Epikura i podaje zasadnicze rysy jego nauki; w drugiej ocenia wpływ epikureizmu na postęp filozofii i poświęca dłuższą charakterystykę dwóm znakomitym epikurejczykom: T. Lukrecyuszowi Karusowi i Gassendi'emu

Żywot Epikura rozsnuty jest w ogólności wiernie i barwnie, obraz mędrca jako człowieka wyborny. Co się tyczy miejsca urodzenia Epikura, nie można się w wyborze między Samos a Gargettos wahać, odkąd Böckh wykazał, (Stshhlt. d. Atth., I, 460) że ojciec Epikura już od roku 352 bawił w Samos. Przydomek Gargettyjskiego, którym np. Cycero mianuje Epikura, oznacza tylko przynależność do demos Gargettyjskiego. Na str. 6 spotykamy wzmiankę, iż Epikur słuchał w kolonii Samos wykładów Pamfilusa i porzuciwszy go przeszedł wkrótce do Nausifanesa. Aby jednak oznaczyć, kiedy Epikur słuchał Nausifanesa, trzeba by przedewszystkiém stwierdzić, że go słuchał istotnie. Dyogenes Laercyusz podaje w tym względzie bardzo wątpliwe świadectwo Apollodora, dodając równocześnie, że Epikur mu wyraźnie za-

przecza. (Diog. X, 13). Z równą ostrożnością wyraża się o tém w innym miejscu, Nauzyfanos, ten którego słuchaczem mienią niektórzy Epikura ¹⁾. Mniemanie, jakoby Epikur mało sobie cenił patryotyzm i cnoty obywatelskie (str. 10 i 22) uważamy conajmniej za niedość uzasadnione. Już cześć i pietyzm, które, pomimo swych zasad filozoficznych, zachował dla religii ojczystej, dobrze świadczą o jego patryotyzmie; najlepsze zresztą pod tym względem świadectwo zostawił mu Dyogenes Laercyusz. „Albowiem niewytlómaczonym jest powód jego pobożności i miłości ojczyzny i przez najwyższą téż skromność nie chciał przyjmować udziału w rządzie. A gdy najcięższe czasy przyszły na Grecyą, zawsze on tam się znajdował” ²⁾. Niemniej błędną jest tradycya, mieniająca Epikura człowiekiem niezmiernie ambitnym, który „wypierał się długu zaciągniętego u poprzedników... i w dziełach nigdy żadnego mędrca nie cytował” (str. 9). Dążność tę do bezwzględnej oryginalności uważać chciało za wzgardę, jaką wrzekomo Epikur własnym mistrzom odplacał. Ale o próżności Epikura mówi najwięcej Plutarch, potwarca epikureizmu. Originalność zaś jego i wstręt do cytat, jest tylko skutkiem radykalizmu, którego Epikur jest w nauce reprezentantem. Najlepiej zrozumiał to i osądził Lange (Gesch. d. Materialismus, I, str. 85, 1873) i dziwi nas dlaczego autor idąc wszędzie za Lange'm, w tym punkcie go opuścił.

Wykład nauki Epikura jest najstarszą częścią pracy d-ra Świętochowskiego.

Zarówno fizyka jak i etyka, której autor najwięcej miejsca poświęcił, przedstawione są bez ścisłości naukowej. Tylko na króciutki wykład kanoniki zgodzilibyśmy się w zupełności. Ale jest on znowu zanadto nagi i nie zawiera żadnych wskazówek dla czytelnika, któryby z psychologią nie był obeznany. Autor nietylko wystrzega się tu wszelkiej krytyki, ale ani słowem nie daje do zrozumienia, że kanonika jest najstarszą częścią filozofii epikurejskiej. Braku tego nie zmniejsza bynajmniej wyznanie, iż „z wysokości dwudziestu kilku wieków rozwoju filozofii, łatwo dziś wskazać słabe strony téj kanoniki i fizyki, bo, jak powiada Heine, nawet karzeł stanąwszy na ramionach oibrzyma, może dalej od niego widzieć, zwłaszcza gdy okulary włoży” (str. 15). Zapewne: krytyka ze stanowiska dzisiejszej nauki jest tu zupełnie zbyteczna. Ale mimo to, nie możemy się zrzekać krytyki obiektywnej ze stanowiska samegoż Epikura i współczesnej filozofii, owszem, wykrycie wewnętrznych wad i sprzeczności epikureizmu jest zarówno konieczne, jak dodatnie odtworzenie jego treści. Nie widzieć wad tych,

¹⁾ Diog., IX, 11. ...Nausiphancs quoque Teius, cujus quidam Epicurum auditorem fuisse tradunt.

²⁾ Diog. IX, 10. Nam pietatis eius in deos et caritatis in patriam inexplicabilis ratio est: per summam etiam modestiam ad rempublicam accedere noluit. Et quum difficillima tempora tunc Graeciam premerunt, semper ibi perseveravit etc.

które widzieli współcześni a które składają się na pojęcie epikureizmu zarówno jak jego zalety, słowem, pomijać to, bez czego epikureizm nie jest epikureizmem, jest to co najnniej zapoznawaniem celu historii filozofii. Nie omylimy się przeto, zarzucając autorowi pewną jednostronność, pewną dowolność i dogmatyzm w wyborze barw i rysów, któremi Epikura odmalował.

W analizie fizyki za mało zwrócono uwagi na jęj wyłącznie praktyczne znaczenie. Powiada wprawdzie autor na str. 43: „daleko gorszem, niż złamanie spadku atomów, było zacieśnienie nauki do potrzeb praktycznych. Pod tym względem Epikur, chociaż nie sam jeden, stanął niżej od wielu filozofów starożytnego świata.” Ale już na następnej stronie czytamy: „na miejsce upiorów, gorączkowych snów, przesądnej obawy umysłów, snujących się po ciemku w nieznanę naturze, pragnął on postawić jęj rzeczywiste i niewzruszone prawa. Usiłowanie to, śmiało podjęte przez mistrza, wzrastało ciągle w jego uczniach i następcach a do rozwoju cywilizacji weszło jako jedna z mocniejszych pobudek do wywołania się ducha z więzów ciemnoty przez oświatę” (str. 44). Mniemanie to jest tendencyi fizyki epikurejskiej wprost przeciwne. Fizyka Epikura nie wie nic i nie chce wiedzieć o „rzeczywistych i niewzruszonych” prawach. Celem jęj jest wykazać, jak zjawiska „z praw ogólnych wynikać mogą; wystarcza tu możliwość, bo jeśli skutek może polegać na naturalnej przyczynie, nie potrzebują oglądać się za nadnaturalną” (Lange, *Gesch. d. Materialismus*, str. 79). Dr. Świętochowski nie spostrzegł, że tendencya fizyki nowoczesnej jest wprost przeciwną tendencyi fizyki epikurejskiej. Fizyka nowoczesna mówi właśnie o prawach „rzeczywistych i niewzruszonych,” o których Epikur nie marzył; możliwość wystarcza mu za konieczność. Nie masz tu praw koniecznych, czujesz brak pojęcia, które jest nicią przewodnią fizyki od wieku XVII, od czasów Bakona, Deskarta, Newtona. Twierdzenie przeto, jakoby pojęcie rzeczywistych praw w naturze zawdzięczać miała cywilizacya Epikurowi, jest wprawdzie nowe, ale niestety zupełnie bezpodstawne i błędne. Jak poprzednio, tak i tutaj zabląkał się autor, opuściwszy ślady Lange’go. Zresztą i Zeller, którego autor na str. 12 jako źródło podaje, powiada wyraźnie, że Epikur zasług na polu fizyki organicznej nie położył, przypisując jęj tylko praktyczne znaczenie, ograniczając do astronomii i meteorologii (Zeller, *Philos. d. Gr.*, III, str. 227).

Etykę Epikura rozwinął autor, jak już wspomnieliśmy, najobszerniej. I tutaj widzielibyśmy chętnie więcej ścisłości i głębszego przeniknienia rzeczy. Etyka Epikura jest eudemonistyczną, t. j. szuka dobra w szczęśliwości. Ponieważ utożsamia szczęśliwość z przyjemnością, cała jego etyka streszcza się w odpowiedzi na pytanie: co jest przyjemność, a co nieprzyjemność? Mniemanie autora, jakoby Epikur nauczał, iż „każda przyjemność jest zadowoleniem pewnej potrzeby, będącej także cierpieniem” (str. 15), uważamy za błędne, chociaż jest w podręcznikach historii filozofii bardzo rozpowszechnione. Epikur

bowiem pojmował przyjemność nietylko ujemnie, jako usunięcie przykrości, bezbolesność; ale i dodatnio. Przegląd źródeł stwierdza to najdowodniej i powszechniej opinii stanowczo kłam zadaje. I tak przekazał nam Dyogenes Laercyusz naukę Metrodora, następcy i poufnego Epikura, według której: „voluptas et quae in motu sit, et quae in statu” (Diog. Laert., X, 136), czyli: że przyjemność jest albo ujemna, wynikająca z usunięcia bólu, albo też dodatnia. Znaczenie terminów „in motu et in statu,” wyjaśnia Dyogenes najlepiej słowami samegoż Epikura: „Epikur zaś w księdze o wyborach mówi tak: albowiem niebyt dolegliwości i bólu rozkoszą jest stała, uciecha zaś i wesele według ruchu przy czynności spostrzegać się dają” ¹⁾. Atoli wszelką pod tym względem wątpliwość usuwa dodatnie określenie przyjemności przez Epikura, jako: „dobre zdrowie ciała i niebyt utrapień moralnych” ²⁾. Wszystkie inne źródła potwierdzają wykład Dyogenesa w zupełności (patrz: Cic. de finibus bonorum, I, 11. Lucr. de natura rerum, II, 17. Stob. Ecl., II, 58).

Autor poszedł tu więc za głosem dość powszechniej opinii, ale jej nie sprawdził źródtwo. Chcielibyśmy też zaprotestować przeciwko pobieżności, z jaką autor sztydzi z owych „filozofujących retorów,” którzy „uzbrojeni gramatyką i słownikiem, kłóli” Epikura za nazwanie stanu bezbolesności—rozkoszą. Kto wie, jak ważną rolę odegrała ta bezbolesność w historii psychologii, pojmie, że tu nie chodzi ani o gramatykę, ani o słownik; ale o pojęcie, które ma być podwaliną teorii uczuć. Autor też krytykując tych, co nie chcieli bezbolesności nazwać rozkoszą, odpowiadając im: „a przecież i my, oddaleni od widoku konania klasycznego świata, wraz z Epikurem przyznać musimy, że w owych strasznych chwilach niecierpieć było najwyższą rozkoszą” kwestyi wcale nie rozwiązuje, owszem, pojmuje ją zanadto popularnie, ze stanowiska gramatyki i słownika, a nie ze stanowiska psychologii. Żywość, zresztą, barwność i jędrność, z jaką autor etykę Epikura przedstawił, zasługują na wielkie pochwały, podczas kiedy za złe bierzemy mu to, iż etyki tej krytycznie nie rozjaśnił. Tak np. zwraca sprawiedliwie baczną uwagę na okoliczność, iż Epikur rozkosz duchową kładł wyżej od rozkoszy zmysłowej. niesprawiedliwie zaś przemilcza, że teza ta jest w psychologii Epikura prostru niekonsekwencją. Skoro bowiem duszy żadną samodzielnością nie obdarzył, przeto dusza żadnej samodzielnej rozkoszy nie może doznawać. Owszem, rozkosz duchowa polega tylko na reprodukcji, albo fantazyi, czyli, jak sam nauczał, dotyczy „przeszłości i przyszłości.” Tymczasem bardzo słusznie odpowiedział na to Cycero słowami Plutarcha, iż wspomnienie rozkoszy zmysłowej

¹⁾ Epicurus autem in libro de Electionibus ita dicit: namque perturbationis dolorisque vacatio constantes sunt voluptates, gaudium vero ac lactitia secundum motum actione cernuntur (Diog. Laert., X, 136).

²⁾ Bona corporis valetudo et animi perturbationum vacuitas (Diog. Laert., X, 128).

przeszłej i wyobrażenie przyszłej, nigdy rozkoszy obecnej, chwilowej, wyrównać nie może. Epikur więc nie chciał się zgodzić z Arystypem, który rozumiał tylko rozkosz chwilową, zmysłową; ale popadł w niekonsekwencyą, żądając rozkoszy duchowej bez duszy. Nie też dziwnego, że w praktyce moralność epikurejczyka moralności hedonistów wcale nie ustępowała.

Znaczną część swęj książeczki poświęcił autor historii epikureizmu, starał się wykazać: „jakim uległ przemianom, jaki wzbudził ruch współcześnie, jak daleko sięgnął w przyszłość” (str. 25). Obraz ten wymowny i przekonujący oparł w zupełności na wspomnianém już dziele Lange'go. Wykazał więc przedewszystkiém podobieństwa i przeciwieństwa epikureizmu a stoicyzmu. Nie zgodzilibyśmy się tylko na zdanie, iż „na tych dwu systematach, jak na dwu przeciwnych biegunach obracał się świat starożytny w ostatnich wiekach swojego życia” (str. 27). Wszak Lange, który przecież nie chciał wyrządzić krzywdy ani Epikurovi, ani też w ogóle materyalizmowi, twierdzi stanowczo, że w tych ostatnich wiekach epikureizm staje się coraz rzadszym, filozofia zaś popularna coraz więcej przejawia pierwiastków orientalnych, mistycznych i idealistycznych (Gesch. d. Mat., I, 146).

Następnie charakteryzuje silnemi rysami poemat Lukrecjusza i rozświeca stosunek Cyncerona do Epikura. „Nieocenioném” jednak źródłem w przedmiocie epikureizmu pisma Cyncerona nie są z tęg prostęj przyczyny, że Cyncero, jak autor sam przyznaje, Epikura nie rozumiał. Przechodząc do Gassendi'ego i wieku odrodzenia nauk przyrodzonych, zgadzamy się z autorem zupełnie, o ile szuka wpływu atomistyki i kosmologii Epikura na reformatorów tychże nauk; nie zgadzamy się, o ile w duchu fizyki nowoczesnej upatruje ducha nauki epikurejskiej. Pod tym względem wytkómaczyliśmy się już powyżęj.

Kończąc ten krótki przegląd, zreasumujemy wszystkie nasze zarzuty w twierdzeniu, iż dr. Świętochowski zasadniczych rysów epikureizmu umiejętnie nie złożył, bo słabe jego strony pominął i rzekł się w zupełności obiektywnej krytyki; o ścisłość naukową nie dbał, bo pominąwszy źródła, sięgał tylko do gotowych materyałów i szedł często za głosem błędnej opinii. Za główną zaś zaletę książeczki uważamy werwę stylu, jedrność i barwność przedstawienia, które zapewniłyby jęj bardzo wielką wartość popularyzacyjną, gdyby błędne i nie ścięsto mniemania popularyzować było wolno.

Ludwik Przysiecki.

- 1) Wypisy polskie, „ułożył Adolf Dygasiński. Część niższa. Warszawa. Nakładem Bern. Lessmana, 1881, str. 176 (cena kop. 45).
- 2) Wypisy polskie, ułożył Antoni Bądzkiewicz. Część średnia. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa, 1881, str. 451 (cena kop. 75).
- 3) Wypisy, przekłady i wzory form prozy i poezji polskiej. Książka do czytania, ułożona przez d-ra Władysława Sereżyńskiego i Anastazyą hr. Dzieduszycką. Wydanie 2-gie. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa, 1881, str. V, 882 i VIII treści.
- 4) Wypisy z pisarzy polskich dla szkół męzkich i żeńskich, ułożył Stanisław Gargulski. Część wstępna. Nakładem autora. Warszawa, 1881, str. 264 (cena kop. 65). Część średnia. Warszawa, 1880, str. 312 (cena kop. 75).

Zamierzając ocenić pedagogiczną wartość, wymienionych w nagłówku 4-ch książek szkolnych, muszę przede wszystkim objaśnić czytelnika, dlaczego łączę pracę Wł. Sereżyńskiego i A. hr. Dzieduszyckiej, do czytania przeważnie przeznaczoną, z „Wypisami“ dla użytku szkolnego wypracowanemi, ponieważ inne jest zadanie książki, zawierającej stylistyczne i literackie wzory do czytania, a inne „Wypisów“, przedstawiających w stopniowanym porządku wzorowe, pod względem gramatycznym i stylistycznym, niemniej i pod względem naukowym, ustępy z literatury polskiej, dla praktycznego użytku szkolnego. Pomieszczenie jednak różnych, jakby się z tytułu pod nr. 3-im zdawać mogło, książek, jest tylko pozorne, ponieważ wskazane 2-gie wydanie „Wypisów“ Wł. Sereżyńskiego i A. hr. Dzieduszyckiej, nie różni się niczem od książki szkolnej, znaniej już dawniej czytelnikom „Bibl. Warsz.“ (zesz. kwietniowy r. b.) pod tyt.: „Wypisy, przykłady i wzory form prozy i poezji polskiej. Książka do czytania dla użytku średnich zakładów naukowych żeńskich“, ułożona przez Wł. Sereżyńskiego i A. hr. Dzieduszycką. Kraków. Nakładem Gebethnera i Wolffa, 1881 r. Nowością w tym drugim wydaniu jest tylko karta tytułowa, tudzież jeden wzór poezji (str. 820: „Czemu mi smutno.“ Elegia Gabrieli Żmichowskiej, zamiast dawniejszego: „Żale Sarmaty nad grobem Zygmunta), którego jednak zapomniano wprowadzić do wykazu treści, pozostawiając spokojnie wskazany tytuł dawniejszego wiersza. Kustosze pojedynczych arkuszy dowodzą także, że to ta sama dawniejsza książka dla użytku szkół żeńskich przeznaczona. Nie wytykamy tego, jako wadę książki, bo o to mógłby mieć tylko pretensją ten, kto

nie ostrzeżony, jedną i tę samą książkę powtórnie kupił; ale usprawiedliwiamy plan niniejszego rozbioru, wskazując zarazem na zjawisko, które przy podręcznikach szkolnych, bez potrzeby pedagogicznej powtarzać się zwykło, jak to wiadomo czytelnikom „Biblioteki“ o „Wypisach“ K. Mecherzyńskiego (zob. „Bibl. Warsz.“ zeszyt kwietniowy r. b., str. 78). W ten sposób rodzą się później łamigłówki, z którymi bibliografowie rady sobie dać nie mogą.

Usunąwszy tedy z dyskusyi dalszej tę stronę przedmiotu, nadmieniamy, że w obec zmieniających się często systemów edukacji publicznej, w obec lekceważenia przez nas samych i przez szkołę, a w skutek tego i w obec zaniedbania nauki języka polskiego w szkołach, potrzeba dokładnych podręczników do nauki tego przedmiotu jest niezaprzeczona. Zadanie zaś naukowej krytyki tém ważniejsze, im pochopniejszymi są chęci wyzyskiwania tego położenia przez mierne, a nawet błędne, bez żadnej metody podejmowane publikacje. Nie myślimy przyganiać téj zabiegliwości, bo wiemy, że łączą się tutaj z względami materialnych korzyści intencje prawdziwie obywatelskie; ale uważamy za obowiązek pisma, poświęconego nauce, określić, choćby z ogólnego stanowiska, pedagogiczną wartość każdego.

Kto kiedykolwiek doznał tego zaszczytu, że z urzędu uczył języka ojczystego w szkole, ten przyznać musi, że to jest przedmiot pod względem pedagogicznym najtrudniejszy, daleko trudniejszy od łaciny i greczyzny. Przyczyna tego faktu spoczywa głównie w téj okoliczności, że lekcji języka ojczystego nie można objąć tak wyraźnym programem, rozszerzającym się z postępem lekcji; niepodobna utrzymać ściśle takiej zasady stopniowania pojęć, przy rozszerzającym się odpowiednio materiale językowym, jak to ma miejsce przy nauce języków klasycznych, a nawet nowszych żyjących, ale obcych. Młodzieniec, uczący się na lekcji języka ojczystego poznawać naukowo całą budowę jego organizmu, nie tylko pod względem formalnym, ale i syntaktycznym, włada już poprzednio zupełnie swobodnie całym materiałem językowym; lecz nie jest jeszcze umysłowo tak rozwiniętym, aby mógł dokładnie pojąć i zrozumieć wszystkie zasady, reguły i prawa, tak gramatyczne, jako i stylistyczne, retoryczne i poetyczne, prawa, które stanowią dopiero klucz do wniknięcia w ducha języka, do zrozumienia indywidualności jego zwrotów, budowy peryodów, do poczucia organicznego tworzenia się wszystkich kształtów morfologicznych, etymologicznych, ortograficznych i syntaktycznych. Przy nauce języków klasycznych, ma nauczyciel daleko łatwiejsze zadanie pod względem metodologicznym, bo tam postępuje z uczniami od poznawanych stopniowo szczegółów, w stałych formach skryzalizowanych, do coraz rozleglejszych prawideł i pojęć, które, niby formuły algebraiczne lub prawa logiczne, łatwiej stosować na materiale ostatecznie utrwalonym, stałym, którego szkoła używa nie za cel badania w celu praktycznego użytku, ale tylko za środek ćwiczenia władz umysłowych za pomocą wiążących się z sobą logicznie kategoriemi gramatycznych.

Jezeli tedy prawidłowa metoda filologiczna każe rozpoczynać naukę języków klasycznych od gramatyki, to metoda nauki języka ojczystego na gramatyce się kończy; lecz nie w tém rozumieniu, jakoby wykład gramatyki w ostatniej dopiéro klasie następował, tylko w tój myśli, że środkiem zgłębiania indywidualności budowy i organizmu języka ojczystego i jego żywotności stylistycznej, jest sam materiał językowy z całym bogactwem jego form, z całą obfitością jego stylistycznej i estetycznej indywidualności. Nauczyciel języków klasycznych buduje z poznawanych stopniowo form i prawideł gramatycznych organizm językowy, składa według poznanych reguł peryody, stosuje do najlepszych statych wzorów konstrukcyę i t. d. Nauczyciel zaś języka ojczystego ma przed sobą uczniów, którzy używają już zupełnie swobodnie materiału językowego, tak, że z tego gotowego materiału powinien on niejako odkrywać i wydobywać reguły gramatyczne, z najlepszych wzorów literackich powinien poznawać prawidła nie tylko form, ale i poprawnego stylu mowy ojczystej. W pierwszym razie jest gramatyka środkiem i kluczem do zgłębiania tajników organizmu mowy; w drugim zaś jest gramatyka „sprawdzianem,“ że tak powiem, duchowej energii mowy, wyrazem prawidłowości jój życia, dokumentem, poświadczającym prawidłowość jój postaci morfologicznych i etymologicznych, syntaktycznych i stylistycznych. W pierwszym razie używamy dla rozwijania władz umysłowych metody dedukcyjnej; w drugim zaś metody indukcyjnej.

Z powyższego wywodu pokazuje się: 1-sze, że nie zgłębiali gruntownie przedmiotu ci, którzy uważali naukę gramatyki języka ojczystego w szkole za niepotrzebną ¹⁾; 2-re, że fałszywie, wbrew racjonalnej zasadzie pedagogiki postępują ci nauczyciele, którzy naukę tego przedmiotu zasadzają już na najniższym stopniu, głównie na pamięciowym wyuczeniu niezrozumiałych reguł gramatycznych; 3 cie, że książki takie, jak „Wypisy,“ zawierające systematycznie, według zasad pedagogiki, zgromadzone wzory najlepszych pisarzy, są jednym z najpotrzebniejszych i najpożyteczniejszych podręczników szkolnych.

Okoliczności powyżej wskazane tłómaczą nam fakt, że pedagogowie nasi uznawali potrzebę „Wypisów“ z chwilą, gdy mowa ojczysta stała się przedmiotem nauki szkolnej. Prace Feliksa Ner. Golańskiego (ur. 1753 † 1824), „Euzebiusza Słowackiego (ur. 1772 † 1814 r.), Jana († 1839 r.) i Antoniego († 1868 r.) Poplińskich i w i. mniej lub więcej szczęśliwych ich naśladowców, starały się na tój drodze popierać naukę języka ojczystego. Z postępem czasu rozszerzyły i podniosły się znacznie wymagania nauki: przedmiot sam rozrósł się tak bujnie na kilka osobnych prawie gałęzi, że i zadanie „Wypisów“ widocznie się rozdzieliło na kilka osobnych, specjalnych niemal działów,

¹⁾ Zob. artykuł Kudasiwicza: „O nauce języka ojczystego i stosunku jego do obcych języków i innych przedmiotów „Bibl. Warsz.“ 1864, t. IV, str. 170 sqq.

mianowicie na „Wypisy“, z przeważnym uwzględnieniem potrzeb nauki gramatyki, literatury, stylistyki i poetyki. Do pierwszego działu policzylibyśmy, prócz znanej pracy Henryka Sucheckiego („Przegląd form gramatycznych języka staropolskiego.“ Lwów, 1857. Wstęp do wypisów polskich. Rzecz przerobiona przez Euzebiusza Czerkawskiego), dawniejsze tak zwane „Wypisy“ galicyjskie, które pod okiem wyznaczonęj do tego komisji, drukowano po kilkakrotnie we Lwowie (od r. 1852—1862, t. IV), stosując ich układ do następujących po sobie kursów. Do drugiego działu należą 1) Jana Poplińskiego: „Wypisy polskie.“ Część II-ga (Leszno i Gnieźno, 1838 r.). Książka jeszcze dziś bardzo przydatna przy wykładzie literatury dawniejszych epok; 2) K. Wł. Wójcickiego: „Historja literatury polskiej w zarysach,“ t. IV (Warszawa, 1845 r., 2-gie wydanie 1859—1861 r.); 3) K. Mecherzyńskiego: „Przykłady i wzory z najcelniejszych poetów i prozaików polskich, zebrane i zastosowane do historyi i literatury polskiej“ (Kraków, wyd. 2-gie, 1877 r.). Do trzeciej kategorii odnoszą się, prócz K. Mecherzyńskiego „Wypisów polskich dla szkół żeńskich“ (Krak., 1872 r.) Jana Rymarkiewicza „Wzory pism na wszystkie rodzaje, stopnie i kształty zebrane.“ Wydanie 4-te, Poznań, 1874 r., t. III. Do działu czwartego wreszcie zaliczamy wyborne gruntowne dzieło Hip. Cegielskiego „Nauka poezyi, zawierająca teorię poezyi i jej rodzajów, oraz znaczny zbiór najcelniejszych wzorów poezyi polskiej do teoryi zastosowaną.“ Poznań, 1855 r., wyd. 4-te, uzupełnione przez Wład. Nehringa. Poznań, 1869 r. Oprócz tych wybitniejszych dzieł, uwzględniających potrzeby normalnego planu szkolnego i ułatwiających znakomicie zadanie praktyki pedagogicznęj, posiadamy jeszcze w literaturze naszęj kilkanaście książek z dawniejszych i nowszych czasów, które pod tytułem: „Wypisów polskich“ przedstawiają różnorodny materiał dla ćwiczeń, tak ustnych jako i piśmiennych. Dzieła téj osnowy Grzegorza Piramowicza (Kraków, 1792—1819 r.), Ferd. Oszmiańca (Łuck., 1804 r.), Żdzarskiego Augustyna (Płock i Warszawa, 1829—1838 r.), Zakrzewskiego Jana (Wilno, 1831—1839 r.), Bartoszewicza Zygmunta (Wilno, 1836 r.), Dziekońskiego Tomasza (Warszawa, 1841 r.), Łyszkowskiego Maksymiliana (Warsz., 1842 do 1872 r.), Czepielińskiego Floryana (część I i III, Mińsk, 1861 r.), Łukomskiego Jana (Warsz., 1865 r.) i Jeske'go Augusta (Warsz., 1874 r.) nie zaspakajają jednak szerokich dziś potrzeb szkoły i wychowania młodzieży, skoro w przeszłym i bieżącym roku pojawiło się kilka nowych podręczników tego rodzaju i to niektóre w takiej objętości, że je przy dzisiejszym systemie dydaktyki, prawie z tego powodu za niedogodne dla powszedniego szkolnego użytku uważać można.

Chcąc sprawiedliwie ocenić tego rodzaju dzieła, należałoby je rozważać pod różnemi względami, bo „Wypisy“ mogą odpowiadać wszelkim wymaganiom pod względem literackim i naukowym co do ich osnowy, a mimo to nie zasługują na uznanie krytyki, jeżeli pod względem pedagogicznym nie czynią zadość potrzebom nauki i szkoły.

Ogólnie rzecz biorąc, możnaby się do pewnego stopnia zgodzić na opinią tych pedagogów, którzy uważają „Wypisy“ niejako za dalszy ciąg elementarza. Zadaniem bowiem „Wypisów“ według tego poglądu jest: rozwijać z wolna i stopniowo ograniczoną osnowę podręcznika szkół początkowych. Lecz zadanie „Wypisów“ jako podręcznika szkolnego nie kończy się na przedstawieniu w pełnych obrazach skromnych rysów elementarza nawet dla tych, dla których książka ta zamyka naukę szkolną, ponieważ dzisiejsze potrzeby skromnego nawet życia nie pozwalają na to, aby na takim ubogim skarbczyku wiedzy mogła poprzestać nauka szkolna. Co do kwestyi samego układu „Wypisów“ wymaga pedagogika, aby stopniowo przechodzić od wyobrażeń zmysłowych do pojęć coraz ogólniejszych, od prostoty stylu do budowy okresów coraz kunsztowniejszych, do zwrótów i wyrażeń coraz wznioślejszych, majestatyczniejszych. Osnowa zebranych wzorów, wyjętych z dzieł pisarzy, odznaczających się jasnym poglądem naukowym i potoczystym stylem, unikających wyrażeń niewyciecznych, powinna rozszerzać widnokrąg pojęć wychowawca i pomnażać przez to stopniowo zakres i gruntowność jego wiedzy. Równie ociężałość, jak nienaturalna kwiecistość stylu jest w tego rodzaju książkach wadliwą; należy tu starannie unikać równie szpetnych obrazów i zdażeń, jak przeładowania treści moralizowaniem, które raczej z przedstawionych faktów, a nie z każących słów widnieć powinno. Treść „Wypisów“ powinna przede wszystkim być nauczającą, w najobszerniejszym tego słowa znaczeniu. Przykłady i wzory, zebrane w „Wypisach“ ze wszystkich działów umiejętności i nauk (historja, geografia, nauki przyrodzone) przedstawiają pewien zasób wiadomości realnych; ale równocześnie uwzględnić także należy potrzeby wykształcenia moralnego, a więc należy obznajmić wychowawca ze światem idealnym, z przedmiotami, które z natury swojej kształcą nie sam tylko zmysł obserwacyi, lecz pobudzają wszystkie władze umysłowe do harmonijnego doskonalenia się i rozwoju. Praktyka powszedniego życia korzysta w pewnej mierze z teoretycznego poznania wielu szczegółów realnych, nawet i z czytania „Wypisów“ ponieważ wiadomości w tej epoce życia zebrane, wnikają głęboko w nasz umysł, zajmują żywo naszą wyobraźnię nawet w późniejszym wieku. Z tkliwem wspomnieniem powtarzamy sobie nietylko pojedyncze zdania, ale całe nawet ustępy dobrych podręczników szkolnych, których słuchaliśmy w młodości, niby nieomylnj wyroczni. Wiadomości jednak tego rodzaju, chociażby i dosyć obszerne były, nie zrobią z nikogo specjalisty, ponieważ tego dokonywa dopiero twarda szkoła samego życia. Tymczasem widzimy, że ta najsurowsza z pomiędzy wszystkich surowych szkół, nie troszczy się wiele o stan duszy naszj, o poglądy wznioślejsze i szlachetniejsze, na otaczające nas stosunki i na ostateczne cele życia naszego. Słusznie zatem domaga się społeczeństwo, aby i pod tym względem przygotowała szkoła grunt odpowiedni, aby zasiała na nim ziarna, nietylko wiedzy, ale i bojaźni Bożj i tego ide-

alnego poglądu na świat i życie, który dopiero wszelką naszą pracę, tak prywatną jako i publiczną podnosi i uszlachetnia.

Oceniając sprawiedliwie wielką wartość pedagogiczną metody unaoczniającej, znaną od czasów Amosa Komeńskiego i używaną w praktyce szkolnej nie od dzisiaj przecie—jak to apostołowie rzekomo nowszej pedagogiki wmówić w nas pragną—zgadzamy się na to, że naukę szkolną trzeba rozpoczynać od rozjaśnienia i zdawania sobie sprawy z wrażeń zmysłowych, na których się wiedza nasza opiera. Czynność władz umysłowych wychowawca nie rozpoczyna się nigdy od pojęć abstrakcyjnych; lecz zamknięcie się hermetyczne w świecie zmysłowym, fizycznym, grzeszy drugą ostatecznością, bo nie uwzględnia dostatecznie indywidualności ucznia z jej rozmaitemi odcieniami i różnicami, stanowiącemi przecie podstawę przyszłego kierunku umysłowego wychowawca. Środki pedagogiczne należy stosować do zdolności, tudzież do cech indywidualnych umysłowości każdego ucznia. Jeżeli pedagogika uczy, że błędem jest brać za punkt wyjścia nauki szkolnej wyłącznie język, to z drugiej strony nie pochwała i tego, gdy z powodu bałwochwaltwa dla rzeczy lekceważymy słowo, zaniedbujemy styl, obrażamy istotę właściwego toku mowy ojczystej. W ten sposób bowiem tworzy się zanadto wcześniej w umysłowości ogółu szkodliwe rozdwojenie między realiami a ideałami; w ten sposób werbuje się zawczasie falangi realistów i idealistów; w ten sposób wprowadza się do szkoły w samym zaraniu rozwoju umysłowości młodzieży niesprawiedliwe przecenianie jednego, a niezastuzone lekceważenie drugiego kierunku; na tej drodze przyznaje się zawczasie różnym przedmiotom planu szkolnego różną niejako wartość gatunkową, wyłącznie względami materialnemi mierzoną; słowem: na tej drodze wykrzywia się zasadnicze pojęcia o najważniejszych zadaniach człowieka, obywatela i chrześcianina, z czego płyną koniecznie zgubne w narodzie zbyt żarliwe i namiętne różnice zdań i opinii nieuzasadnionych i niczem nieusprawiedliwionych. Różnica zdań jest w każdym społeczeństwie pożądaną; ale tylko ta, która się rodzi z zupełnej świadomości i z ugruntowanego przekonania; podżegana zaś przez blahe uwidzenia i uprzedzenia lub—co gorsza—przez niepoohamowaną arogancją miłości własnej i hełpliwą zarozumiałość, była, jest i zawsze będzie bardzo szkodliwą i nader niebezpieczną.

Idee dotychczas przez nas wskazane znamionują mniej więcej zasady, których pedagogika każe się trzymać przy pisaniu książek, o jakich w tém miejscu wiadomości podajemy. Mamy zresztą to przekonanie, że w ten sposób objaśnimy czytelnika daleko dokładniej o wartości pedagogicznej zajmujących nas podręczników szkolnych, aniżeli przez drobiazgowy wytykanie pojedynczych usterek i błędów, które nie dadzą się odłączyć od żadnego dzieła ludzkiego. Tylko rozbiór krytyczny, zajmujący się więcej przedmiotem aniżeli autorem, przynosi literaturze i nauce pewną korzyść; szermierka zaś choćby najzarliwsza z autorem, pozostawia za sobą bądź co bądź pewne odium, które nie

pozwoli autorowi przyznać się do omyłek i utrudnia nadzwyczaj poprawę!

Patrząc z tego stanowiska na wskazane w nagłówku cztery książki, z żalem wyznać musimy, że po gruntowném rzeczy zgłębieniu, żadna z nich nie zaspakaja wszechstronnie wymagań przez dydaktykę stawianych, chociaż z przyjemnością zaznaczamy, że zachodzi pomiędzy temi czterema „Wypisami” wielka różnica *in melius et in pejus* tak co do ogólnego planu, jako i co do dyspozycji przedmiotu, niemniej i co do pojedynczych szczegółów. Najślabszą bez zaprzeczenia jest praca p. St. Gargulskiego, ponieważ nie mamy w tej książce żadnego ogólnego planu systematycznie przeprowadzonego. Dyspozycja przedmiotu nie opiera się w dziele p. Gargulskiego na żadnej naukowej zasadzie, tak, że pomijając dziwaczny jakiś podział utworów prozy, w żadnej nauce stylu nie spotykamy, znajdujemy te same działy na różnych miejscach. Rozdziały I, II i III należą do jednej kategorii; a pod tytułem VI „Opowiadania z życia społecznego” czytamy pierwszy artykuł: „Ziemniaki,” str. 73; tamże „Listy Elżbiety Rz.” z pism Klem. Hofmanowej (str. 100) wyłącznie historycznej treści. Metodologicznego stopniowania nie ma żadnego śladu, pod względem wyboru wzorów wielka nieradność, a w samém ułożeniu wielka niedbałość (str. 98: tytuł ósmy „Lirnik wędrowny (opowiadanie Wincentego Pola) zaczyna się w ten sposób: „Dziad lirnik na tle mogiły stepowej, oto prawdziwa ilustracja tamtych okolic.” Pan Gargulski wyrwawszy ten ustęp z całości, nie zastanawia się wcale nad tém, że uczeń musi się koniecznie potknąć w „tamtych” okolicach. Najniefortunniejszą myśl powziął p. St. Gargulski, że nie kontentując się wzorami z autorów dobrym stylem piszących, uraczył nas swojemi własnymi utworami, które od początku do końca mogą służyć za wzór, jak pisać nie powinna ani gramatyka, ani stylistyka, ani ortografia polska. Porównaj: część średnia str. 167—172. I korekta jest w wysokim stopniu zaniedbana, tak że przez to ucierpiały nawet reguły gramatyczne. Wrozumiały czytelnik uwolni nas od rejestrowania tych wszystkich błędów i poprzestanie na tém, gdy go zapewnimy, że p. Gargulski nie przestrzegał w swoich „Wypisach” stopniowania przedmiotów, nie troszczył się wiele o poprawność i czystość stylu, lekceważył do pewnego stopnia zasady pedagogiki, tak że tylko poczciwa intencja autora, dbałego o zasady moralności w szkole, czego daje dowody w obfitych wyimkach z autorów—nie zawsze wprawdzie szczęśliwie dobranych—może utrzymać ten podręcznik przez czas niejaki w szkole. Wolelibyśmy jednak, żeby szanowny „Przełożony zakładu naukowego” zastąpił w swoim zakładzie jaknajprędzej lepszym podręcznikiem te wadliwe „Wypisy z pisarzy polskich.”

O wiele korzystniej przedstawić się powinny nauczycielowi „Wypisy” p. Dygasińskiego. Zawierają one wzory prozy i poezji ciągle przepelatane. Zaczynają się od krótszych opisów z nauk przyrodzonych i ziemioznawstwa, wznoszą się w 2-gim rozdziale do pojęć ogólniejszych

ze sfery moralności i obyczajów i zamykają dział prozaiczny ustępami z historii przeważnie narodu polskiego, literatury, geografii i historii biblijnej. W części 2-giej, wyłącznie poezyi poświęconej, mamy w odpowiedni sposób ustopniowane trzy rozdziały: 1) poezya nauczająca (moralność); 2) poezya opisująca (przyrodę, lub człowieka); 3) pieśni. Z wskazanej co tylko osnowy dzieła widzi czytelnik, że p. Dygasiński przystąpił do swojej pracy z jasno zakreślonym planem, a jeżeli w szczegółowej dyspozycji nie widzimy dosyć wyraźnie logicznej zasady podziału prozy, to musimy pochwalić sumienny wzgląd na potrzeby praktyki szkolnej. Ze stanowiska dydaktyki żądalibyśmy nie innej treści, ale choćby ten sam był materiał, pragnęlibyśmy go dla dobra szkoły inaczej obrobionym, z uwzględnieniem tych potrzeb idealnych, o których wyżej była mowa. Wiadomo nam z dotychczasowych prac p. Dygasińskiego, że sumienny i zabiegliwy ten nauczyciel, umie sprawiedliwie cenić wartość pedagogiczną wszelkich momentów idealnych, tak pod względem stylistycznym, jako i estetycznym. Dlatego załujemy mocno, że w pierwszej części swojej pracy zamieścić tak wadliwie pod względem stylu ustępy z dzieł zasłużonego i poważanego nawet poza granicami Galicyi zoologa M. Nowickiego. Wzory te, obfitujące w niezwykłą w języku literackim nomenklaturę anatomii, nie odpowiadają potrzebom „Wypisów” części niższej. Wiele z tych opisów nie przedstawia obrazów wyraźnie zaokrąglonych. Skończonego anatoma może to nie będzie razić, gdy mu prawić będziemy w opisie konia, że koń ma „czuprynę” (str. 1, w. 6 od góry), „u nóg tylko jeden palec” (ibid., w. 11), że według maści zwie się koniem... szarym..., że ma „odnoża smukłe i wysokie:” lecz chłopca na wsi wychowanego tylko rozśmieszyć może, a do wykładu anatomii jeszcze nie pora. Nadmieniamy także, że dotychczas liczył nasz język gromady koni i wszystkich zwierząt na sztuki, a nie na głowy (str. 3, w. 4 od góry), zostawiając ten zaszczyt ludziom. „Bocian jest biały, tylko skrzydła i nagie obocze ma czarne, dziób i odnoża czerwone” (str. 3). Dziwimy się, że takiego znawcę metody unaoczniającej, jak p. Dygasiński, nie uderzyła niedokładność takiej opisowej definicyi. W ogóle wątpimy, czy tego rodzaju opisy dadzą pewne wyobrazenie o przedmiocie młodemu wychowawcowi, czy wpłyną korzystnie na doskonalenie jego zmysłu obserwacyi, czy przyczynią się do pobudzenia bystrości umysłu. Dosyć często znajdziemy niewłaściwie użytą formę bierną, czego duch naszego języka nie lubi. Rozpoczynającym dopiéro naukę dzieciom i to w epoce, gdzie metoda każe uciekać się do wrażeń zmysłowych, jako jedyne go środka pedagogicznego, nie łatwo przyjdzie wyobrazić sobie, jak to owce potrafiły wydobyć wilka z dna samego jamy (str. 7), tak, że nawet autorstwo Krasieckiego nie obroni tego wyboru, zwłaszcza, że u tego samego pisarza znaleźćby z łatwością można odpowiedniejszą bajeczkę. Mając wzgląd na podniesioną wrażliwość umysłu młodzieńczego, uważamy za nieszczęśliwy wybór „Pieśni dożynkowe,” obrażające zasady metryczności naszego języka, co wśród przeciągającego śpie-

wu mniej razi; ale w czytaniu nie korzystnie wpływać musi na kształcenie się estetycznego smaku wychowawców. P. Dygasiński przeprowadził w swojej książce do pewnego stopnia zasady pisowni, które jeśli zostaną szczegółowo skodyfikowane, może utworzyć drogę do ujednostajnienia tej kwestyi, która przy całej swojej naukowej treści jest do pewnego stopnia kwestyą transakcyi i konwencyonalności. Podjęte przez Red. Bibl. Warsz. na tém polu starania, może niebawem przybiorą wyraźniejsze kształty, a wtedy nieomieszkamy przedstawić tej sprawy jak najogólniejszej dyskusyi. Trzeba wprzód opracować dokładny projekt całego rozdziału gramatyki, traktującego o pisowni, aby dojść do ostatecznych stanowczych konkluzyi. W zakończeniu uwag naszych o pożytecznej książce p. Dygasińskiego, zwracamy uwagę szan. autora na dwie omyłki faktyczne. Niewłaściwie przechrzczo Rymarkiewicza na Rymarskiego i błędnie podano wierszyk Syrokomli (Oracz do skowronka)¹⁾, wzięty ze stariej śpiewki Gawińskiego za utwór T. Lenartowicza. Uderzyła nas także naganna nieprawidłowość gramatyczna na str. 9-tej, gdzie w 1-szym peryodzie opisu „Sowy puszczyka“ brakuje podmiotu, bo przecie tytułu samego nie można uważać za część składową odrębnego zupełnie zdania. Jeżeli miałyby się okazać potrzeba 2-go wydania tych „Wypisów“, to zwracamy uwagę p. Dygasińskiego na wyborną na ten kurs książkę dawniejszą, u nas mało znaną, która, tak pod względem układu, jako i co do rozwijania się stopniowego przedmiotu, zasługuje na to, żeby się jęj przypatrzyć. Mówimy o książce pod tyt.: „Przyjaciel dzieci, czyli książka do czytania podług A. E. Preussa i J. A. Vettera, dla katolickich szkół elementarnych“, przerobiona przez Ksaw. F. A. E. Łukaszewskiego, nauczyciela języka polskiego. Wyd. 4-te; Berlin, 1864 r., str. 337. Dziełko to, po oczyszczeniu go z błędów stylistycznych, uważamy za najpraktyczniejszy dotąd podręcznik do nauki języka polskiego w klasach niższych, pod względem układu i metody.

Wypisy polskie p. A. Bądzkiewicza, zasłużonego nietylko w szkole, ale i na polu literatury wychowawczej pedagoga, obejmują część średnią. Na pierwszy rzut oka widzimy, że autor biedził się niemało z uporządkowaniem obfitego swojego materiału. P. Bądzkiewicz odstąpił bez potrzeby od podziału utworów prozaicznych na 3 większe działy ustalonego w dawniejszych systematach nauki „Wymowy“ prozy historycznej, dydaktycznej i krasomówczej, z których każdy zawiera w sobie kilka szczegółowych szeregów, tak, że całość układu się wybornie w jednolity system, jak to najwyraźniej widzimy we „Wzorach“ Rymarkiewicza. Uganianie się za nowemi pomysłami, nie było nigdy zaletą podręczników szkolnych, bo w dobrym systemacie wychowania niema nic konserwatywniejszego nad szkołę: ciągłe reformy nie tworzą

¹⁾ Zob. wyd. „Poezyi L. Kondratowicza“ przez Gebethnera i Wolffa. Warsz., 1872. Tom VI, str. 231, cf., str. 353.

postępu, ale chaos. Nie rejestrujemy tutaj bogatej treści pracy p. Bądzkiewicza, ponieważ uważny przegląd dyspozycji przedmiotu przekona każdego, że następstwo pojedynczych rozdziałów dowodzi braku logicznej zasady podziału gromadzonych wzorów, które, uszykowane w dwóch głównych klasach: prozy historycznej i dydaktycznej (krasomówstwo zachowane zapewne dla części najwyższej) byłyby autora uchroniły od nagromadzenia stosunkowo za obfitego materiału historycznego ze szkodą prozy dydaktycznej, ze szkodą nauk filozoficznych, przyrodzonych i ekonomicznych. Należy pochwalić staranie p. Bądzkiewicza przedstawienia w swoich „Wypisach“ rzeczy nowych: ale ponieważ się to stało kosztem znanych naszych wzorowych prozaików, których miejsce zajęły często mniej szczęśliwe artykułiki nowszych pism peryodycznych („Przyjaciel dzieci,“ „Tygodnik Ilustrowany,“ „Księga świata,“ „Magazyn powszechny i i.); często niewiedomo czyjego pióra, to nie możemy tego pochwalić, ponieważ dla ciekawych młodych umysłów, odpychanych gwałtownie od swoich imion, nie jest rzeczą obojętną pod względem pedagogicznym, obznajmianie młodzieży z nazwiskami zasłużonych na polu pracy umysłowej obywateli. Oswajając młodzież z wzorowymi reprezentantami naszej literatury, podejmujemy do pewnego stopnia kurs propedeutyczny do przyszłego wykładu dziejów literatury. W porównaniu z innemi podobnemi pracami rozszerzył p. Bądzkiewicz w swoich „Wypisach“ dział wynalazków, tudzież zebrał dosyć opisów okolic i miast kraju naszego; szkoda tylko, że ustępy pierwszej kategorii nie są wolne od wielu faktycznych błędów; co zaś do opisów miejscowości w kraju, pragnęlibyśmy czytać i tu obrazy, któreby przy wskazówkach dziejowych przedstawiały aktualny stan rzeczy. Opis np. Sandomierza i Gniezna p. J. U. Niemcewicza, przed r. 1828 skreślony, nie daje dokładnego obrazu tych miast w ich teraźniejszej sytuacji. Trafiają się i tutaj niektóre usterki językowe; ale w ogóle czytamy artykuły treści poważnej poprawnym stylem napisane. Nieważną wadę książki szkolnej stanowi zaniedbana korekta.

Wł. Seredyńskiego, równie jak i A. hr. Dzieduszycką, znamy już dobrze na polu literatury pedagogicznej. „Wypisy“ przez p. Seredyńskiego i hr. Dzieduszycką ułożone, przeznaczono dla szkół żeńskich i zastosowano je do wszystkich klas, tak, że znajdujemy tu wszystkie rodzaje literatury, poczynając od drobnych powiastek, aż do obszerniejszych ustępów dramatu greckiego. Autorowie zamierzili sobie podać młodzieży żeńskiej na przykładach sposobność poznania wszelkich form literackich prozy i poezji polskiej, w pewnym wyrozumowanym porządku ułożonych, a to w celu wyrobienia w młodzieży stylu czyli sposobu jasnego tłumaczenia się ustnie i piśmiennie z własnych myśli. Nie powiemy, żeby dobór treści usprawiedliwiał zawsze to założenie, bo np. ustępy takie, jak artykuł „Ruiny na ostrowiu lednickiego jeziora“ (str. 155), ważne pod względem naukowym, celowi temu zupełnie nie odpowiadają. Z zawartej w grubym tomie treści, nie wi-

dzimy tej naukowej zasady, na której podstawie ułożono cały materiał w pewnym wyrozumowanym porządku: rozdział przedmiotu nie wynika z logicznej zasady podziału, a ten, jaki przyjęto, zawiera wiele dowolności. Autorowie może zbyt pochopnie wprowadzili do „Wypisów wiele swoich artykułów, których, pod względem stylu, nie śmielibyśmy do wzorowych zaliczyć. Niepodobna nam szczegółowo wykazywać słabiej strony tych ustępów; ale ciekawszego czytelnika odsyłamy np. do str. 120 i sqq, gdzie go uderzą zbyt sążniste okresy, nienaturalny szyk zdań, niewłaściwe stosowanie imiesłowu terażniejszego, częsta konstrukcja bierna i t. p. Za szczęśliwą myśl uważamy drukowanie znakomitszych dzieł nie w oderwanych urywkach, ale w streszczeniu, gdzie np. wybitniejsze ustępy „Odyssey“ powiązано prozaiiczną opowieścią wątku całej fabuły. W ten sposób obznajmia się wychowanec nietylko z całą osnową, ale i ze stroną artystyczną arcydzieł literatury. Kwestya co do właściwości umieszczania w „Wypisach“ tłumaczeń, nietylko klasycznych wzorów, które pod piórem znakomitych autorów naszych stały się już własnością literatury polskiej, ale nawet drobniejszych powiastek, zdaje nam się wymagać głębszego rozbioru; tymczasem nadmieniamy, że uważamy tego rodzaju tłumaczenia, jak np. „Mały szpieg,“ z Alf. Daudeta (str. 51) za zbyt cenne. Nie pochwalamy także nowej jakiegś nomenklatury przy podziale prozy, jak np.: „proza nauczająca i naukowa;“ „wykłady pojęć“ i t. p.

W każdym razie uważamy to za pocieszające zjawisko, że zamiłowanie mowy ojczystej i troskliwość o naukową uprawę języka, nietylko się ożywiła, ale i stale się utrzymuje, do tego stopnia, że zasłużeni pedagogowie nie wahali się poświęcić tak mozolnej a sumienniej pracy podręcznikom nauki języka ojczystego.

J. K. Plebański.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

WARSZAWA.

Wrzesień 1881 r.—W sprawie konkursu na plany restauracji zamku królewskiego na Wawelu, ogłasza Towarzystwo krakowskie Techniczne i Towarzystwo Politechniczne lwowskie następującą odezwę: „My, technicy, chętnie i zawsze oddamy hołd zasłudze i jeżeli zabieramy dzisiaj głos w sprawie poczętej, a czynimy to imieniem obu stowarzyszeń technicznych, a więc imieniem 700 kolegów, to nigdy po to, by wdzierać się w cudze prawa, ale z jedynym zamiarem wypowiedzenia zapatrywań ogółu polskich budowniczych w rzeczy restauracji najdoskonalszego zabytku budownictwa polskiego. Ufamy więc, że nie będzie źle zrozumianém to, co robimy z miłości dla najwspanialszej pamiątki narodowej, z uznania ważności tych murów w obec historii sztuki w Polsce. Bo jak z jednéj strony mury Wawelu odbijały w sobie wszystkie powodzenia i klęski, tak z drugiejj strony przodowały one i wywierały wpływ niepomierny na świeckie budownictwo całego kraju. Kazimierz Wielki, ten wielki król-gospodarz a budowniczy, gdy wznosił Polskę, „murowaną,“ rozpoczął od Wawelu i drewniane zamczysko zamienił w gotycki gmach z kamienia. Dalej tą drogą szli Jagiellonowie, nadając rezydencji królewskiej charakter coraz więcéj monumentalny. Ale prawdziwym twórcą świetności zamku królewskiego, był dopiéro Zygmunt I, głęboki znawca i miłośnik sztuki. Zaledwie jednak stanęła hojnością iście królewską, godna wielkiego państwa rezydencya, a już zniszczył ją pożar r. 1536. Odbudowa przez tegoż samego monarchę podjęta, już cokolwiek od pierwszej odbiegła. Dalsze zniszczenia r. 1596 i w czasie wojen szwedzkich, sprowadziły nowe zmiany i pozostawiły po sobie wybitne ślady; wreszcie wiek XVIII i XIX dokonały reszty przeobrażeń. To, co widzimy dzisiaj, nie jest zatem utworzoném z jednego odlewu, ale raczej mozaiką najrozmaitszych epok i stylów, od gotyckiego aż do baroco. Jeżeli jednak, pomimo tego, zewnętrzna postać pałacu Zygmuntońskiego ła-twiéj dałaby się odtworzyć, to za to wewnątrz umiejętnym nawet badaniom podać może nawpół tylko wyraźne wskazówki. Z tych wspa-

niałych apartamentów królewskich, już prawie nic nie pozostało. Tu i owdzie sterczący szczegół mурowany, złożony sufit, strop drewniany, albo herb królewski na sklepieniu ocalały, udowadnia, kiedy i jak te sale zdobiono. Ale daremnie w dzisiejszych koszarach żołnierskich szukałbyś izby senatorskiej lub poselskiej, dawnych cennych malowideł, ław rzezanych i t. p. To, co dotąd uszło przed zniszczeniem, będzie dla restauratora, niby ową szczęką Cuviera: studjami i wyobraźnią będzie on ze szczątek stwarzał całość organiczną. Sprzeczne częstokroć opisy łatwo mogą go zbalamucić, jeżeli nie o władnie form i prawa ich budowy, jeżeli nie zbada, jak historyk, bezstronnie charakteru odnośnej epoki. Rola restauratora, to razem rola piszącego i robiącego historję. Strona form i stylów, to jeszcze nie koniec trudności; stosownie do przyszłego przeznaczenia apartamentów, może i strona konstrukcyjna głębokiego wymagać namysłu. Gdyby wreszcie budowa zamku była dopełnioną tak, aby tworzyła zamknięty czworobok, jak niewątpliwie zamierzano, powstałoby jeszcze nowe skrzydło, zastosowane naturalnie do nowoczesnych wymagań konstrukcyi i wygody. Byłoby to ogniwo, łączące przeszłość z terażniejszością, a jak liczne przykłady stwierdzają, szczęśliwe rozwiązanie takiego zadania tylko mistrzom w swojej sztuce się udaje. Z powyższego wypływa, że trudności, jakie tutaj czekają architekta, są niezmiernie wielkie i różnorodne. Kiedy bowiem architekt, tworząc rzecz nową, może puścić wodze fantazyi i w stylu współczesnym lub ulubionym, z całą swobodą przelać na kamień myśli swoje, restaurujący musi liczyć się z tém, co napotkał, bezstronném okiem oceniać piękność i wartość każdego stylu, który na danym gmachu wycisnął swoje piętno, do charakteru tych stylów się nagiąć, a gdy zajdzie tego potrzeba, dopełniać i stworzyć harmonijnie z otoczeniem. Nietylko więc restaurujący musi być panem całego szeregu stylów, nietylko że skala form, w jakich myśli swoje objawia, winna być obszerniejszą, ale musi to być charakter wszechstronny, natura artystycznie dojrzała, zdolna do rozeznania piękna, czyto w stylu gotyckim, renesansie, lub nawet baroco. Rozwiązań muięj lub więcję zgodnych z pozostałym fragmentem lub częścią budowy, może być nieskończenie wiele. Czyż sprawa nie zyska na tém, jeżeli ją z kilkudziesięciu stron rozświetlimy! czyż wtedy nie pokaże się, że rozwiązanie napozór dobre, musi ustąpić miejsca drugiemu, zbliżającemu się jeszcze więcję do architektury i ducha epoki. Więc nim się rozpocznie restauracya budowli tych rozmiarów, dzieła tego znaczenia, pamiątki takiej świętości, klejnotu architektury tak zniszczonego, czy technik polski może beczynninie stać na uboczu? Czyż nam podwójnie interesowanym przystałaby bierna rola widzów? Czyż interes zawodu naszego, zgodny z interesem sztuki polskiej, pozwala nam ślepo zaufać dobrym duchom zamczyska? Tego od nas nikt żadać nie może. Jako obywatele, mamy prawo; jako technicy, mamy obowiązek wykazać, czego sztuka polska po takim fakcie oczekuje i w jakim stopniu dotyka on honoru i dobra wszystkich

architektów na tej ziemi wzrosłych. Gdzie i kiedy na całym obszarze kraju, zabrzmieć może dla budowniczego hasło do pracy, szczytniejsze nad hasło, wzywające do konkursu na plany restauracji dawniej rezydencji królewskiej na Wawelu! Więc im więcej kto może, niech tém więcej działa, by taki moment stał się, czém być powinien: epoką w historii sztuki naszej, niech nie dopuszcza, by wielki czyn stał się połowicznym. Z dojrzałym namysłem wypowiadamy nasze głębokie przekonanie, że restauracja Wawelu jedynie drogą konkursu publicznego, lub ograniczonego może być szczęśliwie rozwiązana. Tylko konkurs uchroni stare mury Wawelu od prób i doświadczeń, popchnie ogół budowniczych do studyów nad zabytkami sztuki krajowej, ochroni prawdziwe talenta od powolnej śmierci zafania, powstrzyma mierności na ubitych ścieżkach protekcji, da architekturze naszej prawo życia obok innych siostrzyc w dziedzinie sztuki, sprawi, że i architekci dorzucą cegiełkę do gmachu sławy, wznoszonego rękami malarzy, poetów i muzyków w tworzeniu wielkich dzieł mniej zawistych od sposobności. Konkurs, to godziwa walka talentu i pracy, on nie usuwa nikogo, daje tylko równą broń szermierzom. Kto najzdolniejszy wśród kolegów, niech zwycięży, a gdy przewyższy drugich talentem i pracą, niech obok mistrzów Zygmunto-wskiej epoki zapisze swoje nazwisko, nie tylko jako szczęśliwy, ale jako zasłużony. A gdyby wśród kilkudziesięciu pomysłów, żaden trudnego zadania nie rozwiązywał zupełnie, czy wolno wierzyć, iż jeden mistrz, z góry wybrany, byłby bliżej dosięgnął ideału, czy może wtedy nawet ktoś twierdzić, że praca tylu a tylu talentów jest bezowocną? Czy jest budowniczy, co biorąc później dzieło w swe ręce, śmiałby z lekceważeniem odrzucić materiał, nagromadzony myślą całego zastępu kolegów i nie zużyć, co w niem dobrego, na korzyść przyszłej budowy! Niech więc kraj, gdy chodzi o gmach niezmiernego znaczenia artystycznego, uwierzy w zbiorowy głos techników swoich, a mężowie zaufania i wpływu, niechaj zechcą światłem zdaniem poprzec myśl, wypowiedzianą w imię i dla dobrej sprawy. Zresztą myśl konkursu, to myśl nie nowa, znały ją dawno Francya, Niemcy i Włochy, a że i dotąd kraje te wiernymi jej pozostały, szczególnież tam, gdzie chodzi o restaurację wybitnych pomników narodowych; dowodem już z ostatniego lat dziesiątka: konkurs na restaurację wspaniałej katedry florenckiej S-ta Maria del Fiore, konkurs na restaurację ratusza paryskiego, spalonego podczas komuny, konkurs na wewnętrzne urządzenie cesarskiego niegdyś pałacu w Goslar, konkurs na dokończenie „Teatro Olimpico,” rozpoczętego przez Andrzeja Palladiusza w Vicenzy i wiele innych. W poczuciu spełnienia moralnego obowiązku, jaki leży na nas, technikach tego kraju, wypowiedzieliśmy powyższe nasze zapatrywanie, a teraz, oddając sprawę restauracji Wawelu z największą ufnością pieczołowitości naszych najwyższych reprezentacji krajowych i państwowych, ze spokojem oczekiwac będziemy ostatecznej decyzji.“—Lwów i Kraków, w sierpniu 1881 r.

— W dn. 11 września odbył się w uniwersytecie tutejszym akt uroczysty, na którym prof. Andrejew odczytał w języku rosyjskim sprawozdanie z działalności téj instytucyi naukowej w ciągu roku ubiegłego. Ze sprawozdania rzeczono przytaczamy niektóre szczegóły: Skład osobisty ciała naukowego uniwersyteckiego pozostawał, według etatu, takim jak dawniej, t. j. o 10 profesorów i 9 docentów mniejszym, niż w uniwersytetach, znajdujących się w Cesarstwie. Skutkiem właśnie tak nieznacznego składu osobistego, zachodzą trudności co do dostatecznego obsadzenia katedr i dla téj przyczyny, jak twierdzi sprawozdanie, dotychczas pozostają nie zajęte dwie katedry: historii literatury powszechnéj i chemii agronomicznój. Co się tyczy funduszków specjalnych uniwersytetu, wzrosły one w ciągu roku zeszłego we dwójnasób, a mianowicie: w r. 1880 czyniły 34,457 rubli 62 kop.; w roku bieżącym, według budżetu zatwierdzonego przez kuratora okręgu, równają się 72,050 rub. Zwiększenie się funduszków specjalnych dało możność poczynienia ulepszeń w pracach naukowych uniwersytetu. W tym względzie zdziałano w roku sprawozdawczym co następuje: laboratorium mineralogiczne, które całkiem nie istniało dotychczas, obecnie jest założone za 200 rubli; do corocznej kwoty 300 rubli na zakup przyborów i instrumentów dla gabinetu mineralogicznego, dodano jednorazowo 1;100 rubli; za 3,000 rubli przebudowano całkiem niewygodne laboratorium chemii lekarskiej i powiększono coroczny jego budżet z 300 rubli na 900; dla gabinetu fizycznego kupiono machinę gazową, dla laboratorium botanicznego aparat gazowy, dla gabinetu botanicznego mikroskop złożony i t. d. Za staraniem komisji bibliotecznój, rozszerzono pomieszczenie biblioteki; nadto komisya sprawdziła majątek biblioteki i przy współudziale profesorów zajęła się systematyczném ułożeniem katalogu. W roku ubiegłym przybyło do biblioteki dzieł 2,129, w ilości tomów 2,851, wydawnictw peryodycznych 579, w 826 tomach, nut 24, map i atlasów 2. Liczba studentów wynosiła przy końcu roku naukowego 673, wolnych słuchaczów 18, tudzież farmaceutów 74; ogółem 765 słuchaczów. Pomoc materyalna dla studentów była w roku zeszłym większa, niżli za lat poprzednich, a mianowicie: I) Zgodnie z art. 118 ustawy uniwersyteckiej, z ogólnej liczby studentów uwolniono od opłaty wpisu 10%, w półroczu pierwszym 78 studentów, a w drugim 75. (Ogółem 4,025 rs.). II) Stypendya: *a*) na zasadzie budżetu ministeryum oświecenia, 30 stud. wyznania prawosławnego udzielono stypendya po 350 rubli rocznie, w sumie ogólnej 10,500 rubli; *b*) z funduszków specjalnych uniwersytetu dano stypendya 25 stud. po 200 rubli, razem 5,000 rubli; *c*) z procentów od kapitałów, ofiarowanych na stypendya dla studentów uniwersytetu tutejszego i pozostających do rozporządzenia rady uniwersyteckiej, udzielono w wysokości od 50—300 rubli: w półroczu pierwszym stud. 61 (4,784 rs. 67 kop.), w półroczu drugim 66 st. (5,300 rs. 92 kop.); razem w ciągu całego roku 10,115 rs. 59 kop.; *d*) z zapisów rozmaitych instytucyi, tudzież osób prywatnych, dano stypendya w wysokości

od 75—400 rubli: w półroczu pierwszym stud. 26, w sumie 2,677 rub. 50 kop., w półroczu drugim stud. 30, w sumie 3,355 rubli; razem w ciągu roku dano 6,032 rub. 50 kop. Tak więc wszystkich studentów, którzy korzystali ze stypendyów, było w półroczu pierwszym 142, a w drugim 151, otrzymali zaś w ciągu roku razem 31,648 rs. 9 kop. Jednorazowe zasiłki pieniężne i pożyczki udzielane były w ciągu roku w sposób następujący: *a)* z funduszów, pozostających do rozporządzenia komitetu wsparć dla niezamożnych studentów uniwersytetu tutejszego, dano w półroczu pierwszym zasiłki 242 stud. 3,562 rub., a tytułem pożyczki 42 stud. 531 rub.; w półroczu drugim zasiłki 273 stud. 4,131 rubli, a tytułem pożyczki 39 stud. 548 rubli; na pogrzeb dwóch zmarłych studentów 50 rubli, za leczenie dwóch studentów w szpitalu 13 rub. 28 kop.; ogółem w ciągu roku z sum rzeczonych udzielono studentom 8,835 rub. 28 kop.; *b)* z pozostającej do rozporządzenia rektora sumy z zapisu barona Rastawieckiego dano zasiłki 9 stud., w ilości 124 rub. 25 kop., a pożyczono 21 stud. 371 rub.; razem 495 rub. 25 kop.; *c)* z wolnych resztek sum, zbieranych w uniwersytecie do 1873 roku za dyplomy i świadectwa, opłacono wpis za 14 niezamożnych studentów, w drugim półroczu roku sprawozdawczego w ilości 350 rubli; *d)* z sum, pozostających do rozporządzenia kuratora okręgu naukowego, dano zasiłki 60 stud., w ilości 1,480 rub.; *e)* wreszcie z sum, pozostających pod rozporządzeniem generał-gubernatora warszawskiego, udzielono tytułem zasiłków 46 stud. 1,080 rub. i opłacono wpis w półroczu pierwszym za 14 studentów, a w drugim za 25; ogółem tytułem zasiłków i pożyczek udzielono studentom 13,215 rub. 53 kop. Cała zaś pomoc materialna dla studentów uczyniła w czasie rzeczonym ogółem 48,888 rub. 62 kop. Co się tyczy rezultatu egzaminów przejściowych, dotychczas nie są one wiadome w całości, albowiem egzamina powakacyjne jeszcze nie były w chwili sprawozdania ukończone; skutkiem tego obecnie wiadome są rezultaty tylko egzaminów odbytych w maju i w czerwcu, lecz cyfry rezultatu tego będą jeszcze zmienione po egzaminach, odbytych po wakacjach; przymem nie są jeszcze zebrane wiadomości o rezultacie egzaminów na wydziale nauk przyrodzonych, tudzież na pierwszym kursie wydziału lekarskiego i u farmaceutów. Dotychczasowa tablica rezultatów na egzaminach otrzymanych jest następująca: Na wydziale historyczno-filologicznym przystąpiło do egzaminów na kursie pierwszym studentów 6, złożyło je 3; na kursie drugim 9, złożyło je 7; na kursie trzecim 10, złożyło je 7. Na wydziale matematycznym przystąpiło do egzaminów na kursie pierwszym studentów 47, złożyło je stud. 17; na kursie drugim 18, złożyło je 5; na trzecim 14, złożyło je zaś tylko 3. Na wydziale prawnym przystąpiło do egzaminów na kursie pierwszym stud. 84, promowano 58; na kursie drugim z 42 promowano 25, na trzecim 50, a promowano 21. Na wydziale lekarskim składało egzamina na kursie drugim studentów 102, promowano 91; na trzecim 64, promowano 53; na czwartym 40, a promowano 36. Egzamina ostateczne na kursach ostatnich dały rezultat

taki: Na wydziale historyczno-filologicznym otrzymali dyplomy wszyscy studenci czwartego kursu, którzy zdawali egzamina w liczbie 5-u; na wydziale matematycznym składało egzamina ostateczne 2 stud., a otrzymał dyplom 1; na wydziale nauk przyrodzonych z liczby 5 studentów, którzy do egzaminów przystąpili, wszyscy uzyskali dyplomy; na wydziale prawnym z liczby 42 ukończyło uniwersytet 33. Studenci kursu 5 wydziału lekarskiego, w liczbie 29, ukończyli kurs nauk i stopnie lekarzy będą im przyznane na początku przyszłego roku naukowego, po złożeniu przez nich praktycznych egzaminów klinicznych. Za prace na temata konkursowe otrzymali nagrody następujący studenci: Złote medale w liczbie czterech uzyskali: 1) Henryk Merczyng, student 4 kursu wydziału matematycznego za rozprawę na temat: „O metodach oznaczenia długości fal światła;” 2) Hieronim Łopaciński, student 3 kursu wydziału historyczno-filologicznego, za rozprawę p. t.: „Charakterystyka osób w komedjach Terencyusza;” 3) Bolesław Wodziński, student 4 kursu wydziału prawnego za rozprawę: „O prawie emfiteutyczném;” 4) Jakób Putterman, student 5 kursu wydziału lekarskiego, za rozprawę p. t.: „Próba jamy bębenkowej Wredena.” Medale srebrne uzyskali: 1) Józef Dąbrowski, student 4 kursu wydziału historyczno-filologicznego, za rozprawę p. t.: „Charakterystyka osób w komedjach Terencyusza;” 2) Józef Ciemniejszy, kandydat nauk matematycznych, za rozprawę o „integralach;” 3) Bonifacy Czerski, stud. 4 kursu wydziału matematycznego, za rozprawę o „Ruchu cieczy;” 4) Wacław Bylczyński, student 4 kursu wydziału prawnego, za rozprawę: „Poglądy pozytywistów na prawo;” 5) Adam Jakubowski, stud. 4 kursu wydziału prawnego, za rozprawę na temat: „Oszustwo i fałszerstwo, według teoryi i według nowych prawodawstw;” 6) Kazimierz Ciagliński, student 5 kursu medycyny, za rozprawę p. t.: „Symptomatologia nieprawidłowości menstruorum.” Wzmianki zaszczytne otrzymali: 1) Jan Pajewski, student 4 kursu wydziału historyczno-filologicznego, za rozprawę: „Charakterystyka osób w komedjach Terencyusza;” 2) Antoni Piaskowski, student 3 kursu wydziału prawnego, za rozprawę: „Poglądy pozytywistów na prawo;” 3) Stanisław Żeromski, student 4 kursu prawa, za rozprawę: „O oszustwie i fałszerstwie.”

— Wystawa ogrodnicza w Warszawie. W dniu 21 września b. r. otwartą została wystawa ogrodnicza w Warszawie. Wystawa ta urządzona staraniem komitetu Muzeum rolnictwa i przemysłu była jednym więcj dowodem nieustannj, pozytywnej działalności tej prawdziwie obywatelskiej instytucji. Za miejsce wystawy obrano bardzo trafnie Dolinę szwajcarską, której obszerna sala posłużyła za wygodne schronienie dla doboru roślin egzotycznych, bez narażenia ich na zgubny wpływ chłodnego już w tej porze powietrza, podczas gdy ganek od strony ogrodu i sam ogród pomieścił wystawę krzewów i roślin wytrzymalszych na wpływy atmosferyczne, oraz owoców i warzyw. Sala przybrana w kłaby i aleje z rzadkich i pięknych roślin i kwiatów, zamieniła się w przepyszny ogród, czyniący na widzu niepospolite wra-

zenie, zwłaszcza w godzinach porannych, gdyż w porze późniejszej, natłok publiczności utrudniał swobodny ruch po sali napełnionej masami zieleni i przeróżnych barw kwiatów. Na utworzenie tego ogrodu złożyły się znane warszawskie firmy ogrodnicze, jako to braci Bardetów, braci Hoserów, p. Ulrycha, braci Kaczyńskich; dalej cieplarnie w Łazienkach, ogród Frascati hr. Branickiego położony przy ulicy Wiejskiej, ogrody w Willanowie i w Natolinie hr. Potockiej, ogród w Ursynowie hr. Ludwika Krasińskiego i wielu innych pomniejszych wystawców. Nie jest tu naszym zamiarem podawać szczegółowy spis wystawionych roślin, gdyż to przedstawiałoby mało interesu dla czytelnika; żałujemy tylko, iż w bogatym tym zbiorze nie widzieliśmy specjalnej grupy kaktusów, których pielęgnowaniem, umiejętnie i z zamiłowaniem prowadzonym zajmuje się p. Józef Berger; szczególnej donalibyśmy przyjemności, gdybyśmy na tém miejscu mogli wraz z szerszym kołem publiczności, wyrazić szczerze uznanie dla rezultatów téj długoletniej pracy, dostępnych jedynie dla ścieśnionego kółka bliższych znajomych i przyjaciół. Nie będziemy się téż długo zastanawiać nad artystycznie ułożonemi bukietami, pełnemi barw i wdzięku, chociaż się na nie złożyły nieliczne jesienne kwiaty, przeważnie astry i georginie. Kolekcya tych ostatnich, przez firmę braci Hoserów w barwną równiankę ułożona, zadziwiła bogactwem kształtów, barw i odcieni, również jak olbrzymi, piramidalny bukiet, składający się z samych astrów i georginii, przedstawiony przez p. Karola Sandnera z Łodzi.— Dział owoców przedstawiał się nader świetnie; spotkaliśmy w nim wyżej wymienione firmy ogrodnicze, jakotéż ogrody bogatych właścicieli i lubowników ogrodów, to jest ogród Frascati, ogrody w Willanowie i w Natolinie, ogród w Ursynowie celujący doborem odmian jabłek, gruszek i śliwek. W pierwszym z nich nader zajmującą była kolekcya złożona ze stu czterdziestu ośmiu egzemplarzy karłowatych drzewek owocowych, hodowanych w kubekkach i obciążonych owocem.— Wystawa ogrodu pomologicznego w Warszawie, godnie odpowiedziała swojemu zadaniu. Jako zakład mający na celu dostarczanie krajowi szczepów drzew owocowych najwłaściwszych dla miejscowych warunków klimatycznych, oraz kształcenie uczniów szkoły ogrodniczej, ogród ten przedstawił drzewka owocowe ze swéj szkółki obejmującej cztery morgi przestrzeni, oraz dziczki jednoroczne, rozsadzane po wzejściu; dalej 240 odmian jabłek, gruszek i śliwek; odmiany wyborowe złożone z 25 okazów jabłek i tyłuż gruszek; 10 odmian jabłek i 10 odmian gruszek nadających się do wielkiej hodowli; 10 odmian jabłek i tyleż odmian gruszek, najprzydatniejszych do obsadzania dróg, pól i łąk. Wszystkie odmiany, oznaczone kolejnemi numerami, miały dołączoną, bardzo pouczającą wskazówkę, podzielone bowiem były na trzy kategorie: najwięcej polecenia godnych, przydatnych do hodowli i zupełnie na hodowanie nie zasługujących. Taki podział, na nauce i doświadczeniu oparty, czynił wystawę ogrodu pomologicznego, oprócz jéj świeżości, wielce ciekawą i nauczającą.—Z wystawców zamieszkujących

okolice nie sąsiadujące bezpośrednio z Warszawą, p. Zygmunt Kurtz z Otwocka przedstawił trzy plany ogrodów i pól zasadzonych drzewami owocowymi, od r. 1874. Liczba drzew w przeciągu tego czasu zasadzonych wynosi 4091 sztuk; starych zaś, w tym czasie przeszczepionych drzew, znajduje się 2444. Cała zaś ilość drzew owocowych znajdujących się w Otwocku, w ogrodach, na polach i przy drogach, osiąga 14000 sztuk. — Pan Mieczysław Łabęcki z Prus, (gub. Radomska), dał na wystawę drzewka ze szkółki swojej, obejmującej do dziewięciu morgów. Drzewka te, jedno, dwu i trzyletnie, hodują się na sprzedaż. P. Józef Obrąpalski z Korytnicy (gub. Siedlecka) przedstawił nowe odmiany gruszek, oraz jabłka, gruszki, śliwki i orzechy. P. K. Ujazdowski z Nagórek (gub. Płocka) posiadający ogród zawierający przeszło 1000 sztuk drzew owocowych, wystawił późne czereśnie, gruszki i jabłka. P. Tadeusz Wodziński z Suchy (gub. Radomska) dał na wystawę jabłka i śliwki z ogrodu swego, w którym po roku 1874 nasadzono drzew owocowych 2088 sztuk. Pani Marya Zaborowska z Siemiatkowa (gub. Płocka) posiada ogród rozległy na dwanaście morgów i zawierający 1705 sztuk drzew owocowych, 780 krzaków agrestu i 450 porzeczek. Drzewka, krzewy i owoce, hodują się na handel; na wystawie z tego ogrodu znajdowały się drzewka i owoce. Pan Aleksander Daszewski z Pniew (pow. Grójecki), przedstawił na wystawie 10 odmian jabłek i 10 odmian gruszek ze swego ogrodu. Do większych też ogrodów przedstawionych na wystawie, należy ogród p. Jana Klawniewskiego z Kluczkowic, w którym znajduje się 3640 sztuk drzew owocowych, zasadzonych od 1874 roku i bardzo obszerna szkółka. — Z gubernii ościennych, najliczniej pod względem pomologicznym przedstawioną była gubernia Kowieńska. Pani Teodora Burbina przedstawiła 36 odmian gruszek, 24 odmian jabłek, 14 odmian śliwek; owoce te pochodzą z drzew piennych czterdziestoletnich, oraz z karłów. Wincenty Montwił z Wojewodziszek, wystawił swą szkółkę drzew owocowych, oraz okazy doborowych owoców. Pan Ławrynowicz zaś z Potruszla, 120 odmian jabłek i gruszek, odznaczających się tém, iż wytrzymują doskonale ostre zimy żmudzkie. — Z gubernii podolskiej mieliśmy na wystawie okazy p. Ferdynanda Belżana (Beljean?) szczepów uszlachetnionych i dziczków, hodowanych na sprzedaż w szkółce założonej w 1879 roku na przestrzeni 2800 sążni kw. Pani Baltazara Pruszyńska z Koszłak (gub. Kijowska) przedstawiła nową odmianę jabłek, wyhodowaną z nasienia. Pan Edward Donimirski z Łysomic pod Toruniem, dał na wystawę 50 odmian jabłek i tyleż gruszek — Delikatniejsze owoce, wymagające specjalnej hodowli i wyższej temperatury, przedstawili następujący wystawcy: a) winogrona: bracia Hoserowie pięć odmian dobrze dojrzewających pod parkanem południowym; bracia Bardet również pięć odmian, stając do konkursu za najpiękniejsze i najlepiej dojrzałe grono; p. Józef Brykner z Warszawy (ulica Czerniakowska nr. 11) pięć odmian winogron z pod parkanu; p. Maksymilian Fajans z Targówka; p. Antoni Krajewski z War-

szawy; ogród pomologiczny 11 odmian z pod gołego nieba i z pod parkanu; p. Ludwik Szczygielski z Warszawy, Leszno nr. 66; bracia Kaczyńscy (Mokotowska nr. 2); p. Antoni Zieliński z Kalinowej pod Kutnem, trzy odmiany wyhodowane pod ścianą owczarni; p. Karol Scholtze, prowadzący hodowlę na wielką skalę w Szopach Niemieckich pod Warszawą; b) ananasy: p. Gustaw Ulrych, z ogrodu położonego w Warszawie przy ulicy Ceglaniej; pani Franciszka Podczaska z Klimszyc (gub. Siedlecka), pięć okazów z gatunku bromelia nervosa maxima; p. Ludwik Kisielnicki; c) brzoskwinie i nektaryny: bracia Bardet i hr. Marya Potocka w Wysokiem Litewskim (gub. Grodzieńska).—Na zakończenie opisu działu pomologicznego wystawy, z przyjemnością i z żalem zarazem przychodzi nam wymienić dwóch jeszcze wystawców: przyjemność tę odczuje każdy, gdy powiemy że pierwszym z nich jest p. Leon Szyperski, nauczyciel szkoły ludowej we Włocławku, który z ogrodu swego, mieszczącego w sobie 800 sztuk drzew owocowych, przedstawił 25 odmian gruszek, 25 odmian jabłek i 5 odmian śliwek; drugim jest ks. Roch Wójcicki, proboszcz z Belska (w pow. Grójeckim) przedstawiający na wystawie 10 odmian jabłek i 10 odmian gruszek. Ogród szanownego kapłana służy jako rozsadnik dla okolicznych włościan, którzy chętnie z niego zakupują szczepy i zaprowadzają u siebie sady. Tak więc dwie osoby mogące największy wpływ wywierać na oświatę i umoralnienie ludu: ksiądz i nauczyciel czynem wskazali jedną z dróg, po jakich do tego wielkiego celu postępować należy. Sądzimy przeto, iż nie spotka nas zarzut za to, gdy wyrazimy żal nasz, że tylko dwóch z tej kategorii wystawców spotkaliśmy na wystawie.—Przyznać trzeba że rok bieżący jako na owoce bardzo urodzajny, znakomicie sprzyjał wystawie. Gdy dzięki pracom kierowników ogrodu pomologicznego, redakcyi „Ogrodnika polskiego,” Szkoły ogrodniczej i mającego się zawiązać Towarzystwa ogrodniego, sadownictwo i ogrodnictwo podźwignie się z upadku i zainteresuje nie tylko właścicieli większej i średniej posiadłości ziemskiej, ale i drobnych posiadaczy, powstać może pytanie, w jaki sposób można będzie użytkować taką obfitość owoców, z których nie wszystkie, jak łatwo zrozumieć, zdolne będą do dłuższego przechowania i zbytu na odległych targach Północy i Wschodu. Częściową odpowiedź na to zapytanie dają nam niektóre okazy z wystawy, a mianowicie, d-ra Juliana Weinberga, właściciela instytutu wód mineralnych w ogrodzie Saskim soki i sropy owocowe, pani Józefy Stefańskiej z Opola pod Warszawą 16 słoików konfitur i p. Zygmunta Jaroszewskiego, próbki wina owocowego z agrestu, malin i agrestu, porzeczek i agrestu, z morw i t. d. Fabrykacja ta dotąd nie wyszła z fazy doświadczeń; ufamy jednak iż pan Jaroszewski będzie dalej prowadzić rozpoczęte dzieło i nie poprzestając na jagodach ogrodnich, zajmie się przyrządzaniem jableczniku (cydru) z letnich odmian jabłek lub gruszek, a wypróbowane sposoby poda do wiadomości publicznej i zachęci tém innych do użytkowania w ten sposób nadmiaru produkcyi, który w latach

na owoce urodzajnych bardzo łatwo może nastąpić. Lekki, smaczny, zdrowy i orzeźwiający napój, niechby już dla mas ludności zastąpił nadmiernie rozpowszechnione a niesmacznie fabrykowane piwo bawarskie, że już nie wspominamy o wódce.—Znaczna część ogrodów przytoczonych przez nas wykazuje większy swój rozwój od roku 1874, w którym to czasie odbyła się ostatnia wystawa rolnicza w Warszawie, nie wyłączająca ogrodnictwa i sadownictwa ze swego programu; dział ten nawet bardzo korzystnie na wystawie się przedstawiał. Nie możemy więc pominąć milczeniem tego faktu wymownie świadczącego o bezpośrednim pożytku, jaki wspomniana wystawa dla tej gałęzi pracy ziemiańskiej w kraju przyniosła.—Jeżeli pyszne egzotyczne rośliny, barwne kwiaty i klejnoty z kwiatów o żywych barwach bawiły oko, jeżeli obfitość, różnorodność odmian i piękność wystawionych owoców świadczyły o budzącem się zamiłowaniu sadownictwa i otrzymanych pomyślnych rezultatach, z tém większém uznaniem przychodzi nam mówić o dziale wystawy obejmującym warzywa i ogrodowizny, jako o artykule pierwszej potrzeby, zarówno dla najzamożniejszych jak i dla maluczkich; to téż dział ten nie czynił krzywdy innym i zlewał się z nimi w jedną harmonijną całość. Pierwszeństwo pod tym względem należy się słusznie ogrodowi pomologicznemu, który przedstawił ogólny dobór warzyw uprawianych na przestrzeni 150 prętów kw. dla nauki uczniów, mieszczący téż w sobie warzywa mniej upowszechnione. Bracia Kaczyńscy przedstawili wyhodowane w swoim ogrodzie nasiona warzywne, które dotychczas, w znacznej części sprowadzane były z zagranicy. Pan Gustaw Ulrych z kolonii Górcze pod Warszawą przedstawił kapustę, kalarepę, marchew, pietruszkę, buraki ćwikłowe egipskie olbrzymiej wielkości i inne. Pan Ludwik Hoeke z Woli pod Warszawą dobór warzyw, między którymi odznaczają się prawdziwie olbrzymie głowy kapusty. P. Konstanty Czarnecki ze Szczęśliwic pod Warszawą dał na wystawę ogół warzyw, z ogrodu obejmującego 16 morg. Z téjże miejscowości p. A. Willmann przedstawił również warzywa hodowane na handel w ogrodzie obejmującym 31 m. P. Aleksander Willmann tamże posiada jeszcze większy ogród warzywny handlowy, bo zawierający 42 morgi i używa 950 okien inspektowych. Pani Pulcherya Sadowska, z Nowego Sadu, pod Warszawą, posiada również ogród handlowy, na przestrzeni 18-tu morgów, w którym, oprócz warzyw, przedstawionych na wystawie, hoduje i drzewa owocowe. Pomidory przez nią wystawione, odznaczają się wielkością i piękną barwą. P. Sylwester Piechowski, z Ochoty, pod Warszawą, dał na wystawę kapustę, cebulę, marchew, pietruszkę, ogórki inspektowe, pomidory i inne warzywa. Niech nam wolno wszakże będzie wyrazić pewną wątpliwość, czy niektóre z tych warzyw, zwłaszcza kapusta, hodowana tak forsownie na nawozie z nieczystości miejskich powstałym, dorówna smakiem i trwałością oraz zwartością głów innym, z mniej natężonej uprawy pochodzącym. P. Antoni Krajewski, z Warszawy, przy ulicy Młynarskiej Nr. 3106 s., uprawia warzywa na han-

del, w ogrodzie obejmującym 11 morgów i mającym 400 okien inspekcyjnych. Z mniejszych ogrodów, służących na domową potrzebę właścicieli, którzy okazami swemi uczestniczyli na wystawie, wymieniamy tu panią Józefę Stefańską, z Opola, która przedstawiła 6 odmian buraków, ogórek-melon, groch, fasolę i bataty. Ogród jej zawiera zaledwie 200 prętów kwadratowych przestrzeni. P. Tadeusz Wodziński, z Suchy, przedstawił również warzywa na własną potrzebę hodowane, melony i arbuzy. Specyjalnym wystawcą w tym dziale, jest p. Aleksander Ostrowski, z Maluszyna (gub. Piotrkowska), przedstawiający nader piękne karczochy. Wspomnieć jeszcze musimy dziewięć pięknych odmian kartofli, wystawionych przez p. Józefa Skibińskiego, z Gródka (gub. Warszawska), jako téż fabrykę cukru Młodzieszyn, przedstawiającą nasienie buraków cukrowych „Imperial“ własnej produkcji; zdaniem naszym jednak, oba ostatnie okazy wychodzą już z zakresu ogrodnictwa i należą raczj do produkcji rolniczej. P. Zygmunt Jaroszewski przedstawił sorgo cukrowe, tak zwane bursztynowe, pochodzące z Ameryki (Amber sugar cane) i wyhodowane w ogrodzie Frascati, oraz syrop cukrowy z téj rośliny wyrobiony. Czy ta cukrodajna roślina może mieć ekonomiczne znaczenie u nas w kraju, przyszłość dopiero pokaże.

Stanisław Rewieński.

— Dnia 26-go sierpnia r. b. w Radoszkowicach odbyło się żałobne nabożeństwo za duszę ś. p. Aleksandra Tyszyńskiego, poczem na cmentarzu poświęcono pomnik, wzniesiony przez żonę i syna nieodżałowanego profesorowi. Pomnik ma kształt kolumny. Wyciosany z krajowego kamienia, nosi skromny napis:

**Ś. p. Aleksander Tyszyński żył lat 69, umarł 24
października 1880 roku.**

Najlepszemu mężowi i ojcu, wdzięczna rodzina.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny J. K. Plebański.

Wydawca Józef Berger.